

Memoriał ppłk. Drobika
przed powstaniem
Blaski i nędze kompromisu z RosjąKampania wyborcza w USA
Wolnemu handlowi
już dziękujemySamochód elektryczny
– kłopotliwy luksusSztuczna inteligencja
wyrze otwarty internet**DONALD TUSK NIE MA WYBORU**

ROZLICZENIA ALBO PAŃSTWO ZŁODZIEI I PRZEKRĘTÓW



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



♦ TEATR CAPITOL ♦

NAJLEPSZE KOMEDIE ♦ PIKANTNE FARSY ♦ GWIAZDORSKIE OBSADY



ŁÓŻKO PEŁNE CUDZO- ZIEMCÓW

AUTOR
DAVE FREEMAN

REŻYSERIA
JERZY BÓNCZAK

PRZEKŁAD
ELŻBIETA
WOŹNIAK

♦ KUP BILET ♦ www.teatrcapitol.pl ♦

Wakacyjne terminy spektaklu:
4, 9, 10, 28 i 30 sierpnia

CAPITALNE LATO!

GRAMY CAŁE WAKACJE

- klimatyzowane sale •
- orzeźwiające koktajle •
- niezapomniane wrażenia •

UWAGA, SPRAWDŹ NASZĄ RESTAURACJĘ!



Patroni Medialni

RMF
MAXX

onet

WZGLĘDZOSPOLNA

tygodnik

Kobiety

ams

Familie.pl

P

Partnerzy Teatru

Gazeta

O bag

kicket

AKTYWNA
WARSZAWA

STREFA
MUSIC

umzo

BRATY KRAJOWI



Odroczenie i co dalej

Państwowa Komisja Wyborcza znów odroczyła decyzję w sprawie sprawozdania finansowego komitetu Prawa i Sprawiedliwości. Wąży się losy subwencji wyborczej dla tej partii. PKW może uznać zarzuty wykorzystywania przez Komitet Wyborczy PiS (w tym partię Ziobry) publicznych pieniędzy na cele bezpośrednio lub pośrednio związane z wyborami. Zarzuty owego wykorzystywania znane są od kilku lat, toteż powszechnie oczekuje się decyzji komisji pozbawiającej PiS i sojuszników ogromnych dotacji – prawie 26 mln rocznie i 75% kosztów poniesionych na kampanię. Utrata tych milionów zagraża istnieniu PiS i Suwerennej Polski, dlatego nie dziwi, że zdaniem prezesa Kaczyńskiego ogłoszenie werdyktu PKW będzie „dniem próby polskiej demokracji”. I, jak mówi: PKW to upolitycznione narzędzie w walce rządzącej koalicji ze Zjednoczoną Prawicą. Prezesowi warto przypomnieć, że obecna PKW ukształtowana jest według znowelizowanej przez PiS ustawy, w której sędziów zastąpili polityczni nominaci.

Kaczyński i ziobryści doskonale wiedzieli, że robią skok na kasę, dlatego tak zmienili prawo, by możliwe było wręcz nieograniczone finansowanie wyborów, a rozliczenia dotyczyły tylko komitetów wyborczych. Stąd liczne imprezy wyborcze Zjednoczonej Prawicy finansowane przez spółki skarbu państwa i ludzi, których partia postawiła na czele tych instytucji.

Ludzie prawicy najwyraźniej nie czują wstydu z powodu przekraczania czy omijania prawa. Najdobitniejszym tego przykładem jest list Kaczyńskiego do Ziobry. Prezesa PiS nie oburza łamanie prawa przez sojuszniczą partię. Jego niepokój budzi tylko fakt, że działania ludzi Ziobry mogą spowodować utratę

dotacji wyborczej. To zaprzęta jego uwagę, a nie jakieś regulacje prawne. Dla niego i jemu podobnych znaczenie mają tylko zagrożone miliony złotych.

Członkowie PKW podkreślają, że muszą mieć czas, by zapoznać się materiałami dokumentującymi łamanie prawa przez ZP, że muszą kierować się przepisami Kodeksu wyborczego. Wiem, że pisowcy i ziobryści zabezpieczyli się i wprowadzili takie regulacje prawne, które znacznie ograniczają zakres działania komisji. Ale trudno nie uznać postępowania PKW za asekuracyjne, by nie powiedzieć bojaźliwe. Należałoby przypomnieć, że najważniejszym aktem prawnym jest Konstytucja RP. W niej jasno stoi, że wybory są czteroprzymiotnikowe, w tym RÓWNE. A ten przymiotnik nie odnosi się tylko do wyborców i równości ich głosów, ale także do równości szans kandydatów w wyborach.

Decyzje komisji podlegają zaskarżeniu do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych w Sądzie Najwyższym, nieuznawanej przez unijny trybunał i nowy rząd, stworzonej przez ludzi PiS i SP. Postanowienie PKW może być zatem zmienione, a wyrok izby zaskarżony do Trybunału Sprawiedliwości. I mamy kolejny kontredans, jaki zafundował nam tercet KZD. Należy się cieszyć ze zwycięstwa opozycji, bo inaczej skrót ten należałoby rozwijać nie jako Kaczyński-Ziobro-Duda, ale Koniec Z Demokracją.

Ps. Chcących wspomóc PRZEGLĄD proszę o wpłaty na konto:

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



**Oferta specjalna
PRZEGLĄDU**

**SIERPIEŃ Z NASZĄ
DOBĄ KSIĄŻKĄ**

-10%

**na WSZYSTKIE
książki i e-booki**

z kodem: **LATO2024**
tylko do **31.08.**

**UWAGA: promocja łączy się
z innymi rabatami!**



sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Donald Tusk nie ma wyboru**
Rozliczenia albo państwo złodziei i przekrętów
- 13 Pod bardzo wysokim napięciem**
Niepewna przyszłość aut elektrycznych
- 16 Gazety skażone PiS (cz. 2)**
Przypadek Kani i Bortkiewicza
- 34 Bramy piekła**
Kapelan na czele olimpijczyków
- 36 Liberalizację uważałem za wystarczającą**
– rozmowa z prof. Andrzejem Werblanem

ZAGRANICA

- 20 Trump jak Hamilton?**
Kampania wyborcza w USA
- 24 Rządy z tylnego fotela?**
Jak Wilders uwiódł Holendrów

IGRZYSKA

- 28 Fascynujące teatrum emocji**
Wygrani i przegrani
- 30 Poczuć z bliska ogień**
Korespondencja z Paryża

HISTORIA

- 40 Blaski i nędze kompromisu z Rosją**
Memoriał ppłk. Drobika

OPINIE

- 43 Marcin Jabłoński**
Sąd nie jest twierdzą (cd.)

KULTURA

- 44 Dobrzy nieznajomi w Toskanii**
– rozmowa z Maciejem Marciszem
- 47 Kulturalia**
- 48 Między erotyką a polityką**
Prof. Janusz Stanny – mistrz ilustracji
- 52 Mały wielki teatr**
Sezon na monodramy
- 66 Vis Magna. Queen Verona**

TECHNOLOGIE

- 55 Sieć w silosie**
Koniec otwartego internetu?

ZWIERZĘTA

- 58 Ptasie przytulisko**
Ostoja w Puszczy Knyszyńskiej

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Paweł Dybicz**
Odroczenie i co dalej
- 19 Jan Widacki**
Między Paryżem a Moskwą
- 23 Andrzej Romanowski**
Moja Białoruś
- 27 Roman Kurkiewicz**
Króluje „nieproporcjonalne”
- 39 Tomasz Jastrun**
Igrzyska nie tylko olimpijskie
- 51 Wojciech Kuczek**
Do lasu (odc. 6)
Wytrącony z wiedzy

28

IGRZYSKA



FASCYNUJĄCE TEATRUM EMOCJI

Wygrani i przegrani



44

KULTURA

DOBRY NIEZNAJOMI W TOSKANII

– rozmowa z Maciejem Marciszem

58

ZWIERZĘTA



PTASIE PRYTULISKO

Ostoja w Puszczy Knyszyńskiej

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b3a430629b



✉ Kto odpowiada za śmierć 200 tys. cywilów



Premier przekazał 100 mln zł na rozbudowę Muzeum Powstania Warszawskiego. Miałoby to sens, gdyby zmieniono profil muzeum. Zamiast radosnego zwycięstwa moralnego i chwały tych, „co na tygrysy mają visy”, należy pokazać zagładę miasta jako wynik braku racjonalnej polityki. I wymazać nazwiska dowódców powstania z nazw ulic. Elementem optymistycznym, pokazującym siłę narodu, powinna być odbudowa stolicy. To odbudowie, a nie powstaniu Warszawa zawdzięcza swoje istnienie. I trzeba głosić chwałę ludzi, którzy miasto odbudowali.

Bez tego będziemy trwać w otoczeniu fałszywych mitów, które już przekładają się na nieracjonalne widzenie współczesnych wydarzeń. Przecież wojna na Ukrainie jest podobnie pokazywana. I ciągle będziemy zaskakiwani, że wydarzenia toczą się inaczej niż w naszych majaczeniach. Czas z tym skończyć.

Wiesław Żółtkowski



f Ustawa o wychowaniu w patriotyzmie i przeciwdziałaniu rewolucjom

Patriotyzmu nie uczy się w szkole, patriotyzm wynosi się z domu. Postępowanie rodziców jest całą nauką od kołyski do dorosłości.

Wojciech Janiak

Trzeba uczyć właściwego patriotyzmu. „Patriotyzm powinien polegać na miłości swoich; zbyt często zaś polega

na nienawiści obcych” – Kazimierz Przerwa-Tetmajer. *Verba docent, exempla trahunt* – słowa uczą, przykłady pociągają. U nas są piękne słowa i brzydkie uczynki, a dzieci są bardzo krytycznymi obserwatorami.

Anna Guzowska

W szkole uczniowie powinni uczyć się przede wszystkim myślenia, a nie życiorysów ulubionych przez polityków bohaterów narodowych. Zawiodła mnie reforma edukacyjna, bo poszła w złym kierunku: wybór lektur, pożądanych treści historycznych itp. Gdzie metodyka, dydaktyka lub relacje nauczyciel-uczeń?

Zofia Dysarz-Miziutek

✉ Przywróćmy pamięć o „patronach wyklętych”

22 lipca w Nowogardzie został zdemontowany pomnik Braterstwa Broni przemianowany w latach 90. na pomnik Kombatantom RP, przedstawiający dwóch średniowiecznych wojów i dwóch żołnierzy z okresu II wojny światowej. Stało się to na wniosek i za pieniądze Instytutu Pamięci Narodowej. Szczycił się tym szykujący się do startu w wyborach prezydenckich prezes IPN Karol Nawrocki. Cóż, wielu jest nawiedzonych, wielu ma odrębne zdanie. To trzeba uszanować. Ale jest różnica między uszanowaniem zdania nawiedzonego a pozwoleniem mu, by to swoje nawiedzenie narzucał innym. Moim zdaniem żaden funkcjonariusz IPN nie powinien mieć prawa decydowania, jak ma się nazywać ulica albo jaki pomnik stoi na skwerze. O tych sprawach powinni decydować mieszkańcy, lokalna społeczność. IPN skoro już jest (choć wołałbym, by ten zatraty jadem nienawiści instytut zniknął z Polski), powinien mieć funkcję TYLKO doradczą. W żadnym wypadku nakazową.

Józef Brzozowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Wszyscy liczyliśmy na złoto, lecz w sporcie tak bywa – Iga Świątek, pokonując Słowaczkę Annę Karolinę Schmiedlovą, zajęła trzecie miejsce na olimpijskim podium. Paryż, 2 sierpnia 2024 r.

26 mln zł trafiło do mediów prawniczych i katolickich z budżetu Lasów Państwowych w ciągu czterech lat rządów nominatów Suwerennej Polski. Zarzuty może usłyszeć 11 byłych pracowników Lasów, z byłym dyrektorem Józefem Kubicą na czele.

Z płatnej telewizji korzysta w Polsce ok. 4,9 mln użytkowników. W ciągu dwóch lat ubyło ich ponad 450 tys. Największy udział w rynku mają **Cyfrowy Polsat (26,8%), Canal+ Polska (18,9%) i P4 (14,8%).**

W latach 2019-2023 ujawniono **9926 przypadków malowania graffiti** na terenach kolejowych i po ciągach PKP. Łącznie zamalowano 362 tys. m kw. Kosztowało to spółki kolejowe 61 mln zł.

W czerwcu w **areszcie tymczasowym** w Polsce przebywało **aż 8,2 tys. osób**, co jest wynikiem zaostrenia regulacji za rządów Ziobry. Wtedy też ponad 50 takich aresztów trwało dłużej niż dwa lata.

Coraz więcej cudzoziemców odbywa karę w polskich więzieniach. W ciągu czterech lat ich liczba wzrosła z 1267 w 2020 r. do 2407 w 2024 r. Najwięcej osadzonych pochodzi z Ukrainy, Gruzji i Białorusi.

32% dzieci i nastolatków doświadczyło w 2022 r. przemocy ze strony bliskich dorosłych, najczęściej rodziców (**raport Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę**).

Populacja wilków w Polsce liczy według GUS **4328 sztuk**. Nieoficjalnie mówi się, że

jest dwukrotnie większa. Najwięcej wilków jest w województwach podkarpackim (1210), wielkopolskim (716), lubelskim (413) i lubuskim (377).

Rekordzistami Unii Europejskiej w **hodowli bydła** są: Francja (2,7 mln sztuk), Niemcy (2 mln) i Hiszpania (1,3 mln). Łącznie pogłowiu bydła w Unii osiągnęło w czerwcu br. 12,2 mln sztuk.

W roku akademickim 2023/2024 **studia w Polsce rozpoczęło 103 147 osób z zagranicy**, a uczy się jeszcze 98 056 zagranicznych studentów. Najwięcej z Ukrainy – ponad 45 tys., Białorusi – 12,4 tys., Zimbabwe i Turcji – po ponad 4 tys., Indii – 3 tys.

Nakazy opuszczenia krajów Unii Europejskiej ma już 422 tys. osób. Wykonuje je mniej niż jedna czwarta.

Na 2,4 mln **kóz w Unii najczęściej hodują Grecy** – 1 mln sztuk, Hiszpanie – 0,5 mln i Rumuni – 0,4 mln sztuk.

Pogłowiu owiec w Unii osiągnęło w tym roku 15,6 mln sztuk. Rekordzistami w tej hodowli są: Hiszpanie – 4,5 mln sztuk, Rumuni – 2,6 mln i Grecy – 2,1 mln sztuk.

W Unii Europejskiej jest **9,1 mln gospodarstw rolnych**; zajmują 38,4% gruntów UE i zatrudniają 8,7 mln osób.

291 tys. przedsiębiorstw, które **zajmują się przetwórstwem żywności** działa w Unii Europejskiej. Zatrudniają 4,6 mln osób i generują przychody na poziomie 227 mld euro.

PRZEBŁYSKI

Życie ze zdrajcy

Jak żyć? Każdy szuka odpowiedzi. Ale Filip Frąckowiak nie musi. Znalazł już swoje eldorado. Żyje ze szpiega. To zresztą u niego tradycja rodzinna. Z Ryszarda Kuklińskiego żył przecież jego ojciec, Józef Szaniawski. Ze zdrajcy i dezertera próbował zrobić bohatera. Kto chciał, to uwierzył. A nasi politycy, którzy chyba w genach mają podlizywanie się Amerykanom, skorzystali z okazji i sypnęli kasą na budowanie mitu Kuklińskiego. Chętnych do tej sakiewki nie brakło. Frąckowiak miał dobry refleks i dziś jest dyrektorem czegoś, co się nazywa Muzeum Zimnej Wojny im. generała Kuklińskiego. A że pan dyrektor jest człowiekiem bardzo obrotnym, to ma szansę rozbudować muzeum o kolejne izby pamięci i pomniki. Znajdą się pewnie jakieś kapcie, skarpetki czy zdjęcia z komunii. A czego na pewno tam zabraknie? Nie dowiemy się, skąd Kukliński miał w latach 70. kasę na willę, jacht i podróże. Na życie w luksusie, które przecież ówczesne służby widziały.

Amerykanie wiedzą. Ale nikomu nie powiedzą. Frąckowiakowi tym bardziej, bo mógłby stracić wiarę.



Bortniczuka sport dla swoich



Mamy przykład, jak można się nabrać na milutką powierzchowność i gładkie słówka. Kamil Bortniczuk, eksminister sportu i turystyki, zawsze z siebie zadowolony i przy kamerach uprzejmy, w resorcie pokazywał inną twarz: satrapę, który przy dzieleniu kasy bardzo dbał o interesy swoich faworytów. Zmieniał też ustalenia komisji, które sam powoływał i które dostawały wytyczne, kto ma dostać dofinansowanie.

Tak było przy programie „Sport dla wszystkich” w 2023 r.

26,6 mln zł w pierwszym naborze przekazano ośmiu podmiotom, które osobiście wskazał Bortniczuk. Propozycje ministerialnej komisji trafiły do kosza. Podobnie było w drugim naborze. Rozdysponowano 78,9 mln i – jak mówi członek komisji – „właściwie cała lista została zmieniona”. Wiadomo, kto dostał kasę. Wiadomo, od kogo. Pozostaje jeszcze sprawdzić dlaczego. Ale to jest już temat dla prokuratury.

Poręba w chorwackiej mgłę

W tym przypadku obie strony mogą być zadowolone. Choć trochę bardziej radują się politycy PiS, którym zwolniło się miejsce w Brukseli. Nie muszą już się tłumaczyć z interesów Tomasza Poręby w Chorwacji. Poręba, mimo że jako europoseł zaliczył prawie 15 lat, plus pięć lat w administracji Parlamentu Europejskiego, pewnie by się jeszcze pomęczył w Brukseli dla naszego dobra. Nie udało się, bo do gry weszły wścibskie media. Polskie, czyli serwis OKO.press i magazyn śledczy Frontstory, oraz chorwackie centrum śledcze Ostro. Chorwaci mają na Porębę oko, bo interesy z apartamentami prowadzi na wyspie Korčula. Trudno było za Porębami nadążyć – kupują i sprzedają. On sam lub z żoną albo ich małżeńską spółką Odyssey Dream. W 2016 r. nabyli apartament (116 m plus taras 37 m), który sprzedali w 2021 r. Oczywiście z zyskiem. Wiadomo, że posiadają inne mieszkania (174 m, 88 m) i cenne działki. Skąd na to mieli kasę? Na 28 szczegółowych pytań dziennikarzy nie odpowiedzieli. Tajemnica rodziny. Prawica jest przecież bardzo rodzinna. Agnieszkę, żonę Tomasza, zatrudnił prawniczy europoseł Carlo Fidanza. Jako asystentkę. Jak to mówią, rączka rączkę.





PYTANIE TYGODNIA

Jak silna jest w Polsce świadomość ekologiczna?

RADOSŁAW ŚLUSARCZYK,

Pracownia na rzecz Wszystkich Istot

Świadomość ekologiczna to szerokie pojęcie. Polacy są bardzo świadomi potrzeby ochrony lasów, co pokazują badania opinii społecznej. Nieco gorzej jest ze świadomością zagrożeń dla klimatu, jakie niesie używanie gazu kopalnego. O ile Polacy rozumieją, że węgiel to brudne paliwo, to gaz postrzegają jako paliwo ekologiczne, a to przecież metan, nazywany dwutlenkiem węgla na sterydach, bo ma radykalnie większy niż CO₂ wpływ na efekt cieplarniany. Jeśli chodzi o produkcję energii, Polacy bardzo dobrze rozumieją, że palenie drewnem w elektrociepłowniach to marnowanie surowca. Są pewne podobieństwa, jak wybiórco Polacy postrzegają kwestie ochrony klimatu i ochrony gatunków. Tu decyduje klucz sympatyczności. Wspiera się ochronę rysia, niedźwiedzia czy wilka, co jest słuszne, ale nie ma zrozumienia potrzeby ochrony procesów naturalnych, co działalność człowieka mocno nadszarpuje.

MAREK JÓZEFIK,

rzecznik i ekspert ds. polityki ekologicznej Greenpeace Polska

Gdyby to od Polek i Polaków zależało, już dawno 20% naszych najcenniejszych lasów byłoby wolnych od pił. Ten postulat popiera 85% społeczeństwa. Podobny poziom akceptacji ma rozwój odnawialnych źródeł energii. Gdyby to zależało od społeczeństwa, już dawno odblokowano by rozwój wiatraków, z czym obecnie zwleka rząd. Trudno znaleźć drugi temat, który by nas tak łączył ponad podziałami jak ekologia. Niestety, polityka często nie jest kształtowana według przeważającej opinii publicznej, tylko przez wąskie lobby, w tym przypadku leśne i węglowe. Nasi politycy myślą interes Lasów Państwowych i koncernów węglowych z interesem ogółu. Jako społeczeństwo mamy swoje uzasadnione obawy co do kosztów transformacji energetycznej. Ale jeśli tylko stworzy się Polakom możliwość do bycia bardziej eko, to masowo z takich możliwości skorzystamy. Zmiany

w energetyce i leśnictwie kuleją z powodu polityki i silnego lobbingu

DR MARZENA CYPRYAŃSKA-NEZLEK,
Centrum Działań dla Klimatu i Transformacji Społecznych, USWPS

Z ostatnich sondaży wynika, że świadomość ekologiczna Polaków rośnie. To dotyczy przede wszystkim ogólnej świadomości niekorzystnych i zagrażających zmian w środowisku. Niekoniecznie jednak obejmuje wiedzę na temat faktów dotyczących przyczyn i konsekwencji zagrożeń środowiskowych oraz możliwych rozwiązań. Obraz świadomości w tym zakresie nie jest optymistyczny. Zgodnie z raportem Ipsos z kwietnia 2024 r. wciąż powszechne są wątpliwości i niepewność co do możliwych rozwiązań. W powszechnej świadomości rośnie poczucie niemocy i zmęczenia tematem zagrożeń środowiskowych, a to przekłada się na spadek realnego zaangażowania w działania na rzecz środowiska.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Donald Tusk nie ma wyboru

ROZLICZENIA ALBO PAŃSTWO ZŁODZIEI I PRZEKRĘTÓW

Jeżeli obecna władza nie będzie potrafiła przeprowadzić rozliczeń, będzie to jej koniec

Robert Walenciak

Donald Tusk nie ma wyboru. Podpowiadają mu, żeby z rozliczeniami przystopować, że to interesuje tylko najbardziej zawziętych, korzyści z tego niewiele. Ale to nieprawda. To spór cywilizacyjny – między państwem, w którym jest ład i porządek, a państwem z dyktą, w którym można kraść. Jeżeli obecna władza nie będzie potrafiła przeprowadzić rozliczeń albo wejdzie w buty PiS, da tym samym dowód, że jest nie-sprawna, niewarta swojej władzy i brak jej sprawczości. To będzie jej koniec. Nikt się nie uratuje – ani PO, ani lewica, ani PSL, ani Hołownia. I nie chodzi o to, że nie uratują się przed gniewem PiS. Nie uratują się przed gniewem wyborców.

Tusk chyba sobie z tego zdaje sprawę. Ale inni?

„Musimy jak najszybciej zakończyć etap wstępnych rozliczeń poprzedniej ekipy rządowej” – to niedawne słowa marszałka Sejmu Szymona Hołowni. „Obecny rząd musi zrobić coś lepszego, nowego”. I rozwinięcie tej myśli: „Ludzie oczekują od nas zupełnie nowej opowieści, pójdą do przodu, a nie tylko nieustannego rozliczania PiS. My poszliśmy do władzy po to, aby odsunąć PiS, by zrobić coś nowego, lepszego, bardziej uczciwego, żeby rozwinąć Polskę. Nie dało się tego zrobić bez odsunięcia PiS od władzy, ale nie jest to nasz punkt dojścia.

Dlatego liczę, że te rozliczenia będą przebiegały szybciej”. Niby więc marszałek pogania tych, którzy są od rozliczania, a tak naprawdę ich hamuje, zniechęca.

To nie jest pogląd odosobniony. W gronie polityków koalicji i publicystów można usłyszeć podobne głosy. Zbierzmy te argumenty. Otóż koalicja powinna odpuścić rozliczanie PiS, gdyż:

- Polaków interesują inne sprawy, przede wszystkim bytowe, więc na nich rządzący powinni się skupić. To jest owo „pójście do przodu”, o którym mówił Hołownia.

- Rozliczanie staje się nudnym serialem, szarpane są jakieś płotki, zatem popularności rządzącym to nie przynosi.

- Przeciwnie, ośmiesza ich! Przykładem są komisje śledcze, które startowały z przytupem, obiecywano sobie po nich wiele, a skończyło się chaosem, awanturami i bezradnością przesłuchujących. Co prawda, komisja śledcza ds. wyborów kopertowych złożyła ileś wniosków do prokuratury, ale co z nich będzie? Komisje pokazały bezzębność „bulterierów” typu Szczurba czy Joński. Mieli zagryzać pisowców, a skończyło się na piskach i ewakuacji do Brukseli. Wstyd!

- Komisje śledcze przypominają Polakom obietnice składane przed wyborami – ich bezsilność pokazuje brak sprawczości władzy i jej nieporadność. Po co więc to przypominać?

- Gdy formułowane są nietrafne zarzuty, pisowcom (i ziobrystom) łatwo prezentować się jako ci prześladowani, niesłusznie szykanowani i wzbudzać litość.

- Rozliczanie podkręca atmosferę w kraju, a trudno rządzić w klimatach zimnej wojny domowej.

Może zatem zamiast wojny, proponujemy miłą Polskę?

To są poważne argumenty i wielu trafiają do przekonania. Zwłaszcza że koalicja ma własne problemy, nie potrafi się dogadać w rozlicznych sprawach, jest skłócona, a rządzenie różnie jej wychodzi.

To rozedrganie mogliśmy zobaczyć na własne oczy, gdy sąd zwolnił z zatrzymania byłego wiceministra Marcina Romanowskiego. Nikt tak głośno jak politycy koalicji nie wołał, że prokuratura popełniła błąd, bo zapomniała, że Romanowski miał immunitet Rady Europy i że ktoś powinien ponieść konsekwencje tego zapomnienia. Zupełnie pomijając, że niewiele to zmienia, bo na Romanowskim ciąży 11 poważnych zarzutów i rozprawy sądowej nie uniknie.

Widzimy, że osoby tworzące koalicję charakterologicznie są inne niż PiS. W Zjednoczonej Prawicy wielką część ekipy rządzącej to byli ludzie gotowi do walki, szukający zwady z wrogiem, prawdziwym bądź wyimaginowanym. Kaczyński prowadził politykę wysokooktanową, która była (i jest) zorganizowana wokół szukania wroga: Niemców, lewaków, LGBT, komunistów, wrogów



Komisje śledcze startowały z przytupem, a skończyło się awanturami i bezradnością przesłuchujących. Nz. Jarosław Kaczyński przed komisją ds. afery wizowej.

Kościoła, imigrantów, i nazywania opozycji partią zewnętrzną. Do walki z tymi wrogami organizował aparat partyjny, sympatyków, napuszczał wyborców. I w końcu ich sobie wychował.

Ci z koalicji 15 października woła sielanki. W awanturach są nieporadni, nieprzygotowani. Chcieliby sobie przyjemnie pożyć... Może więc lepiej zejść z linii strzału? Podobne myśli błąkają się im po głowach.

Na takim tle swoje ministerstwo prowadzi Adam Bodnar. Ministerstwo, które otrzymał zabetonowane. Osiem lat rządów Zbigniewa Ziobry zrobiło swoje. Sąd Najwyższy, Krajowa Rada Sądownictwa, Trybunał Konstytucyjny – tam przewagę mają ludzie wysłani przez Kaczyńskiego i Ziobrę, wrodzy wobec nowej władzy.

Sądy powszechne – tu jeśli nie chce się rewolucji, trzeba zmiany prowadzić krok po kroku. Prokuratura? PiS latem 2023 r. zmieniło ustawę o prokuraturze, faktycznym jej szefem robiąc prokuratora krajowego, którym został Dariusz Barski, zaufany Ziobry, świadek na jego ślubie. Wszyscy wiemy, co było dalej.

Posiłkując się kruczkim prawnym, Bodnar uznał, że Barski prokuratorem krajowym nie jest, i doprowadził do zmian. Ale ziobryści w prokuraturze pozostali. Jest ona dziś podzielona, wręcz rozerwana. Można iść o każdy zakład, że wygląda słabo.

Dlaczego? Prokuratura w III RP nigdy nie była przesadnie mocna, za to nastawiona na słuchanie poleceń polityków. Poleceń wydawanych przez

z PRZEGLĄDEM mówili sędziowie. Do tego trzeba dołożyć nabożną wiarę w areszty wydobywcze. I powolne działanie.

Adam Bodnar i Dariusz Korneluk, jak możemy obserwować, próbują jakoś temu zaradzić. W sprawie Funduszu Sprawiedliwości powołano zespół prokuratorów, którego szefową została prokurator Marzena Kowalska, i – widzimy to – sprawy idą dość

PiS robi wszystko, by rozliczanie zatrzymać, a przynajmniej pokazać je jako akt nie tyle sprawiedliwości, ile wścieklej zemsty.

telefon, co wiele lat temu wykrzyczał prokurator Zygmunt Kapusta. Nastawiona na wyczuwanie politycznych wiatrów, jednych spraw nie widziała, chociaż leżały na stole, a drugie widziała tylko w swojej wyobraźni. Przykład Tomasza Komendy owo łapanie „wiatrów politycznej woli” dobrze ilustruje. To się nie zmieniło, o czym wiemy chociażby z taśm Tomasza Mraza. Bardzo słabą stroną prokuratury była też nieumiejętność zebrania materiałów i skonstruowania na ich podstawie aktu oskarżenia. O tym wielokrotnie w rozmowach

szybko. A że przydarzyła się wpadka z immunitetem Romanowskiego?

Nie przywiązujemy do tego nadmiernej wagi.

„Niech nikt nie liczy na jakąś grubą kreskę, sprawy z czasów rządów PiS trzeba rzetelnie badać – powtarza Adam Bodnar. – Jest to proces trudny i skomplikowany ze względu na skalę wyzwań i liczbę spraw”.

Jak dużą liczbę? Na niedawnej konferencji prasowej Bodnar wymienił 20 najważniejszych postępowań toczących się obecnie w prokuraturze. To chociażby sprawy: Funduszu ▶

► Sprawiedliwości, wykorzystywania oprogramowania Pegasus, nadużyć dokonywanych w Orlenie, wyłudzeń środków z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, działalności podkomisji smoleńskiej, kwestii tzw. wyborów kopertowych, afery hejterskiej, zakupów w czasie pandemii, afery wizowej oraz nadużyć w Lasach Państwowych.

Jeżeli partia się okaże złodziejska, trudno jej będzie liczyć na wyborcze wygrane, a nawet na przetrwanie.

„Nie jest to pełna lista. W zasadzie nie ma tygodnia, abyśmy nie dowiadywali się o kolejnej ważnej sprawie, która wymaga zaangażowania prokuratury”, dodaje minister Bodnar.

Jakkolwiek by patrzeć – nie są to drobne sprawy. Z tej kupki wskazałbym przynajmniej dwie.

Pierwsza to sprawa Orlen Trading Switzerland, spółki, którą powołał do życia Orlen. Jej prezesem został w 2022 r. Samer A., mieszkaniec Bahrajnu, ale z polskim obywatelstwem.

Amerykańskie służby wywiadowcze informowały ABW, że podejrzewają go o związki z arabskimi ekstremistami. I że są to poważne podejrzenia. Dodajmy, że w Polsce przeciwko Samerowi A. toczyło się w tym czasie śledztwo o udział w grupie wyłudzaającej VAT (w latach 2008-2013).

Takiego człowieka powołano na szefa spółki, która miała kupo-

wać dla Orlenu ropę. Skończyło się tym, że spółka wpłaciła na jedną z transakcji zaliczkę w wysokości 400 mln dol. Ropa nie przyłynęła, pieniądze zniknęły.

Druga sprawa właśnie się rozwija – to kierowana przez Michała Kuczmierowskiego, człowieka Mateusza Morawieckiego, Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych. RARS kupowała i przepłacała. Jak ujawnił Onet, handlowała m.in. ze spółkami Pawła Szopy, zajmującego się produkcją tzw. odzieży patriotycznej Red is

Bad. Odzież promowali chociażby prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki. Spółki Szopy sprowadziły z Chin m.in. agregaty prądotwórcze za 69 mln zł, za które dostały od RARS 350 mln zł.

Inny z dostawców to Dominik Basior, który w 2019 r. odpowiadał za kampanię wyborczą Mateusza Morawieckiego. Później handlował z RARS – za półmaski i rękawiczki jedna z jego firm dostała 55 mln zł, natomiast druga za agregaty prądotwórcze 92 mln zł.

Podsumowując te działania, Andrzej Stankiewicz pisał w tygodniku „Newsweek”: „Dziś wiadomo, że złodziejstwo w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych za czasów Kuczmierowskiego i Morawieckiego przekracza wszelkie znane dotąd granice. Złodziejstwo ludzi Morawieckiego może mieć dla PiS znacznie poważniejsze konsekwencje od złodziejstwa ludzi Ziobry”.

Czy kogoś to ruszyło?

To właśnie jeden z ważnych powodów, dla którego coraz wyraźniej słychać tych, którzy mówią,

CO HAMUJE ROZLICZENIA PiS?

BARBARA PIWNIK,

prokurator generalna w rządzie Leszka Millera, sędzia

Przede wszystkim obowiązuje nas prawo. Nie wystarczy zaповідzi polityków i oczekiwanie podsycane ich wystąpieniami. Mimo że kampania wyborcza się skończyła, nie przeszkadza to politykom w ciągłym nakręcaniu oczekiwań opinii publicznej. Od polityków wymagałabym raczej, że nie będą wydawać wyroków i ogłaszać za udowodnione tego, co dopiero w prawidłowo prowadzonym postępowaniu może zostać wykazane. Zarówno wcześniej, jak i teraz nie można wyrabiać w społeczeństwie przekonania, że politycy wszystko przyśpieszą, bo obywatele oczekują szybkiego rozliczenia PiS. Każdy, kto chce przyśpieszyć dążenie do wyniku końcowego postępowania prawnego, powinien się zastanowić, czy sam stając pod jakimkolwiek zarzutem, chciałby, żeby sprawę rozstrzygnięto szybko, czy w zgodzie z wszelkimi procedurami i zasadami prawnymi należnymi każdemu obywatelowi. Dopiero kiedy ktoś uczciwie odpowie sobie na to pytanie, będzie wiedział, jakie są jego oczekiwania co do rozstrzygnięcia postępowań wobec innych osób.

JERZY STĘPIEŃ,

w latach 2006-2008 prezes Trybunału Konstytucyjnego, sędzia

Widzę trzy czynniki, które determinują obecną sytuację. Problematyczna wydaje się przede wszystkim sprawa prokuratury,

która nie została do końca odbita przez nową ekipę. Kadry w dużej mierze ukształtowane przez poprzedni układ polityczny na wielu polach bojkotują obecną sytuację i spowalniają działania obecnie rządzących. Drugiej poważnej przeszkody upatrywałbym w braku służby cywilnej w Polsce. Politycy, którzy przychodzą zastąpić poprzednią ekipę, nie bardzo mogą liczyć na lojalną współpracę urzędników, którzy z kolei nie mają pewności, że zmiana układu politycznego nie będzie miała wpływu na pogorszenie ich sytuacji zawodowej, a w konsekwencji również życiowej. Dlatego część urzędników markuje swoją pracę. Politycy są raczej zdeterminowani, aby zajmować się rozliczeniami. Brakuje im jednak odpowiednich narzędzi, którymi mogliby te chęci przekuć w realne działania. Jednocześnie politycy nie chcą sięgać po metody niedozwolone, które nie miałyby uzasadnienia w rozwiązaniach prawnych.

PIOTR GĄCIAREK,

sędzia, prezes oddziału warszawskiego SSP „Iustitia”

Nie chcę wchodzić w dywagacje polityczne, bo nie jest to moją rolą, tak jak żadnego sędziego. Mogę natomiast powiedzieć, że na pewno mamy w Polsce problem z czymś, co określiłbym jako przywracanie działania prawa i praworządności. W tej materii mogę pokazać, co konkretnie nas hamuje. Na poziomie czysto konstytucyjnym hamuje nas prezydent.



„Niech nikt nie liczy na grubą kreskę, sprawy z czasów rządów PiS trzeba rzetelnie badać”, mówi minister Adam Bodnar.

żeby rozliczanie sobie odpuścić. Bo naszych to nie rusza, a pisowców mobilizuje.

To oczywiste, że złodziejstwo, łamanie prawa i przekręty muszą być ujawnione i ukarane. Tego wymaga poczucie sprawiedliwości, bez tego nie ma jakiegokolwiek ładu społecznego. Kłopot jednak

w tym, że wyobraźnia społeczna jest niecierpliwa.

Obecna koalicja stanęła, i w zasadzie wciąż stoi, przed różnymi wariantami. Może przyjąć wariant proponowany przez Szymona Hołownię. Wycofać się z rozliczeń, zająć się innymi sprawami, wiadomo, sytuacja jest inna niż rok temu. Może przyjąć wariant proponowany przez Romana

Giertycha. On z kolei chce teatru rozliczeń, czegoś w stylu, który prezentowali nam Zbigniew Ziobro albo Patryk Jaki. To nie bez powodu jest teatr. Oto bowiem wychodzi na scenę sygnalista, jak Tomasz Mraz czy sędzia Arkadiusz Cichocki. Podobno będą następni. Sygnalista opowiada, media to przekazują, afera na pół Polski! Potem – według tego scenariusza – do gry powinien wejść prokurator, zatrzymać tych, na których sygnaliści wskazali palcem, i wsadzić ich do aresztu. Człowiek za kratkami, sprawa załatwiona, wyborcy są przeświadczeni o sprawczości władzy. Zwłaszcza kiedy usługne media powtarzają co chwila, że afera, że złodziejstwo itd.

Wszystko więc odbywa się w zbiorowej wyobraźni, a że za dwa lata będzie się odbywała rozprawa sądowa, a tam może być różnie, to już nikogo nie obchodzi. Tak działał Zbigniew Ziobro. Tak działa Antoni ▶

I chociaż nie dostał on jeszcze ustaw dotyczących naprawy sądów powszechnych i Sądu Najwyższego, to już wiadomo, że nie spotkają się one z jego akceptacją. Szczególnie że przyłożył on rękę do zamachu na sądownictwo, tak aby te instytucje były podporządkowane jednej sile politycznej. Trudno więc, żeby teraz podważał własne decyzje. Podobnie jest i będzie z Trybunałem Konstytucyjnym. Przypomnę tylko, że już w 2015 r. Andrzej Duda odmówił odebrania ślubowania od trójki legalnie wybranych sędziów TK. Po drugie sytuacja w sądownictwie jest trudna ze względu na to, że jest mnóstwo wadliwie powołanych sędziów. Problemu neosędziów nie da się zaś politykom zamieść pod dywan. Neosędzia przede wszystkim nie zapewnia prawa do należycie obsadzonego sądu. To zaś godzi w gwarantowane w naszej konstytucji i w art. 6 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka prawo do rozpoznania sprawy każdego obywatela przez niezależny i bezstronny sąd. Problemem jest to, że mamy również zawłaszczony Sąd Najwyższy, gdzie zasiadają uzurpatorzy, a nawet pseudosędziowie. Nie jest tajemnicą, że niektóre osoby nie mają kwalifikacji, aby być w SN, bo były np. pracownikami Izby Dyscyplinarnej, ale nigdy nie byli sędziami.

Zapewne łatwiej jest przeprowadzać niektóre zmiany personalne w prokuraturze, gdzie prokurator generalny ma inną pozycję i większe pole manewru do wymieniać ludzi mianowanych przez poprzednika. Natomiast w sądach pozostaje ciągle wielu prezesów, którzy zawdzięczają kariery Zbigniewowi Ziobrze.

Podsumowując, wymiar sprawiedliwości jest cały czas w dużym stopniu hamowany przez zawłaszczenie części

instytucji przez neosędziów i sędziów wiernych poprzedniej władzy, nie zaś prawu i etosowi sędziowskiemu.

PIOTR NIEMCZYK,

ekspert z zakresu bezpieczeństwa

Widzę trzy powody, dla których tak się dzieje. Po pierwsze, wszystkie działania należy przeprowadzać zgodnie z prawem. To samo w sobie oznacza czas i poruszanie się po wytyczonych przez literę prawa ścieżkach. Zbieranie materiału dowodowego, przesłuchania, odwołania. Często, aby stwierdzić, że spółka była niewłaściwie zarządzana, najpierw trzeba przeprowadzić konkursy na stanowiska i znaleźć fachowców, którzy dopiero wykażą nieprawidłowości. Takie procedury jak wyłonienie np. prezesa Orlenu rozkładają się na dni, a nie godziny. Po drugie, ławka kompetentnych kadr jest tak naprawdę dość krótka. Część zasobnych w wiedzę osób, które pełniły różne funkcje np. w spółkach skarbu państwa przed PiS, nie chce teraz tam wracać, bo znalazły pracę z lepszymi perspektywami czy pieniędzmi. Po trzecie, niestety w czasach PiS powstał pewien system wzajemnych zależności i oddawania przysług między politykami różnych partii. Dlatego dziś jakiemuś politykowi z niedawnej opozycji może się nie opłacać, żeby bliska osoba, jak żona czy kuzyn, straciła pracę, którą w ostatnich latach dostała w wyniku zawarcia kompromisu, a nie dzięki swoim kompetencjom. Ta sieć przysług powoduje niestety, że mimo temperatury życia politycznego, której doświadczamy na wierzchu, głębiej cały czas działa pewna sieć wzajemnych zależności, która wszystko studzi.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

► Macierewicz, w ten sposób wmówiono jednej trzeciej Polaków, że w Smoleńsku wybuchła bomba.

Pytanie tylko, czy chcemy się poddawać iluzji. Czy lepiej trzymać się drogi Bodnara? Może więc trzeba zawołać: ludzie, naprawdę wierzyliście, że w ciągu paru miesięcy pisowcy będą czwórkami szli do Wroniek? Spodziewaliście się, że pokornie pochylą głowy i wyciągną ręce do kajdanek? Że nagle spod ziemi wyłoni się armia nieskalanych prokuratorów i rażno ruszy do wyjaśniania spraw? A te sprawy, które normalnie toczą się przed sądami przez wiele lat, teraz pójdą migiem? W ciągu dwóch-trzech miesięcy?

PiS robi wszystko, by rozliczanie zatrzymać, a przynajmniej pokazać je jako akt nie tyle sprawiedliwości, ile wściekłej zemsty. Temu służą te wszystkie opowieści o „torturach”, którym są poddawani zatrzymani pisowcy. Mariusz Kamiński był torturowany, bo gdy odmawiał jedzenia, karmiono go na siłę. Torturowany jest ksiądz Michał Olszewski... Torturowane są dwie urzędniczki z Funduszu

- To już na ludzi nie działa.
- To jest próba pacyfikacji społeczeństwa, finałem będzie likwidacja państwa polskiego (tak głosi Kaczyński).

- Celem jest likwidacja obozu politycznego, któremu zależy na polskiej niepodległości (to z kolei głos Michała Karnowskiego).

- Dalej łamcie prawo! Gdy odbierzemy władzę, bez litości was rozliczymy.

- Do końca życia bodnarowcy nie wyjdą z więzienia (tak ogłasza Patryk Jaki).

I to jest niewątpliwie w tej wyliczance prawdą – gdyby PiS odzyskało władzę, zrewanżowałoby się Tuskowi i jego ekipie bez litości. Dlatego władzy już nie odzyska.

Tusk jest dziś w sytuacji faktycznie bez wyjścia. Może iść tylko do przodu, bo jeżeli się zatrzyma lub zacznie się cofać, straci wszystko. Możemy więc opowiadać sobie, że rozliczenia interesują tylko najtwardszych wyborców koalicji, ale to będzie jedynie połowa odpowiedzi.

Donald Tusk nie ma wyboru, ale też widzi, ilu ludziom z jego ekipy nie chce się szarpać.

Sprawiedliwości, bo w celi pali im się światło. Oni wszyscy odgrywają rolę tzw. żołnierzy wyklętych torturowanych przez UB. Egzaltacja i bezczelność są tu imponujące.

Na zarzuty stawiane kolejnym ludziom PiS mamy też zestaw gotowych pisowskich odpowiedzi. Można je wyliczyć:

- Przekazywanie pieniędzy było zgodne z prawem. Były one kierowane do naszych ludzi, naszych stowarzyszeń, prawicowych, a nie szły do waszych. I dlatego was to boli.

- Te zarzuty to kapiszon. Niewiele znaczą. W zasadzie to propaganda wykreowana przez naszych wrogów.

- To jest nic w porównaniu z waszymi aferami.

- To zemsta.

- To próba odwrócenia uwagi od błędów i zaniechań rządu, od drożyzny itd.

Rozliczenia interesują samych zainteresowanych. Jarosław Kaczyński zbudował państwo partii, które było nadzwyczaj łaskawe dla pisowskich urzędników. Można rzec: kupował ich wierność, płacąc państwowym, wydzielając odpowiednie kawały czerwonego sukna. A jeżeli ktoś nie wierzy w to zinstytucjonalizowane rozdrapywanie Polski, niech przeczyta umowę koalicyjną między PiS a ziołbrystami.

Karmił też dziennikarzy. Z samego Funduszu Sprawiedliwości spółka Orle Pióro, wydająca tygodnik „Do Rzeczy”, dostała 4,15 mln zł, spółka Fratria (wydawca „Sieci” i portalu wPolityce) – 3,6 mln zł, spółka Spes i Fundacja Lux Veritatis (media ks. Rydzyka) – 3 mln zł, spółka Słowo Niezależne (niezależna.pl i „Gazeta Polska”) – 2,7 mln zł, Telewizja Republika – 2 mln zł. A reklamy ze spółek skarbu państwa i instytucji

państwowych? Jeśli chodzi o tygodniki opinii, to „Sieci” zarobiły na reklamach ze spółek skarbu państwa ponad 20 mln zł, „Do Rzeczy” – niespełna 14 mln, a „Gazeta Polska” Sakiewicza 13 mln zł. I to nie jest koniec „transferów”, które uczyniły milionerów z chwalących PiS dziennikarzy...

Dlatego przeprowadzenie rozliczeń jest dla PiS śmiertelnym niebezpieczeństwem. Po pierwsze, dla ludzi, którzy w różnych przekrętach brali udział i niezwykle się wzbogacili. Bo widmo prokuratora i sędziego szybko może się zmaterializować. Po drugie, dla samej partii – jeżeli się okaże złodziejska, trudno jej będzie liczyć na wyborcze wygrane, ba – na przetrwanie.

Dla PiS kwestia rozliczeń to wręcz być albo nie być. Dlatego się bronią. Dlatego pisowskie media podnoszą donośny krzyk. Ten krzyk ma mobilizować swoich, ma zatrzymać koalicję, ma też onieśmielić urzędników, funkcjonariuszy policji i innych służb, prokuratorów, sędziów. Żeby ręka im zadrżała. Oni te rozliczenia obserwują i w zależności od rozwoju sytuacji będzie to dla nich czytelny sygnał, w którą stronę zmierza Polska. W stronę państwa prawa, podstawowego ładu i porządku, czy w stronę państwa skorumpowanego, zepsutego, które można grabić.

To wojna Wschodu z Zachodem.

To jest też legitymacja do rządzenia.

Bo w rozliczeniach nie chodzi o walkę z PiS, ale walkę o Polskę, do której obywatel czuje szacunek. Takiej Polski przecież wszyscy chcemy. I wszyscy obserwujemy, w którą stronę to zmierza.

Dlatego Donald Tusk nie ma wyboru. Chyba sobie z tego zdaje sprawę. Ale też widzi, jak wielu ludziom z jego ekipy nie chce się szarpać, że chcieliby znaleźć się w takiej Polsce, w której wystarczy puszczać ciepłą wodę z kranu.

Są naiwni, takiej Polski, po latach Kaczyńskiego, w sytuacji tak dużego poparcia dla PiS i takiej temperatury nastrojów społecznych, jeszcze dłużej nie będzie.

Twarde czasy nastały.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeklad.pl

Pod bardzo wysokim napięciem

W Polsce samochód elektryczny to kłopotliwy luksus.
I prędko to się nie zmienia

Grzegorz Rudnik

Być może ktoś jeszcze pamięta zapowiedź premiera Mateusza Morawieckiego z 2016 r., że w roku 2025 będziemy mieli milion samochodów elektrycznych. Fakty są takie, że na koniec kwietnia br. w Polsce zarejestrowanych było zaledwie 55 958 całkowicie elektrycznych samochodów. A hybrydowych plug-in – 53 817 sztuk. To ułamek procenta wszystkich pojazdów poruszających się po naszych drogach, a jeździ ich ponad 19 mln.

Pozornie zmiany wydają się nieuniknione. Zgodnie z decyzją Parlamentu Europejskiego od 2035 r. w państwach Unii Europejskiej ma być zakazana rejestracja samochodów spalinowych, które będzie można kupić tylko na rynku wtórnym. Czy nam się to podoba, czy nie, zdaniem brukselskich urzędników już jesteśmy skazani na tzw. elektryki.

Moim zdaniem zakaz ten będzie można między bajki włożyć, gdyż większość krajów Unii nie jest gotowa na tak daleko idącą transformację, a poza tym samochody z silnikami benzynowymi i diesla są praktyczniejsze i tańsze w eksploatacji.

Bolesnie przekonał się o tym światowy potentat na rynku wypożyczalni samochodów, koncern Hertz, który trzy lata temu zamówił 100 tys. samochodów elektrycznych marki Tesla. Elon Musk był zachwycony. Potem było tylko gorzej.

Wynajem samochodów elektrycznych nie przełożył się na lepsze wyniki firmy, a zaczął wręcz przynosić straty. W jednym z wywiadów Stephen M. Scherr, były już dyrektor generalny sieci wypożyczalni Hertz, powiedział, że koszty napraw tych samochodów są około dwukrotnie wyższe niż samochodów



W Polsce jest 6691 punktów ładowania elektryków i na każdy przypada niemal 10 samochodów. W Niemczech takich punktów jest 100 tys.

spalinowych. I dodał, że gdyby nie elektryki, firma bez wątpienia zarobiłaby dużo więcej pieniędzy. W konsekwencji koncern anulował zamówienie i wystawił na sprzedaż 20 tys. dostarczonych już pojazdów. To nie była najlepsza reklama elektromobilności.

Rewolucja czy ewolucja?

Kariera współczesnych samochodów elektrycznych zaczęła się w roku 2003, gdy w Austin w Teksasie powstała firma Tesla, której współzałożycielem był 32-letni Elon Musk opromieniony sławą założyciela firm PayPal (usługi transferu pieniędzy) i Space X (projektowanie i konstruowanie rakiet nośnych dla pojazdów kosmicznych).

Nikt nie wątpił w jego zapowiedzi uruchomienia seryjnej produkcji tanich samochodów elektrycznych,

które przewyższałyby zalety tradycyjnych pojazdów o napędzie spalinowym. Musk trafił w niszę rynkową, gdyż na początku XXI w. koncerny samochodowe nie były zainteresowane elektrykami, traktując je jako ciekawostkę.

Pierwszy samochód marki Tesla o nazwie Roadster zjechał z linii produkcyjnej w 2008 r. Ten mały sportowy pojazd powstał we współpracy z firmą Lotus Car i wcale nie był tani – w wersji podstawowej kosztował 98,5 tys. dol. Pierwszy seryjny model o nazwie Model S pojawił się na rynku w czerwcu 2012 r. Z kolei w roku 2015 zadebiutował Model X. Do początku 2018 r. Tesla wyprodukowała 300 tys. samochodów. Wartość giełdowa spółki rostała jak na drożdżach. W chwili debiutu na amerykańskiej giełdzie NASDAQ w 2010 r. za jedną akcję płacono 17 dol., a 11 lat później wartość ▶

► tej samej akcji osiągnęła 895 dol.! Co uczyniło firmę Muska wartą więcej niż General Motors i Ford.

Elektryki przestały być ciekawostką i każdy szanujący się producent samochodów uruchomił produkcję własnych pojazdów z takim napędem. Rządy bogatych krajów wspierały firmy dopłatami do sprzedawanych samochodów. Poza Stanami Zjednoczonymi stały się one modne w Europie i Chinach. Koncern BYD Auto z siedzibą w Shenzhen graniczącym z Honkongiem już

to zastąpienie ponad 19,349 mln jeżdżących po naszych drogach samochodów zajęłoby 38 lat! Przy czym byłby to najmniejszy problem.

Na razie jest drogo

Najtańszym samochodem elektrycznym w Polsce jest Dacia Spring, której najnowszy, produkowany w Chinach model, trafi do klientów we wrześniu i w wersji podstawowej będzie kosztował 76,9 tys. zł. Jego zasięg to 230 km.

Koncern Hertz trzy lata temu zamówił 100 tys. samochodów elektrycznych marki Tesla. Elon Musk był zachwycony. Potem było tylko gorzej.

w roku 2016 produkował i sprzedawał więcej takich samochodów niż Tesla. Wydawało się, że nic nie jest w stanie powstrzymać ekspansji elektryków. Jednak w ubiegłym roku stało się coś złego. Sprzedaż zwolniła.

W czerwcu ubiegłego roku koncern Volkswagen zmuszony był ograniczyć produkcję samochodów elektrycznych w swojej fabryce w Emden, zredukować zatrudnienie i wydłużyć o tydzień wakacje dla pracowników. Powód – spadek o 30% popytu na produkowane tam pojazdy. Okazało się, że Teutoni nie są w stanie konkurować nie tylko z Teslą, która uruchomiła swoją fabrykę pod Berlinem, ale i z chińskimi koncernami. Co gorsza, niemiecki rząd obciął dotację do produkcji tych samochodów. Niemieckie media donosiły o 40 tys. elektryków Volkswagena stojących na placach i czekających na klientów.

W ostatnich miesiącach mało kto mówi i pisze o rewolucji, jaka dzięki samochodom elektrycznym dokona się na europejskich drogach. W modzie jest słowo „ewolucja”, a prognozy przewidują, że zastąpienie pojazdów z napędem spalinowym potrwa dziesięciolecie. I są one pewnie bliższe prawdy.

Policzmy – gdybyśmy rocznie sprzedawali w kraju 500 tys. elektryków (w ubiegłym roku Polacy kupili 475 tys. nowych pojazdów),

Droższy jest Smart EQ fortwo, za który trzeba zapłacić 96,9 tys. złotych. Jego zasięg na pełnym ładowaniu to 145-150 km. Jeśli włączymy klimatyzację, spadnie on do 115 km. Co oznacza, że Smart EQ fortwo jest adresowany do bogatych ekologów, chcących jeździć pojazdem o kontrowersyjnej stylistyce na skromne zakupy do supermarketu.

O wiele lepszym wyborem będzie Nissan Leaf, choć za podstawową ubiegłoroczną wersję przyjdzie zapłacić 133,75 tys. zł. Za to zasięg 389 km na jednym ładowaniu budzi szacunek. Trochę droższy jest Fiat 500e, którego ceny

zasięgu 513 km przyjdzie zapłacić 194,99 tys. zł. A BMW iX w wersji xDrive40 o zasięgu 471 km to koszt od 378,3 tys. zł w górę.

W kwietniu tego roku w Warszawie doszło do wypadku na skrzyżowaniu al. Niepodległości i ul. Mada-lińskiego. Kierujący samochodem elektrycznym marki Lucid uderzył w słup sygnalizacji świetlnej. Kierowca wyszedł z tego bez większych obrażeń, ale samochód spłonął. Lucid Motors to amerykańska marka. Zasięg produkowanego przez nią elektryka to ponad 800 km. Jego cena sięga miliona złotych. I taki właśnie model poszedł z dymem.

Samochody elektryczne są drogie i długo jeszcze w Polsce nie będą poważną konkurencją dla pojazdów o napędzie spalinowym. Dobrze sprzedają się w bogatych krajach, takich jak Norwegia, Niemcy czy Stany Zjednoczone. Naprawa jest niezwykle kosztowna. Posiadacz golfa, seata lub hondy, jeśli dojdzie do stłuczki, za wymianę błotnika zapłaci najwyżej kilka tysięcy złotych. Posiadacz elektryka musi liczyć się ze znacznie wyższym wydatkiem w specjalistycznym warsztacie. Jeśli zaś dojdzie do uszkodzenia baterii, to koszt jej wymiany może sięgnąć nawet 70 tys. zł.

Serwisowanie samochodów elektrycznych jest dziś o wiele bardziej kłopotliwe, gdyż warsztatów, które się tym zajmują, nie ma zbyt wiele,

Samochody elektryczne są drogie i długo jeszcze w Polsce nie będą poważną konkurencją dla pojazdów o napędzie spalinowym. Dobrze sprzedają się w bogatych krajach, jak Norwegia, Niemcy czy Stany Zjednoczone.

zaczynają się od 142,4 tys. zł. Samochód ma zasięg 190 km w cyklu mieszanym, więc raczej nie będzie konkurencją dla Nissana.

Jeśli natomiast szukamy samochodu elektrycznego oferującego zasięg porównywalny z tradycyjnymi pojazdami, to trzeba liczyć się ze znacznie poważniejszym wydatkiem. Volvo EX30 uszczupli portfel o 176,99 tys. zł. Za bazową Teslę Model 3 o realnym

a ich pracownicy muszą być w tym kierunku przeszkoleni. Wszak to praca z urządzeniami pod wysokim napięciem. Nie możemy też liczyć na zamienniki. Wymiana uszkodzonych elementów oznacza konieczność sięgnięcia po oryginalne części, które do tanich nie należą.

Producenci zapewniają, że elektryki są bardziej niezawodne niż samochody spalinowe i nie wymagają na przykład regularnej wymiany oleju.

Udzielają też długich, sięgających 8-10 lat gwarancji.

Tesla zapewnia, że jej baterie, przy normalnej eksploatacji, mogą pokonać 800 tys. km. Czyli działać bezawaryjnie przez 30 lat. By się o tym przekonać, będziemy musieli poczekać do połowy stulecia. A to nie wszystko. Samochody elektryczne są wręcz naszpikowane elektroniką. Ciekawe, jak za 30 lat będą działały zainstalowane w teslach komputery, jeśli dziś pięcioletni laptop uchodzi za zabytek. I co z oprogramowaniem? Podobnych niewiadomych jest znacznie więcej.

Trzeba też pamiętać, że proces produkcji baterii do elektryków nie tylko jest kosztowny, ale i powoduje olbrzymie szkody dla środowiska. Wydobycie kobaltu, litu i niklu oznacza ogromne zużycie wody, zapylenie i zanieczyszczenie powietrza. W ten sposób bogate europejskie kraje wspierają brudną produkcję w państwach Trzeciego Świata. Tam ekologią mało kto się przejmuje, a Europejczycy mają czyste sumienie.

Na jedną baterię do samochodu elektrycznego potrzeba 10 kg kobaltu. By wyprodukować milion samochodów, trzeba będzie zużyć 10 tys. ton tego metalu.

W przyszłości poważnym problemem stanie się utylizacja zużytych baterii samochodowych. Bogate kraje nie będą ryzykowały szkodliwej dla środowiska naturalnego produkcji i zadbają o to, by zajęły się tym państwa afrykańskie i azjatyckie. Kilka lat temu pewien niemiecki start-up zaproponował, by takie baterie wywozić do Indii, gdzie mogłyby znaleźć zastosowanie jako napęd popularnych na subkontynencie riksów.

W naszym kraju działa największy w Europie producent baterii litowo-jonowych dla przemysłu motoryzacyjnego. To fabryka należąca do spółki LG Energy Solution w Biskupicach Podgórnym pod Wrocławiem. Trzy lata temu pojawił się pomysł, by spółka rozbudowała zakład o część, w której zajęto by się utylizacją zużytych baterii.

W marcu tego roku Grupa Eneris, zajmująca się przetwarzaniem odpadów, otworzyła w Żarach największą

w Europie instalację recyklingu baterii litowych oraz odpadów akumulatorowych, a także odpadów produkcyjnych pochodzących z branży elektromobilności.

W przyszłości trzeba będzie sięgnąć po złoża metali znajdujące się na dnie lub pod dnem oceanów, co źle wróży środowisku naturalnemu. A wtedy okaże się, że samochody elektryczne szkodzą planecie bardziej niż diesle.

Infrastruktura, głupcze!

O ile w krajach takich jak Holandia, Norwegia czy Belgia można bez trudu naładować baterie swojego elektryka, o tyle w Polsce jest to poważny problem. Pół biedy, jeśli ktoś jest właścicielem willi z ogrodem i przed garażem postawi słupek z gniazdem do ładowania swojej tesli. Lecz gdzie ma ładować samochód mieszkaniac dziesięciopiętrowego budynku? Na parkingu? Przed supermarketem? Na ulicy?

Wyjaśnień wymaga problem samozapłonu samochodów elektrycznych. Jeśli baterie takiego pojazdu się zapalą, jest po wszystkim. Samochód nie do uratowania.

W całym kraju jest dziś 6691 punktów ładowania samochodów elektrycznych, w tym 3686 stacji. Oznacza to, że na jeden punkt przypada 9,9 pojazdu. Dla porównania w Niemczech jest ok. 100 tys. publicznych stacji ładowania elektryków. W Norwegii, która liczy ponad 5 mln mieszkańców – 10 tys., a w prawie 10-milionowej Szwajcarii właściciele takich samochodów mają do dyspozycji 6,5 tys. stacji.

W ubiegłym roku rząd niemiecki przeznaczył ponad 6 mld euro na usprawnienie i rozbudowę sieci ładowania. Tamtejsi politycy zakładają, że w roku 2030 będzie tam 1,5 mln samochodów elektrycznych.

Zanim Polacy masowo przesiądą się do elektryków, byłoby dobrze, by ktoś pomyślał o rozbudowie infrastruktury, która wsparłaby rozwój elektromobilności. Ciekawe, ile czasu zajmie nam budowa kolejnych, powiedzmy 20 tys., stacji ładowania?

I gdzie zostaną one zlokalizowane? Dziś wyprawa samochodem elektrycznym nad Bałtyk to przede wszystkim wyzwania logistyczne. Trzeba wiedzieć, gdzie znajdują się stacje ładowania. Zaplanować dojazd do nich, najlepiej z pomocą aplikacji w smartfonie, po czym można ruszać w drogę. Bez uwzględnienia tych czynników wyprawa zmieni się w koszmar.

Wyjaśnień wymaga problem samozapłonu samochodów elektrycznych. Jeśli baterie takiego pojazdu się zapalą, jest po wszystkim. Samochód nie do uratowania. Gaszenie go to dla strażaków wyzwanie. Jednym ze sposobów jest umieszczenie płonącego pojazdu w specjalnej skrzyni i... pozwolenie by się wypalił. Na szczęście w Polsce takie wypadki należą do rzadkości, lecz jeśli będziemy mieli więcej elektryków, na pewno do nich dojdzie.

Jeśli po naszych drogach będzie jeździło, powiedzmy 500 tys. samochodów elektrycznych, będą one

potrzebowały energii, co oznacza konieczność budowy nowych elektrowni. Pierwsza polska elektrownia jądrowa na razie jest w powijakach. W przeszłości liczyliśmy na dostawę prądu z Ukrainy, lecz dziś to my dostarczamy temu krajowi energię elektryczną.

Ostatecznie o sukcesie bądź porażce samochodów elektrycznych nad Wisłą zdecyduje rachunek ekonomiczny. Producenci samochodów zapowiadają, że za kilka lat nowe elektryki będą tańsze od samochodów spalinowych. Lecz jeśli okaże się, że ich eksploatacja jest zbyt kosztowna, nieprędko zrezygnujemy ze sprawdzonych golfów, passatów, nissanów i hond.

Dziś, jeśli przeciętny Polak może je kupić za 40 tys. zł z niewielkim przebiegiem, to nad czym się zastanawiać?

Grzegorz Rudnik

Gazety skażone PiS (część 2)

Karuzela stanowisk w Polska Press, czyli przypadek Kani i Bortkiewicza

Andrzej Sikorski

Tydzień temu napisaliśmy, jak PKN Orlen pod wodzą byłego wójta Pci-mia Daniela Obajtka kupić od Niemców koncern prasowy Polska Press, jak bardzo cieszył się z tego Jarosław Kaczyński i jak rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, organizacje pozarządowe oraz medioznawcy przestrzegali, że orlenowskie gazety staną się partyjną tubą propagandową na wzór TVP i PR. Teraz napiszemy, kogo PiS postawiło na czele „zrepolonizowanej” spółki medialnej.

Wiosna 2021 r. była dramatyczna. Nadeszła kolejna, największa fala zakażeń SARS-CoV-2, każdego dnia umierało kilkaset osób, brakowało szczepionek, w szpitalach miejsc i respiratorów, premier Mateusz Morawiecki prosił Polaków o zachowanie czujności, a w Polska Press doszło do zmiany zarządu.

„Dopóki będziemy mogli – będziemy robić swoje. Nie cofniemy się ani o krok (...). Dlatego już dziś rozczaruję tych polityków z PiS i ich sojuszników ugrupowań, którzy w swoich zapędach oczekują, że od teraz nie będzie w naszych tytułach niewygodnych czy krytycznych materiałów na ich temat. (...) Podkreślam więc, że takie materiały będą się pojawiać – dokładnie tak jak do tej pory. Lokalnie, regionalnie i centralnie. Zawsze, gdy będzie ku temu powód. PiS i jego sojusznicy rządzą już przecież Polską samodzielnie piąty rok. Tym bardziej, jako nieskrępowana żadnymi ograniczeniami władza, w naturalny sposób muszą podlegać krytyce”, deklarował w lutym 2021 r. Paweł Fąfara, redaktor naczelny Polska Press. Miesiąc później Fąfara został odwołany, a jego miejsce zajęła Dorota Kania, dziennikarka pisowskich mediów Tomasza Sakiewicza, m.in. Telewizji

Republika i „Gazety Polskiej”. Ponoć Kania została namaszczona przez samego Jarosława Kaczyńskiego, który nie widział nikogo innego na tak ważnym stanowisku.

Dziennikarka na bakier z prawem

Z punktu widzenia prezesa PiS wybór Kani, która uchodzi za jedną z najbardziej oddanych funkcjonariuszek partyjnej propagandy, wydawał się naturalny. Jednak jeśli chodzi o rzetelność zawodową, to trudno mówić, by Kania spełniała choć minimalne standardy.

Jeśli chodzi o rzetelność zawodową, trudno mówić, by Dorota Kania spełniała choć minimalne standardy.

Pisowska dziennikarka była co najmniej trzy razy karana za przestępstwa z art. 212 Kodeksu karnego (pomówienie), na koncie ma też przegrane procesy cywilne o naruszenie dóbr osobistych. Kania zamieszana była w aferę korupcyjną, z której udało się jej szczęśliwie wypłacić dzięki upolitycznionej prokuraturze. Sprawa dotyczyła przyjęcia prawie ćwierć miliona złotych od żony lobbysty Marka Dochnała w zamian za wyciągnięcie jej męża z aresztu. Działo się to za pierwszych rządów PiS. Kania (pracowała wówczas w „Życiu Warszawy”) zapewniała Aleksandrę Dochnał, że ma wpływowych przyjaciół, na których pomoc można liczyć, m.in. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, prokuratora krajowego Janusza Kaczmarska i ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę. Aleksandra Dochnał była zauroczona Kanią i przekazała dziennikarce ok. 250 tys. zł w kilku transzach w formie fikcyjnych pożyczek. Ponieważ Aleksandra Dochnał nie miała pieniędzy, by zaspokoić kolejne

żądania finansowe Kani, sprzedała obrazy, działkę i samochód. Pozbyła się oszczędności. Kania z obietnicy się nie wywiązała.

W 2008 r. Marek Dochnał wyszedł z aresztu, ale dzięki adwokatom, i zawiadomił o wszystkim prokuraturę, która postawiła Kani zarzut płatnej protekcji oraz powoływania się na wpływy. Sąd pierwszej instancji uznał, że rzekome pożyczki były faktycznie łapówką i skazał Kanię na więzienie w zawieszeniu. Jednak sąd apelacyjny uniewinnił dziennikarkę, argumentując, że czyniła zabiegi o uwolnienie lobbysty z dobrego

serca, a pieniądze były przyjacielską pożyczką. Takie tłumaczenie nie miało sensu. Kania nie zgłosiła bowiem rzekomych umów pożyczek w urzędzie skarbowym i nie zapłaciła od nich podatku, czym dopuściła się przestępstwa karnoskarbowego. A na umowach jako osoba pożyczająca wpisana była Barbara Pietrzyk, teściowa Dochnała. Chodziło o to, żeby ukryć, że pieniądze pochodziły od oskarżanego o wiele przestępstw lobbysty.

Prokuratura Okręgowa w Opolu, która oskarżała Kanię, złożyła w 2016 r. kasację do Sądu Najwyższego od wyroku uniewinniającego, która jednak szybko została wycofana. Według nieoficjalnych informacji stało się tak na polecenie ówczesnego prokuratora krajowego Bogdana Świączkowskiego, który koleguje się z Kanią i został potem umieszczony przez PiS w tzw. trybunale konstytucyjnym Julii Przyłębskiej.

Pisowska prokuratura roztoczyła parasol ochronny nad Kanią również



W 2021 r. redaktor naczelną Polska Press została Dorota Kania, ponoć namaszczone przez samego Jarosława Kaczyńskiego.

Pozycja Stanisława Bortkiewicza w TVP była tak mocna, że niektórzy mówili, że to on faktycznie rządzi spółką.



wtedy, gdy ta ujawniła w grudniu 2017 r. oznaczone klauzulą „ściśle tajne” materiały ze śledztwa wykradzione z Prokuratury Okręgowej w Warszawie (o sprawie pisaliśmy w artykule „Kulisy prowokacji PiS”, PRZEGLĄD nr 45/2023). Chodziło o rzekomą współpracę szefów Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW) Piotra Pytla, Krzysztofa Duszy i Janusza Noska z rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa (FSB). Sprawa została sprokurowana przez ludzi Antoniego Macierewicza, w tym Piotra Bączka, byłego dziennikarza „Gazety Polskiej” i szefa Klubu „Gazety Polskiej” w Warce, który został

wykorzystanie informacji oznaczonych klauzulą „ściśle tajne”) zagrożone są karą do siedmiu lat więzienia.

Człowiek braci Karnowskich

Prezesem Polska Press został natomiast Tomasz Przybek, uważany za człowieka braci Jacka i Michała Karnowskich, a to dlatego, że był szefem spółki Fratria wydającej m.in. tygodnik „Sieci”, portal wPolityce.pl i odpowiadającej za telewizję wPolisce.pl. Głównym udziałowcem Fratrii jest Spółdzielczy Instytut Naukowy Grzegorza Biereckiego, założyciela SKOK-ów i wpływowego senatora

Zaufany Jacka Kurskiego

Przybek jednak nie zagroził długo miejsca w orlenowskim koncernie, bo już jesienią 2022 r. prezesem Polska Press został Stanisław Bortkiewicz, zaufany człowiek Jacka Kurskiego. „Mediami nigdy nie zarządzał, na dziennikarstwie się nie zna, a do dziennikarzy ma uraz” – napisał o Bortkiewiczu magazyn branżowy „Press” w 2020 r. w artykule zatytułowanym „Borman”.

Bortkiewicz z wykształcenia jest lekarzem, przez jakiś czas pracował nawet w zawodzie, ale założył własny biznes. Chyba za bardzo mu nie szło, bo dzięki wsparciu Solidarności został dyrektorem spółki Ursus, która produkowała ciągniki. W tamtym czasie związał się ze środowiskiem braci Kaczyńskich. Gdy prezydentem Warszawy był Lech Kaczyński, Bortkiewicz trafił na stołek prezesa Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. Za pierwszych rządów PiS został dyrektorem w państwowym holdingu energetycznym BOT Górnictwo i Energetyka (który później wszedł w skład Polskiej Grupy Energetycznej), skąd przeszedł na dyrektorską posadę w PZU. Po przegranych przez PiS wyborach założył firmę doradczą, która zajmowała się restrukturyzacją spółek, głównie państwowych.

Bortkiewicz wytypował ponownie w 2016 r. Najpierw został doradcą ►

Prezes Bortkiewicz „mediami nigdy nie zarządzał, na dziennikarstwie się nie zna, a do dziennikarzy ma uraz”.

ulożony przez PiS na stanowisku szefa SKW. Materiały i informacje ze śledztwa (m.in. fotokopie akt) pojawiły się w Telewizji Republika, na portalu Telewizji Republika, na portalu Niezależna.pl i w „Gazecie Polskiej”. Co prawda prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie wycieku, ale szybko zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawcy, a Kania nawet nie została przesłuchana (sic!). Tymczasem popełnione przez Kanię przestępstwa (bezprawne rozpowszechnianie wiadomości z postępowania przygotowawczego i ujawnienie lub

PiS. Przybek po dojściu PiS do władzy w 2015 r. zaczął robić karierę w spółkach państwowych, m.in. w Armaturze Kraków, Polskich Pracowniach Konserwacji Zabytków i Polskiej Agencji Prasowej. Nominacja Przybka na prezesa Polska Press była sygnałem, że grupa medialna braci Karnowskich została dopuszczona do medialnego tortu pod auspicjami PKN Orlen. Nie jest bowiem tajemnicą, że oba środowiska (Tomasza Sakiewicza i Karnowskich) konkurują ze sobą o wpływy w PiS, a szczególnie o względy Jarosława Kaczyńskiego.

► Jacka Kurskiego w TVP, a potem wszechwładnym dyrektorem biura spraw korporacyjnych. Wtedy to pracę w TVP straciło ponad 200 dziennikarzy, a ich miejsce zajęli usłużni wobec władzy pracownicy propisowkich mediów, m.in. z Telewizji Republika, Radia Maryja i Telewizji Trwam. Pozycja Bortkiewicza w TVP była tak mocna, że niektórzy mówili, iż to on faktycznie rządzi spółką, a nadzorowane przez niego biuro spraw korporacyjnych nazywane było „ministerstwem bezpieczeństwa Bortkiewicza”. Pracownicy TVP nadali Bortkiewiczowi przezwisko „Borman”, w nawiązaniu do Martina Bormanna, a to dlatego, że podobnie jak sekretarz Führera miał wykorzystywać swoją pozycję do kontrolowania przepływu informacji (które pojawiały się w programach TVP) i zbierania haków na ludzi.

W 2017 r. prawicowy dziennikarz Witold Gadowski oskarżył Bortkiewicza o kontakty z SB. Ten twierdził, że nie był kapusiem, lecz ofiarą bezpieki, która go inwigilowała. Swoje trzy grosze dorzucił Piotr Nisztor, publikując kwity IPN o Bortkiewiczu. Gdy ten

w 2018 r. dostał z IPN potwierdzenie, że jego oświadczenie lustracyjne jest prawdziwe, Jacek Kurski wysłał wiadomość SMS do Pawła Gajewskiego, wicedyrektora Telewizyjnej Agencji Informacyjnej: „Czy psy gończe poszły za Gadowskim i Nisztorem? Kamera w mordę, czy przeprosi pan dyrektora Bortkiewicza, dlaczego pan kłamał, czy starczy panu honoru, żeby naprawić krzywdy itd. Takie pytania, na ostro”. Gajewski miał przekazać wiadomość do Mariusza Kowalewskiego, wiceszefa redakcji publicystyki i reportaży Telewizyjnej Agencji Informacyjnej.

„Wówczas dostaliśmy na Placu (Powstańców w Warszawie, skąd nadawane są programy informacyjne TVP – przyp. A.S.), polecenie wysłania dziennikarzy do Gadowskiego i Nisztor. Polecenie wydał Filip Gajewski, powołując się na Kurskiego. Z Gadowskim miał rozmawiać Filip Styczyński. Ale za nic nie chciał się tego podjąć. Twierdził, że jest chory, chociaż rano był na zdjęciach, a wieczorem miał zaplanowaną próbę kamerową w studiu. (...) Problem

był taki, że ani ja się do tego nie garnąłem, ani faktycznie nie było kogo wysłać. Filip po reprimendzie od Gajewskiego pojawił się w redakcji, ale nadal za nic nie chciał jechać nagrywać Gadowskiego. Gajewski kazał więc wysłać Ziemowita Kossakowskiego, który w tamtym czasie pracował w Warszawskim Ośrodku Telewizyjnym. Ale i on nie chciał brać udziału w prywatnej wojnie Bortkiewicza i Kurskiego. W końcu sprawa urosła do rangi najważniejszej na placu. Gajewski zaczął już wszystkim wygrażać, że niewykonanie zadania źle się skończy. Mnie kazał panować nad »radosną gromadką«, która nie chce wykonać jego poleceń, a Kossakowskiemu zagroził zwolnieniem”, napisał Mariusz Kowalewski w książce „TVPropaganda. Za kulisami TVP”.

Andrzej Sikorski

Za tydzień napiszemy, kogo Dorota Kania obsadziła w roli redaktorów naczelnych dzienników regionalnych i co się działo w redakcjach pod nowym kierownictwem.

104. ROCZNICA BITWY WARSZAWSKIEJ 1920

**15 SIERPNI 2024 (CZWARTEK)
W GODZ. 10.00–20.00**

WYSTAWY CZASOWE I PLENEROWE · TURNIEJ GIER PLANSZOWYCH · POKAZY FILMÓW ARCHIWALNYCH PRZY AKOMPANIAMENCIE MUZYKI KLASYCZNEJ · KĄCIK WYMIANY KSIĄŻEK · ORAZ WIELE INNYCH ATRAKCJI

Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 w Radzyminie
aleja Jana Pawła II 64, 05-250 Radzymin

**WSTĘP BEZPŁATNY
ZAPRASZAMY!**



Z Galicji



Jan Widacki

Między Paryżem a Moskwą

Dawno temu w PRL opowiadano taki dowcip: W tym samym czasie pewien Francuz chciał odwiedzić Moskwę, a Rosjanin Paryż. Wsiadli do odpowiednich pociągów, tylko przez pomyłkę każdy z nich wysiadł w Warszawie, i każdy myślał, że dojechał do celu...

Dziś ulica w centrum Warszawy nie różni się już niczym od ulicy w centrum dowolnej zachodnioeuropejskiej stolicy. Architekturą, modelami samochodów na jezdniach, witrynami sklepów z ciuchami, często tych samych marek co na Zachodzie. Trawnikami, klombami kwiatów. Podobnie jak wszędzie w Europie ubrani są przechodnie. Stosownie do pory roku, modnie, kolorowo. Kolorowo jest zresztą nie tylko od ubrań, ale też od ras. Europa stała się coraz bardziej rasowo zróżnicowana i jest to coraz bardziej normalne. Centrum Warszawy także pod tym względem zaczyna upodabniać się do innych stolic. I wbrew temu, co głoszą rozmaici narodowcy, nie ma w tym nic złego. Polska zawsze była wieloetniczna. Polacy, Litwini, Rusini, Żydzi, Ormianie, Tatarzy, Karaimi, ale nawet Niemcy, od lat mieszkali na terenach Rzeczypospolitej razem i razem tworzyli to wspólne dziedzictwo, „któremu na imię Polska”, a które niedouczeni w historii nacjonałści gotowi są uważać za dziedzictwo jednej tylko nacji. Jednoetniczna Polska była wyłącznie wtedy, gdy Stalin zrealizował marzenia endeów i wcisnął Polskę między Odrę i Bug.

Tak więc dzisiejsza ulica Warszawy jest bardzo europejska i, ku utrapieniu narodowców, bardzo kosmopolityczna i wieloetniczna. Ale wystarczy wsiąść przy Dworcu Centralnym do taksówki, by poczuć się swojsko. Taksówkarz: „Dokąd jedziemy?”. „Na Długą, pod katedrę polową”, odpowiadam grzecznie. „70 zł pasuje?”, pyta taksówkarz. „To według taksometru?”, pytam, choć dobrze wiem, że nie. Taksówkarz jest znudzony i zniecierpliwiony zarazem tym moim głupim pytaniem. „Pasuje, czy nie?!”, warczy.

No nie pasuje, „A może by tak jednak według taksometru?”, pytam nieśmiało, ryzykując gniew pana taksówkarza. „Jak nie pasuje, to wysiadać”, kończy dysputę, wyraźnie zdenerwowany.

W taksówce oczywiście nie ma identyfikatora, taksometru, kasy fiskalnej. Jest za to biało-czerwony proporzeczek z kotwicą Polski Walczącej.

To nic nadzwyczajnego. To norma. Poprzednim razem za kurs spod dworca do sądu na Pradze cena wywoławcza była 100 zł. Też bez identyfikatora, taksometru, kasy fiskalnej. Od znajomego cudzoziemca wiem, że kurs z centrum Warszawy na Okęcie pan taksówkarz podsumował na 500 zł.

Ulica warszawska jest już europejska, taksówka wciąż środkowoazjatycka, a za jej kierownicą polski cham. Niby chamem każdemu być wolno. Tyle że ten cham jest jeszcze naciągaczem i w przypadku cudzoziemców oszustem, oszukuje też urząd skarbowy.

Czy to rzeczywiście przekracza możliwości władz stołecznego miasta Warszawy, aby wypłenić tę patologię? To takie

trudne, dysponując policją, strażą miejską, urzędem skarbowym? Nie wierzę, aby pan prezydent Trzaskowski nie wiedział o praktykach taksówkarzy pod Dworcem Centralnym. A więc wie i nic z tym nie potrafi zrobić? A może nie chce? Może tak ma być? Może chodzi o to, aby na tej coraz bardziej kosmopolitycznej, wieloetnicznej ulicy warszawskiej utrzymać swojską polską enklawę? Żeby narodowcy poczuli się wreszcie gdzieś, choćby we wnętrzu warszawskiej taksówki, jak u siebie? Bo te wszystkie „ubery” i temu podobne, to już całkiem opanowane przez Azjatów. „Prawdziwemu Polakowi” tylko „prawdziwa polska taksówka” została?

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

SKLEP PRZEGLĄDU

sklep.tygodnikprzeglad.pl



Bogata oferta i najlepsze ceny:

**ZAWSZE
W ZASIĘGU RĘKI**

książki | e-booki | prenumerata elektroniczna | subskrypcja | Zdanie

Trump jak Hamilton?

Demokraci i republikanie nie tylko zauważyli zapomniane regiony USA, ale coraz głośniej wołają: **globalizacji i wolnemu handlowi już dziękujemy**

Jakub Dymek

Amerykańska kampania wyborcza jest – wybaczą państwo truizm – pełna niespodzianek. Jedną z bardziej nieoczekiwanych stanowi to, że w ostatnich tygodniach karierę robi kolejne nazwisko. Nie Trump, nie Harris, nie Vance ani Biden. To Alexander Hamilton. Tak, ten sam Alexander Hamilton, jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, pierwszy sekretarz skarbu młodej republiki, którego uważa się także za twórcę dolara i którego wizerunek od ponad stu lat zdobi najpopularniejsze amerykańskie banknoty.

Dlaczego jednak publicyści, eksperci z think tanków i doradcy polityczni postanowili sobie przypomnieć o Hamiltonie właśnie? Powodów mogłoby być wiele, bo jego biografia pełna była zasług dla powstającego państwa. A niemal 10 lat temu, po premierze popularnego musicalu poświęconego Hamiltonowi i zatytułowanego jego nazwiskiem, zainteresowanie nim tylko wzrosło. Dziś chodzi jednak nie o zasługi ani legendarną śmierć w pojedynku z marzącym o pozycji prezydenta USA rywalem Aaronem Burr'em.

Przyczyną ponownego zainteresowania Hamiltonem jest jego stanowisko w sprawie przemysłu. W swoim czasie jako jeden z najbardziej wpływowych twórców amerykańskiej polityki gospodarczej i systemu finansowego opowiedział się za protekcjonizmem i wprowadzeniem ceł i taryf. Stany Zjednoczone muszą pobierać cła, by uwolnić się od zadłużenia u zamorskich potęg, ale i by uniezależnić się od kosztownego importu. Właśnie dlatego – uważają niektórzy – młoda republika dziś jest światową

potęgą, bo dzięki Hamiltonowi powstała kiedyś nie na handel zbożem, ale na ochronę krajowego rynku i rozbudowę przemysłu. Coraz większe i bardziej wpływowe grono na amerykańskiej prawicy mówi zatem: „Musimy wrócić do Hamiltona!”.

Za tym hasłem kryje się jednak coś więcej. Choćby rosnące niezadowolenie z globalizacji, porzucenie dotychczasowych dogmatów partii republikańskiej, poszukiwanie nowej tożsamości amerykańskiego konserwatyzmu i debata o takich świętościach jak status dolara.



Alexander Hamilton, jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych.

Złote lata i co dalej?

Po 1989 r. poparcie dla wolnego handlu, obniżania ceł i taryf oraz łagodzenia regulacji – wyrażające się w kolejnych umowach handlowych obejmujących coraz większe partie globu – było w USA niemal powszechne. Co prawda, przeciwko włączeniu Chin do Światowej Organizacji Handlu protestowały związki zawodowe i niektórzy akademicy, ale obie liczące się partie miały to w nosie. Zwolennikami liberalizacji handlu – i otwarcia na Chiny – byli i demokraci, i republikanie. Jeszcze

wcześniejszą umowę NAFTA, dziś niepopularną i budzącą krytykę obu stron, poparło nawet więcej republikańskich senatorów niż demokratów. U progu XXI w. wydawało się, że jeśli chodzi o relacje handlowe, naprawdę obserwujemy „koniec historii”. Protekcjonizm umarł, a prędzej czy później wszystkie kraje otworzą się na handel albo podzielą los Korei Północnej.

Te złote lata nie trwały jednak wiecznie. Po 2008 r., na początku nieśmiało, amerykański główny nurt zaczął dostrzegać coś więcej niż pozytywne skutki wolnego handlu. Chiny bynajmniej nie stały się demokracją ani nie otworzyły rynku dla wielkich amerykańskich koncernów (jak choćby Polska). Import coraz tańszych dóbr codziennego użytku i przenoszenie miejsc pracy do innych krajów oznaczały wyrok śmierci dla wielu miast i miasteczek przemysłowych regionów USA. Sprzeciw wobec tego stał się motywem przewodnim kampanii Donalda Trumpa w 2016 r. Jego przeklinanie Chin, wolnego handlu i tragicznych konsekwencji globalizacji dla amerykańskiego przemysłu i bezpieczeństwa spowodowało, że nowojorski miliarder podbił serca białej klasy robotniczej.

Odwroćenie się zwykłych Amerykanów od wolnego handlu to coś więcej niż polityczna ciekawostka. Artykuł naukowy w „Journal of International Economics” z 2022 r. potwierdza hipotezę, że wyborcy w regionach najbardziej narażonych na negatywne skutki importu z Chin zmieniali preferencje i głosowali częściej na partię o bardziej protekcjonistycznym nastawieniu. Znana analiza Davida Autora, Davida Dorna i Gordona Hansona z 2016 r. wskazywała też, że zyski i straty z liberalizacji handlu rozłożyły się w USA bardzo nierównomiernie. Globalizacja oznaczała tańsze towary



To właśnie J.D. Vance ma przeciągnąć Partię Republikańską i Donalda Trumpa przez linię mety.

dla wszystkich, ale niektórzy zapłacili za to dużo wyższą cenę: własnej pracy i szans na stabilne życie dla swoich dzieci.

W 2016 r. jednak amerykańskie elity, nawet mimo zwycięstwa Donalda Trumpa, wciąż nie były gotowe na pożegnanie się z utopią wolnego handlu.

Nie być wiecznym klientem

Po Trumpowskim zwycięstwie główny nurt amerykańskiej debaty odrzucał protekcjonistyczne argumenty nowego prezydenta, choć bardziej z powodów estetycznych i ideologicznych niż ekonomicznych. „Skoro ideologiem Trumpa jest ktoś taki jak Steven Bannon, a otaczają go najróżniejsi prawicowi skandaliści, to nie ma co traktować ich poważnie”, myślano. Jedynym argumentem na ograniczenie handlu z Chinami, jaki się przebijał do świadomości elit, była kwestia bezpieczeństwa narodowego. A zatem konieczność stopniowego uniezależniania się (i zmuszania do tego sojuszników) od wymiany handlowej w szczególnie „wrażliwych” sektorach.

Jednak następne lata i szoki gospodarcze – najpierw pandemia, a za kolejnej prezydentury wojna w Ukrainie i światowy kryzys inflacyjny – spowodowały, że temat protekcjonizmu na nowo wrócił do centrum debaty. Ameryka zrozumiała, że jest podatna na globalne wstrząsy

i wcale nie taka niezależna, jak jeszcze kilka lat wcześniej się wydawało.

Prezydent Biden nie wycofał się z Trumpowskich ceł, lecz je utrzymał. Administracja demokratów agresywnie stosuje politykę sankcji i nie ma oporów w grożeniu nimi także Europejczykom, by ograniczyć ich związki z Rosją i Chinami. Polityka inwestycji w zieloną energię i elektromobilność prowadzona przez Joeego Bidena także jest uznawana za element rywalizacji gospodarczej z Europą (i Chinami). A celem jest przyciągnięcie do Ameryki inwestycji kosztem innych państw rozwiniętych. Słowem: producenci uzbrojenia, zaawansowanych technologii czy samochodów z Europy mają rozwijać produkcję w USA, a nie ściągać ją do siebie na Stary Kontynent. Waszyngton chce globalnych regulacji i wykluczenia Chin z bardzo ważnych technologii w rodzaju sztucznej inteligencji czy produkcji najnowocześniejszych chipów komputerowych. Do tego dochodzi kwestia migracji i granic. Dziś obie partie zgadzają się, że granice trzeba zamknąć, a negatywny wpływ migracji na płace amerykańskich robotników ograniczyć.

W ciągu zaledwie kilku lat dawny entuzjazm i przywiązanie do wolnego handlu i nieskrępowanej globalizacji wyparował. Choć oficjalnie USA nie popierają wizji świata podzielonego na strefy wpływów i rywalizacji bloków, ich faktyczna polityka coraz

bardziej prowadzi do takich rezultatów. Globalizacja pęka na „amerykańską” i „chińską”, a kolejne kraje prędzej czy później mają się za czymś opowiedzieć.

Co jednak istotne, to właśnie po republikańskiej stronie musiało dojść do największego przewartościowania. Demokraci zmienili zdanie nieco oportunistycznie, a trochę zostali do tego zmuszeni przez rzeczywistość. Po republikańskiej stronie zaś odbyła się prawdziwa bitwa, by odrzucić dawne dogmaty – bitwa przez Trumpa wygrana. Zwolennicy wolnego handlu i starego porządku wystawili w prawyborach republikańskich swoich kandydatów – Rona DeSantisę i Nikki Haley – i te wybory przegrali.

Dlatego dziś to także sprzymierzeńcy Trumpa w intelektualnych kręgach mówią o „hamiltoniańskiej prezydenturze” i „hamiltonskim momencie”. Wulgarny i nieprzewidywalny miliarder oraz były prezydent jawi się bowiem w ich wizjach jako pierwszy zrozumiał to samo, co Alexander Hamilton jakieś 200 lat wcześniej. Nie będzie amerykańskiej potęgi bez amerykańskiego przemysłu, a kraj, który wyłącznie kupuje, stawia się w pozycji wiecznego klienta.

Vance, czyli rozwiniecie trumpizmu

Ta opowieść nie byłaby jednak kompletna bez wątku „nowej prawicy” lub „narodowych konserwatystów” – jak sami chcą się nazywać – i kandydata na wiceprezydenta u boku Trumpa, czyli J.D. Vance’a. W ostatnich latach cała amerykańska polityka zmieniła silnik w biegu. Obie partie nie ▶



► tylko zauważyły zapomniane regiony i przypomniły sobie o porzuconych wyborcach, ale to pod nich szyją swój program i układają priorytety. Jednak to właśnie J.D. Vance ma przeciągnąć Partię Republikańską przez linię mety. Odejście od dawnej ortodoksji i próba odwojowania demokratów białej klasy robotniczej zaczęły się już wcześniej.

Dzisiejszy człowiek numer 2 u Trumpa sam przecież wywodzi się z tych zapomnianych regionów, z nekanych dezindustrializacją, epidemią opioidów i bezrobociem Appalachów. Vance oczywiście był autorem słynnej „Elegii dla bidoków”, książki, przeniesionej później na ekran, która pokazywała gniew, nędzę i poniżenie białej podklasy. To na pewno czyni jego przekaz wiarygodnym dla republikańskich wyborców. Vance wnosi przy tym coś więcej: jest intelektualnym i programowym rozwinięciem trumpizmu.

„Tak, teraz popieramy zwiększenie płacy minimalnej; zerowy podatek

od napiwków; inwestycje w krajowy przemysł i ochronę miejsc pracy, rozbijanie monopolu i ochronę emerytur naszych seniorów – mówi głos nowej prawicy Vance. – Sprzeciwiamy się migracji nie wyłącznie ze względów kulturowych czy bezpieczeństwa, my chcemy wymuszenia większych płac i większej produkcji krajowej”.

A gdy posłuchać doradzącego Vance’owi Orena Cassa, ekonomisty, publicysty i założyciela think tanku American Compass, można odnieść wrażenie, że pomiędzy prawicą Vance’a a ekonomiczną lewicą spod znaku choćby Berniego Sandersa nie ma wielkich różnic.

„Dlaczego godzimy się na model, w którym my importujemy z Chin coraz więcej i więcej, a w zamian wysyłamy tylko dług w dolarach? Nie mam problemu z wolnym handlem, o ile słowo handel naprawdę coś znaczy. Wolny handel może być wspaniały, o ile oznacza wymianę rzeczy: my coś produkujemy, kupujemy coś od

innych, oni kupują nasze produkty, dochodzi do wymiany. Dzięki temu wszyscy mogą się wzbogacić. Ale to, co nas łączy z Chinami, to nie jest handel. To godzenie się na to, że Chiny manipulują rynkiem, żeby jak najwięcej eksportować, płacić niskie pensje, bronić się przed zagraniczną konkurencją, a my w zamian zgadzamy się kupować najwięcej, zamiast produkować i dawać im za to dostęp do dolara, do długu, obligacji...”, przekonuje w niedawnym wywiadzie Cass, ale równie dobrze mógłby streszczać wpływową na gospodarczej lewicy książkę „Trade Wars Are Class Wars” (Wojny handlowe są wojnami klas) Matthew Kleina i Michaela Pettisa.

„Jednym z najlepszych sposobów, by zarabiać miliony w dzisiejszej Ameryce, jest tworzyć uzależniające algorytmy dla Facebooka, a nie coś produktywnego. Mamy sytuację, w której całym branżom bardziej opłaca się tworzyć uzależniające aplikacje, obracać w kółko tymi samymi aktywami na Wall Street, spekulować na kryptowalutach – tego chce kapitał, więc tam odpływa ludzki talent. Te korporacje powinny bać się regulacyjnej siły państwa, to bardzo dobrze, że się boją, że ktoś się za nie weźmie, dokładnie tak powinno być – a polityka publiczna powinna kierować ten strumień inwestycji, aby stworzyć dobrze płatne miejsca pracy [w realnej gospodarce]” – tu z kolei Cass brzmi jak lewicowa senator i była kandydatka w demokratycznych prawyborach prezydenckich Elisabeth Warren.

Czy to jednak znaczy, że Partia Republikańska nawróci się na redystrybucję, progresywne podatki, powszechną i publiczną ochronę zdrowia czy nieodpłatną edukację oraz ograniczenie ekscesów kapitalizmu finansowego? Pewnie nie. Ale protekcyjizm, ostra i asertywna polityka handlowa oraz bardziej narodowy kapitalizm mają teraz swój moment. Niektórzy powiedzą nawet, że to powrót do (jedynie słusznego) korzeni. I choć brzmi to obrazoburczo, rzeczywiście Trump bardziej niż którykolwiek ze współczesnych republikańców przeciągnął z powrotem swoją partię ku Hamiltonowi.

KSIAŻKI

„Tam idziemy, gdzie nas nie ma...”

Tomasz Wojciech Łękawski przez cztery lata zbierał materiały do książki o ludziach propagujących wędrowki i zrzeszonych w ponad 100 akademickich klubach turystycznych w Warszawie. Napisał unikatową historię o tym, co się tam działo w latach 1950-1990. To była benedyktyńska robota. Każdy klub to grupa często bardzo aktywnych ludzi, którzy wydawali przewodniki, informatory, ulotki i wspomnienia. Autor zebrał je i tak ciekawie pokazał, że lepiej rozumiemy, co przez 40 lat było sensem życia tysięcy studentów i pracowników naukowych. Łękawski ma wielką zasługę, bo ocala od zapomnienia te niezwykle więzi i kształtującą się wówczas miłość do życia z naturą. I wspólną pasję, z którą później szli przez życie jako przewodnicy, instruktorzy, organizatorzy i menedżerowie turystyki. Z tym, czego nauczyli się w klubach akademickich, uczelnianych czy wydziałowych. Co ich łączyło? Zaangażowanie, koleżeńska atmosfera i otwartość na kolejne przygody. Potrafili przy minimalnych środkach organizować bardzo interesujące wydarzenia. Kola PTTK, kluby turystyczne, górskie, rowerowe, kajakowe, narciarskie, żeglarskie, jeździeckie, a nawet alpinistyczne. Rajdy, złazy, akcje letnie w Bieszczadach i Beskidzie Niskim. Było tego tak wiele, że nie da się wszystkiego opisać. Ale najważniejsi zawsze są ludzie. Na długiej liście ważnych postaci tego ruchu są także sponsorzy tej publikacji: Ludwik Klinkosz, Zbigniew Kowal, Tomasz Dziedzic, Karol Halwic. O innych, równie zasłużonych dla turystyki, warto przeczytać w tej bogato ilustrowanej książce wydanej przez:

Oficynę Wydawniczą „Rewasz”,

Fundację Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego,

Zespół Historii Turystyki Studenckiej.



Jerzy Domański

Jakub Dymek

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Moja Białoruś

Swiatłana Cichanouska, liderka wolnej Białorusi, gościła niedawno w Polsce, więc trudno znów nie myśleć o jej ojczyźnie. Zostawiłem na Białorusi wielu przyjaciół. Na przykład profesora Oleg Łojkę, z którym przed jego śmiercią nie zdążyłem się pożegnać.

Ujrzałem go po raz pierwszy w październiku 1988 roku, czekając w Mińsku na korytarzu „filfaku” (filologicznego fakultetu tamtejszego uniwersytetu). W czarnej marynarce i krawacie, masywny i krępy, z twarzą okragłą jak księżyc w pełni i uśmiechem w kształcie półksiężyca... Ścisnął mi dłoń, mówiąc, jak bardzo się cieszy z mego przyjazdu. Zawarliśmy przyjaźń mimo dwudziestoletniej różnicy wieku. I mimo jego partyjności. Bo Łojka był członkiem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Lecz trwała już wtedy pierestrojka i między mną a Łojką nie było tematów tabu. Urodzony w roku 1931 w Stonimiu, więc jako obywatel polski zaliczył przed wojną trzy klasy polskiej szkoły powszechnej. Wspominał kiedyś szary, jakich jego ojciec jako Białorusin zaznał od polskich władz, ale to nie zostawiło w nim zadry. Po polsku mówił jak Polak i był polonofilem nie do zdarcia – przekładał poezję Adama Mickiewicza. A dla niego Mickiewicz to był krajan. Łojka przypominał, że słowa „Litwo, ojczyzna moja” są faktycznie zwrócone do Białorusi, bo przecież tu leży Nowogródzka. I dodał: „My, Białorusini, powinniśmy się nazywać Litwini”.

To dzięki Łojce poznałem Nowogródek. Widziałem dworek Mickiewicza, nowogródzką farę i ruiny zamku Mendoga, pojechałem nad jezioro Świteż. A wieczorem – na jego zaproszenie – w zamkniętym pokoju nowogródzkiego hotelu ucztowaliśmy długo w noc. Stół ugiął się od potraw jak w XII księdze „Pana Tadeusza”. Taką gościnność zwykliśmy nazywać staropolską, jednak dla mnie stała się ona wtedy gościnnością białoruską. Potwierdziło mi się to po latach w Białymstoku na przyjęciu w białoruskim domu Eugeniusza i Elżbiety Czykwinów.

Pobyt na Białorusi był dla mnie formacyjny. Łojka poznał mnie w Nowogródku z wybitnym pisarzem Wiaczesławem Adamczykiem, a także z młodą wówczas poetką Walencją Akołową. W Mińsku, w siedzibie Związku Literatów, słuchałem odwilżowego wystąpienia Anatola Sidorewicza. Poznałem historyka Hienadzia Sahanowicza, już wtedy uważanego za wschodzącą gwiazdę (dziś przebywa na emigracji). Pojechałem do podmińskich Kuropat – miejsca stalinowskiej eksterminacji Białorusinów. A co najważniejsze, 19 października 1988 r. uczestniczyłem

w historycznym zebraniu założycielskim Białoruskiego Frontu Narodowego.

Zrewanżowałem się Białorusinom, organizując pół roku później na Uniwersytecie Jagiellońskim pierwszą w historii polsko-białoruską konferencję naukową. Przyjechał Łojka, otoczony gromadką współpracowników, ale był też starszy nieco od niego profesor B., który wygłosił referat o białoruskiej literaturze łagrowej. To była wtedy rewelacja. B. nie wytrzymał napięcia: upił się i do końca konferencji już się nie pokazał. Wiedząc, co dla Białorusina znaczy tragedia łagrów, nie mogłem być zgorznięty jego zachowaniem.

Oleg Łojka alkoholu nie nadużywał. Ale zetknięcie z Polską było dla niego zawsze emocjonujące. Widziałem go ostatni raz w Krakowie, w domu UJ „Pigoniówka”. Przyjechał z żoną. Oboje odwijali z papierka swoje białoruskie wiktuały i mówili, jakie to dla nich szczęście być w Polsce. Zrzucili już swoją dawną partyjność, natomiast

Wiele zawdzięcza Białorusinom. Uświadomili mi olbrzymie znaczenie naszej wspólnoty – chodzi nie tylko o to, że przez wieki żyliśmy w jednym organizmie państwowym.

byli chyba wiernymi Cerkwi Prawosławnej. Lecz dopiero w katolickiej Polsce, słuchając zza okna hejnatu mariackiego, napawali się wolnością.

Wiele zawdzięcza Białorusinom. Uświadomili mi olbrzymie znaczenie naszej wspólnoty. Bo chodzi przecież nie tylko o to, że przez wieki żyliśmy w jednym organizmie państwowym, że wśród ludu, który dziś nazywamy białoruskim, wzrosła Mickiewicz i Orzeszkowa, Kościuszko i Traugutt. Chodzi o to, że w XIX w. literaturę białoruską powołali do życia polscy inteligenci – tacy jak przyjaciel Mickiewicza, Jan Czeczot, którego nazwisko zna każdy Białorusin. Tej literatury, powstającej w gwarze białoruskich chłopów i zapisywanej czcionkami łacińskimi, Rosjanie nienawidzili, traktowali ją jak „polską intrygę”. A po powstaniu styczniowym całkiem jej zakazali. Zezwolili na nią bolszewicy, lecz z kolei w czasach stalinowskich wymordowali niemal całą inteligencję białoruską.

Nie puszmy się, że u nas niczego takiego nie było – w przeszłości też wyrządziliśmy Białorusinom wiele krzywd. Ale przynajmniej – pomijając niektórych „wyklętych” – nigdyśmy do siebie nie strzelali.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Rządy z tylnego fotela?

Jak Geertowi Wildersowi udało się uwieść Holendrów

Michał Litorowicz

Dwa lata temu Brytyjczycy zachodzili w głowę, co uschnie pierwsze – premierostwo Liz Truss czy sałata lodowa. Coraz więcej przesłanek wskazuje na to, że wkrótce podobny eksperyment będą mogły powtórzyć media w Niderlandach. Wystarczy podmienić zdjęcie toryski na portret Dicka Schoofa.

Po obejrzeniu relacji z zaprzysiężenia nowego holenderskiego rządu do głowy od razu przyszło mi pytanie, czy mamy właśnie do czynienia z kolejną falą koronawirusa. Spoglądam do statystyk zakażeń. Homeopatyczne. Na zdjęciu ministrowie mimo wszystko karnie zachowują dystans społeczny, co umożliwiając rozległe schody pałacu Huis ten Bosch. Gdy w poprzednich latach obok króla stawali Mark Rutte wraz z członkami jego kolejnych gabinetów, atmosfera była zdecydowanie bardziej familiarna.

Zwykły przypadek? Raczej symbol, bo gdy dokładnie prześledzimy, jakie partie tworzą rządzącą koalicję, w jakich bólach ten sojusz się formował i jakie napięcia rozsadzają go w ostatnich dniach, Dickowi Schoofowi wypada jedynie współczuć zadania, którego oficjalnie podjął się 2 lipca.

Koniec mitu „teflonowego Marka”

Lejtmotywnym ostatnich, przyspieszonych wyborów do holenderskiego parlamentu był nasilający się kryzys migracyjny – to właśnie impas wokół tej kwestii, a dokładnie łączenia rodzin uchodźców, doprowadził do rozpadu czwartego gabinetu Marka Ruttego. „Teflonowy” do niedawna Mark postanowił pożegnać się z krajową polityką po 13 latach w fotelu szefa rządu.

Niemal wszyscy liczący się gracze zapowiadali w kampanii bardziej restrykcyjne podejście w sferze szczelności granic. Z antyimigranckiego wyścigu, którego wynik poznaliśmy 22 listopada 2023 r., zwycięsko wyszła Partia Wolności (PVV) Geerta Wildersa. Zagłosowało na nią 23,5% uprawnionych, co przełożyło się na 37 mandatów w 150-osobowym Tweede Kamer.

Za Partią Wolności uplasował się, z 25 mandatami, lewicowy sojusz Zielonej Lewicy i Partii Pracy (GL-PvdA) z Fransem Timmermansem na czele. Centroprawicowej Partii Ludowej na rzecz Wolności i Demokracji (VVD), kierowanej przez Dilan Yeşilgöz, a wcześniej przez Ruttego, przypadły 24 miejsca – stan posiadania zmniejszył się o 10. Tytuł największego przegranego powędrował mimo wszystko do Pietera Omtziga. Założona przez niego tuż przed wyborami i długo przewodząca w sondażach Nowa Umowa Społeczna (NSC) wywalczyła rozczarowujące 20 mandatów.

Kto w latach 90. emocjonował się burzliwymi losami efemeryd w rodzaju Partii X, Związku Podhalan czy Polskiej Partii Przyjaciół Piwa, w holenderskim odpowiedniku naszego Sejmu poczuje się jak w domu. Tamtejsza ordynacja przekłada się bowiem na ogromne rozproszenie w izbie niższej, co zawsze wymusza konsensus w celu utworzenia rządu.

Tuż po zwycięstwie Wilders oświadczył, że „zatrzyma tsunami uchodźców”, a „rdzenni Holendrzy znów będą na pierwszym miejscu”. Nie ukrywał też, że marzy mu się teka premiera. Problem polegał na tym, że początkowo nie miał z kim tego marzenia spełniać, bo jego ugrupowanie od zawsze otoczone było kordonem sanitarnym i nigdy nie sprawowało bezpośredniej władzy.

Do negocjacji z największą siłą w nowym parlamencie przystąpiły

w końcu VVD, NSC i prorolniczy populści z Ruchu Rolnik-Obywatel (BBB). Polityczny teatr fochów i urazów trwał ponad pół roku – Omtzigt, który przed wyborami kategorycznie wykluczał współpracę ze skrajną prawicą, zagrażającą jego zdaniem praworządności, jednak zasiadł z nią do stołu. Później co prawda ostentacyjnie od niego odszedł, by ostatecznie... zobaczyć w Wildersie partnera.

Spec od bezpieczeństwa i maratończyk

Impas udało się przełamać, bo Wilders nie tylko zrezygnował z premierowskich aspiracji, ale – zapewne koniunkturalnie – co rusz spuszczał z tonu w najbardziej kontrowersyjnych tematach, jak wyjście Holandii z UE, zamykanie meczetów czy cenzura Koranu. Sam wysunął również kandydaturę Dicka Schoofa, którą zaakceptowały pozostałe formacje.

Zaskoczenie? Mało powiedziane. Według sondażu zleconego przez telewizję NPO 1 w maju 2024 r. aż 50% respondentów nie miało pojęcia o istnieniu człowieka, który teraz miał pokierować państwem. Kolejne 11% kojarzyło go tylko z nazwiska. „To, że tu stoję, jest niespodzianką nawet dla mnie”, przyznał 67-latek w trakcie jednej z pierwszych konferencji w nowej roli.

Schoof od początku zawodowej drogi trzymał się w cieniu. Zamiast brylować w blasku fleszy, wołał poświęcić się mniej efektownej pracy jako urzędnik w ministerstwach spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Kolejne ekipy ceniły go za lojalność i skuteczność, oddając w jego ręce rządową agencję imigracji i naturalizacji oraz wywiad.

Nie można przy tym jednoznacznie stwierdzić, że były koordynator ds. zwalczania terroryzmu, bo i taką funkcję pełnił, to technokrata



W holenderskim rządzie znalazło się wiele kontrowersyjnych polityków i polityczek.

i premier całkowicie apolityczny – przez trzy dekady należał bowiem do Partii Pracy, którą opuścił w 2021 r.

„Ambitny pracocholik z poczuciem humoru” – tak opisał go jeden z byłych współpracowników. W portrecie Schoofa namalowanym przez dziennikarzy Politico przeczytamy m.in., że prezes rady ministrów jest po rozwodzie, ma dwie adoptowane córki i przebiegł 18 maratonów.

Żadnych większych kontrowersji? Nie do końca – polityk znalazł się na celowniku mediów, gdy próbował wpłynąć na treść raportu po zestrzeleniu samolotu MH17 i gdy jego podwładni szpiegowali podejrzanych za pomocą fałszywych kont w mediach społecznościowych.

Schoof zapewnia, że „nie będzie chodził na smyczy Wildersa”, ponieważ reprezentuje wszystkie cztery ogniwa koalicji i całe holenderskie społeczeństwo. Okazja do weryfikacji tych słów nadarzyła się tuż po zaprzysiężeniu.

W trakcie dyskusji w parlamencie premierowi zarzucono, że zaprosił do rządowych ław jawnych

rasistów. Ten oczywiście zaprzeczył, jednak zdaniem Wildersa pozwolił wejść sobie na głowę i w starciu z opozycją okazał się słaby. „Nie potrzebuję pomocy w dobieraniu własnych słów”, replikował Schoof, a holenderskie media podsumowały całą burzę nagłówkami: „Żaden premier nigdy nie był tak osamotniony”, „Gorszący cyrk”.

Poszło przede wszystkim o Marjolein Faber, nową ministressę ds. azylu i imigracji, i Reinette Klever odpowiedzialną za resort handlu zagranicznego i pomocy rozwojowej. Obie polityczki związane z PVV mają na koncie wypowiedzi nawiązujące do rasistowskiej teorii wielkiego zastąpienia (omvolking), zgodnie z którą bliżej nieokreślone elity chcą zastąpić białych Europejczyków imigrantami. Co więcej, w 2019 r. Faber, wówczas senatorka, zawyrokowała, że za atak nożownika w Groningen odpowiada osoba z Afryki Północnej, czemu później zaprzeczyli sami poszkodowani. Z kolei Klever to przeciwniczka szczepień i współtwórczyni szerzącej fake newsy telewizji ON!

A gdyby tego było mało, Wilders, znany z sympatii do Izraela, zatweetował niedawno, że jedynym palestyńskim państwem jest Jordania, z czego później musiał się tłumaczyć szef holenderskiej dyplomacji. Wizerunkowi koalicji nie pomaga również minister ds. gospodarki Dirk Bejaarts, który co prawda rasowej fiksacji nie przejawia, bo sam ma podwójne, holendersko-węgierskie obywatelstwo, ale za to jego dawna spółka jest winna fiskusowi ponad 500 tys. euro.

Trzeba było powiedzieć: dość

Wilders, choć z pewnością rozczålony, że nie było mu dane zastąpić Ruttego, może na razie obserwować te przepychanki bez większych obaw, ponieważ jego formacja utrzymuje solidną, nawet 10-punktową przewagę nad drugą lewicą. Eurosceptyczna PVV osiągnęła też bardzo dobry wynik w eurowyborach, wysyłając do Strasburga sześciu przedstawicieli.

Skąd taka popularność? Przede wszystkim wygranej PVV nie należy ▶

► odczytywać jako wielkiego zaskoczenia, bo Holendrzy uśmiechają się do skrajnej prawicy już od dawna. Trzy lata temu radykalne Forum na rzecz Demokracji zwyciężyło w wyborach do Senatu, a w 2023 r. ten sukces powtórzył BBB niesiony falą rolniczych protestów.

Różnica polega na tym, że w porównaniu z Thierryem Baudemem i Caroline van der Plas Wilders gra w zupełnie innej lidze, gdy idzie o rozpoznawalność i – z braku lepszego słowa – wiarygodność w kwestii migracji. Lider Partii Wolności od 20 lat regularnie szokuje opinię publiczną, ostro uderzając w mniejszość muzułmańską, za co zresztą zdążył zostać ukarany przez sąd. Przez cały ten czas podobną konsekwencję co w deptaniu politycznej poprawności wykazywał chyba tylko w tlenieniu włosów na charakterystyczny blond.

Swoje credo Wilders zawarł w ostatnich minutach (nie)sławnego filmu „Fitna”: „Islam chce zniszczyć zachodnią cywilizację. Musimy pokonać tę ideologię, tak jak kiedyś

pokonaliśmy nazizm i komunizm”. Nic dziwnego, że 60-letniemu dziś politykowi wielokrotnie grożono śmiercią, a ochroniarze nie odstępują go na krok.

Rzucając wyzwanie targanej skandalami VVD, Wilders sprytnie skleił dwa kryzysy równolegle trawiące Niemalandy – migracyjny i mieszkaniowy – czym przekonał do siebie wielu młodych wyborców, i to nie tylko tych o ekstremalnych poglądach czy z małych miejscowości. Według politologów dla 20- i 30-letnich Holendrów głosowanie na partie populistyczne przestało stanowić tabu, podczas gdy powoli schodzące ze sceny pokolenia ich rodziców i dziadków nie wyobrażały sobie wyjścia poza klasyczny krąg chrześcijańscy demokraci-liberałowie-socjaliści. Potwierdzają to zresztą sami zainteresowani.

„W końcu trzeba było powiedzieć: dość. Płacimy za dużo w podatkach, na ochronę zdrowia, czynsze są horrendalnie wysokie. Dłużej tego nie zniesiemy”, wskazywała w rozmowie z „The Guardian”

Jeannette, 34-letnia wyborczyni PVV sprzedająca frytki w Rotterdamie.

„Nie jestem przeciwko uchodźcom, ale w trudnych czasach musimy myśleć o sobie. We własnym kraju trudniej mi znaleźć mieszkanie niż przybyłbym z zewnątrz”, mówi Chess van Leeuwen, 20-latek uczący się w rotterdamskiej szkole artystycznej, zapytany przez Politico, dlaczego oddał głos na Partię Wolności.

Wilders, jak na populistę przystało, nie straszył likwidacją państwa dobrobytu, z którego korzystają przeciętni Henk i Ingrid, a jedynie obiecał zakręcenie kurka z socjałem dla imigrantów. Ci ostatni, zgodnie z planami nowego rządu, będą mieli też wydłużoną drogę do uzyskania obywatelstwa i utrudniony dostęp do lokali socjalnych. Koalicja chce także renegotjować unijne limity uchodźców, co zwiastuje ostry spór z Brukselą.

Autor jest dziennikarzem i wydawcą, w przeszłości związany z portalami Gazeta.pl i Bankier.pl, publikował też w „Gazecie Wyborczej”, OKO.press i Krytyce Politycznej.



Ekipa oGROMnej Pomocy to ludzie pełni empatii, życzliwości, z miłością na dłoni, którzy swoją energię, czas i pozytywne nastawienie oddają poprzez pomoc dzieciom nieuleczalnie chorym, zwłaszcza małym pacjentom onkologicznym.

Kreatywność oraz chęć pomocy zaowocowały wieloma projektami, które już zostały zrealizowane, a kolejne są w trakcie realizacji.

Pod swoimi ogromnymi skrzydłami mają szczególne miejsce dla dzieci chorych na guza pnia mózgu typu DIPG, stając się tym samym buforem pomiędzy światem zewnętrznym a rodziną chorego dziecka.

Doświadczenie oraz osobiste przeżycia wolontariuszy oGROMnej Pomocy pomagają zrozumieć jakże trudną walkę o dziecko. Oprócz wsparcia emocjonalnego tworzą oni także projekty, które mają na celu pomoc i wsparcie Małych Wojowników.

Więcej o Fundacji można przeczytać na FB.



Wesprzyj nas

31 1240 5862 1111 0011 1036 2615

Tytułem: **DAROWIZNA**



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Króluje „nieproporcjonalne”

Kłębią się chmury tematów, temacików. Niby lepiej, niż kiedy ugor inspiracji, ale do końca trudno powiedzieć. Nie pisałem jeszcze niczego o niespodziewanej zamianie miejsc w wyścigu o amerykańską prezydenturę, może nie lubię tego tematu, który ściąga wciąż niepotrzebną uwagę na postać Trumpa. Z drugiej strony przecież Trump jest tylko efektem stanu rzeczy i świadomości współczesnych Stanów Zjednoczonych. Kamala Harris jest zjawiskową postacią i całą jej kariera, czyli mówiąc po prostu gigantyczna praca, którą wykonała w swoim zawodowym życiu, żeby osiągnąć obecną pozycję, jest niesłychana i niewyobrażalna. Samo postawienie tych dwóch postaci obok siebie w wyścigu o prezydenturę jest obrazem społeczno-politycznej aberracji. Ale też kto by się zagłębiał w dawne sprawy, które pozwoliły jej pełnić funkcję prokurator generalnej Kalifornii czy wiceprezydentki USA – przecież ona tak zaraźliwie się śmieje... Wiadomo,

„To, jak wspomniałem, manifest naiwnego idealizmu, który solidnie ociera się o kicz. Tak, według mnie »Imagine« to oleodruk, to monidło wymaginowanej szczęśliwej ludzkości. Ani groźne, ani nawołujące do czynów haniebnych, ani też niosące dobrą nowinę. Raczej wzruszenie ramion. Ale muzycznie – majstersztyk”.

Mnie oczywiście świat bez granic, pokojowy, bez religii z ich strasznym piekłem czy świętoszkowatym niebem bardzo odpowiada. Ale rozumiem, że dla prawicy, nawet tak niewydarzonej, to istny diabeł, któremu jeszcze jakiś bliżej niesprecyzowany komunizm można dopisać. Ciszej nad tym Babiarzem, generalnie. Szczególnie gdy obecny prezes IPN wydrukował go sobie na koszulce z intencją walki o świętość wolności słowa...

Jak już przy ciszy jestem, to nie ma chyba lepszego dnia niż 1 sierpnia, żeby o niej wspomnieć i zatęsknić. Każda rocznica wybuchu powstania warszawskiego odświeża na nowo i od początku niekończący się i nierozstrzygalny spór o samo to wydarzenie. Żyją jeszcze ostatnie żołnierki, sanitariuszki i żołnierze powstania. Im pokłon, na zawsze, i cześć. Marzę, żeby pomnikiem najtrwalszym ich walki były monumentalna cisza i skłonienie głów. Cisza, a nie wrzask i detonacje petard. Cisza, bo zbyt wielka to tragedia miasta, żeby ją czcili harmidrem i stadionową pirotechniką. Należę do tych, którzy w ciszy czytają i przypominają sobie tego dnia wiersz Anny Świrszczyńskiej, sanitariuszki powstania:

Niech liczą trupy

Ci co wydali pierwszy rozkaz do walki

niech policzą teraz nasze trupy.

Niech pójdą przez ulice

których nie ma

przez miasto

którego nie ma

niech liczą przez tygodnie przez miesiące

niech liczą aż do śmierci

nasze trupy.

I na koniec fragment z Mirona Białoszewskiego:

„Od bomb i samolotów – wybaw nas, Panie / Od czołgów i goliatów – wybaw nas, Panie / Od pocisków i granatów – wybaw nas, Panie / Od miotaczy min – wybaw nas, Panie / Od pożarów i spalania żywcem – wybaw nas, Panie / Od rozstrzelania – wybaw nas, Panie / Od zasypiania – wybaw nas, Panie...”

Chyba jest tak, że tak tragiczną rocznicę najlepiej obchodzić samemu, samej, wedle własnego rytuału, czytając, milcząc, będąc. Takie pamiętanie. ■

Marzę, żeby pomnikiem najtrwalszym walki powstańczej były monumentalna cisza i skłonienie głów.

że nie ma jednej Ameryki, wiadomo, że trumpowski koszmarny ma przeraźliwą moc oddziaływania na miliony, wiadomo, że cały ten wybór daleki jest od racjonalności, za którą chciałbym, żebyśmy każdego dnia tęsknili.

Tymczasem w cieniu igrzysk olimpijskich wykluła się polska imba nad imbami wokół zawieszenia Przemysława Babiarza w roli komentatora sportowego, który nie uniósł (a może uniósł?) zadania interpretacji jednej z najśłynniejszych piosenek XX w. – „Imagine” Johna Lennona, wykorzystanej podczas uroczystej ceremonii inauguracji w Paryżu. Babiarz rzucił: „Świat bez nieba, narodów, religii i to jest wizja tego pokoju, który wszystkich ma ogarnąć. To jest wizja komunizmu, niestety”. Zbrzydzanie komentatora sportowego, kiedy wychodzi poza swoje opłotki, można odbierać rozmaicie. Szczególnie pamiętając niedawne kilkuletnie zaangażowanie dziennikarza po stronie władzy prawicowo-katolikującej. Lubię komentarz Filipa Łobodzińskiego, tłumacza (również „Imagine”) i muzyka, podrzucam fragmenty z jego fejsbukowej ściany: „»Imagine« jest piosenką bardzo dobrze skomponowaną, z niebanalną melodią i ciekawym, choć nie rewolucyjnym pomysłem akordowym. Bardzo dobrze została też w oryginalnej wersji zaaranżowana (fortepian, bas, skąpa perkusja i subtelne smyczki), co wyróżnia ją na tle ówczesnej produkcji popowej i rockowej – przypomnę, że też podnosiła wtedy bestia glam rocka”. I puenta wokół słów:

Fascynujące teatrum emocji

Naszej szpadzistce Aleksandrze Jareckiej udało się oszukać przeznaczenie i oprócz rywalki pokonać także awarię systemu.



Wojciech Kuczek

Nieszczęście pana Babiara, które rozogniło naród wzdłuż linii frontu prawo-lewego, byłoby do uniknięcia, gdyby redakcja TVP zawczasu poszła po rozum do głowy i nie kazała komentatorom sportowym wysilać się nad wielogodzinnym widowiskiem o teatralnej proveniencji. Gdyby mnie kazano wysmażyć naprędce esej metalurgiczny, choćbym zmobilizował wszystkie swoje krasopiśmiennicze talenty, palnąłbym serię gaf, bo zaapytany „miedź czy nie miedź?” zawsze będę zmuszony strzelać jako laik w dziedzinie rud. Nie rozróżniam galeny od galmanu, tak jak pan Babiara nie musi rozróżniać Lennona od Lenina, skoro jednak biedaczyna zdawał się w kwestiach artystycznych na intuicję, trudno mieć pretensje, że go zawiodła.

Musieli strzelać, więc palnął, a że go zawieszono w trybie nagłym, widowiskowym i jednakowoż niewczesnym, stworzono bohatera ludowego z nieco zaśnieżonej gwiazdy mediów publicznych. Kibolstwo już wywiesza transparenty „Przemek Babiara, nie przepraszaj. Stop czerwonej zaradzie!”,

Najwspanialszą dramaturgię miał mecz polskich mistrzyń fechtunku z Chinkami

co jest najlepszą miarą popularności. Na mój półrobotniczy rozum, Babiara nie powinno być w TVP, od kiedy skończyła się kur-wizja; człowiek, który z dumą przeżył pierś do kamer, stojąc obok prezesa kaczystowskiej tuby propagandowej, winien już dawno pójść w diabły za dawnymi pracodawcami. Tymczasem teraz stał się dziennikarzem wyklętym i będzie przyjmował honory za to, że pomylił pacyfistyczny evergreen z manifestem komunistycznym.

Niekompetencja sprawozdawców sportowych w kwestiach kultury nie dotyczy zresztą tylko Babiara – najsilniejszy polski akcent otwarcia igrzysk paryskich także opatrzone błędnym przekazem: oto jeden z najśłynniejszych kontratenorów świata został nazwany tenorem, teraz ojczyzna nie odróżni Beczały od Orlińskiego

i pomyśli, że nasz solista break-dancer, moknąc w stroju arlekina, zaśpiewał fistulą z powodu nagłego przeziębienia.

Uwielbiam za to słuchać komentarzy fachowców, byłych trenerów lub sportowców, towarzyszących poszczególnym dyscyplinom – ich slang pobudza wyobraźnię. I tak na przykład nasza pierwsza medalistka, górka kajakarka Klaudia Zwolińska, może i byłaby zdobyła złoto, gdyby nie zatrzymał jej walec, natomiast szpadzistki w nadzwyczajnym stylu zdobyły trzechsetny medal w historii polskich występów na igrzyskach, bo dobrze czuły żelazo. W kwestiach sportowych na razie mamy więcej liczenia na medale niż liczenia medali, tym bardziej o polskich sukcesach należałoby pisać wersalikami. Kiedy już mi się pomyślało, że tym razem parytetu nie będzie i nasze sportowczynie do końca igrzysk będą zawstydzane panów, męska czwórka podwójna także powiosłowała po medal.

Najwspanialszą dramaturgię miał jednak mecz polskich mistrzyń fechtunku z Chinkami – na cztery sekundy przed końcem okazało się, że wyświetlano błędny wynik i to nie

my wygrywamy, tylko rywalki. Zasadniczo zmienia to postać rzeczy, gdy wprowadzona w błąd bronisz niekorzystnego wyniku. Pomimo protestów sędziowie nakazali dokończyć pojedynek i nasza bohaterka, Aleksandra Jarecka, która przecież jechała na igrzyska w roli rezerwowej, musiała wziąć na swoje barki odpowiedzialność i podjąć ryzyko. Szarża się powiodła, wynik meczu udało się odwrócić, a emocje na twarzy szpadzistki, której udało się oszukać przeciwnika i oprócz rywalki pokonać także awarię systemu, trudno opisać, albowiem były niewystawialne, wyjątkowo wywrzaskiwalne były.

Podobny wrzask, lecz zgoła nieeuforyczny – wstrząsający, historyczny lament dobył się z gardła Uta Abe, japońskiej judoczki, obrończyni tytułu niepokonanej od pięciu lat, która przegrała przez ippon z reprezentantką Uzbekistanu. Trener nie był w stanie jej uspokoić, nie ukoił zawodniczkę także gest poruszonej publiczności, która starała się podnieść na duchu Japonkę owacją na stojąco, było w tej reakcji coś przerażającego, zważywszy na samurajską tradycję seppuku po przegranych bitwach.

Emocje zwycięzców i przegranych na igrzyskach to najbardziej fascynujące teatrum, czasem zresztą odgrywane w nadzwyczaj kunsztownej scenarii, jak choćby zawody szermiercze w cudownie podświetlonym Grand Palais. Nomen omen największy zawodnik szermierczy przeżył gruziński szablista, któremu sędziowie odebrali zwycięstwo tuż po zakończeniu walki: niebywałe są obrazy z kilku chwil po walce Sandra Bazadzego z egipskim szermierzem. Najpierw gardłowy, pierwotny wprost krzyk radości po celnym sztychu Gruzina, a po weryfikacji taka sama eksplozja dzięki euforii Egipcjanina.

Najłatwiej teoretycznie jest tym sportowcom, którzy mają więcej szans, bo startują w kilku konkurencjach – zimną krew zachowują multi-medaliści, zwłaszcza na pływalni, gdzie jak w przypadku największej gwiazdy gospodarzy, Leona Marchanda, zdarza się jednemu człowiekowi sięgać po złoto dwukrotnie w odstępie kilku godzin. Wieczorne zawody pływaków skądinąd są kapitalnym

zwieńczeniem zmagania olimpijskich, przyjemnością wzrokową dla widzów, albowiem nie ma lepiej urzębionych gladiatorów od pływaków. Bez względu na płeć i orientację seksualną ciała kraulistów, delfinistów, żabkarzy i grzbietowców budzą czysty podziw estetyczny – jest na co popatrzeć, zwłaszcza jeśli marzenia o kaloryferze związało się już wyłącznie z sezonem grzewczym.

Igrzyska olimpijskie wciąż porażają mi nastrój także z tego powodu, że w mnogości dyscyplin znaleźć można i takie, w których długowieczność sportowa nabiera zupełnie innego wymiaru niż ten znany nam ze sportów popularnych. Czym są bowiem wyczyny piłkarzy około czterdziestki, wciąż będących w świetnej formie (jak Pepe czy Modrić na ostatnim Euro)? Ba, czymże są kolejne punkty pucharowe japońskiego skoczka Noriakiiego Kasai wobec

ulewa na forach żółt – jedyne doskonałe polskie słowo.

Kiedy to piszę, nasi siatkarze, jako i siatkarki, wciąż są w grze o medale – wysokopienne dziewczyny ogląda się nieco spokojniej, bo i wygrywają pewniej (z Japonkami i Kenijkami), natomiast docenić należy także horror show z happy endem chłopaków, którzy wreszcie ograli na igrzyskach Brazylię, pieczętując w ten sposób awans do ćwierćfinału. Czy klątwę tej rundy udało im się wreszcie przełamać, napiszę za tydzień.

Najstojniejsza polska sportowka, jedna z najstojniejszych sportowczyń świata w ogóle, na swoich ulubionych kortach pięła się do strefy medalowej nie bez wysiłku, mając przeciw sobie coraz bardziej sfrustrowane rywalki. Wyżyn rozgoryczenia sięgnęła w ćwierćfinale Amerykanka Danielle Collins. Kiedy w decydującym secie mecz wymknął jej się

Wyżyn rozgoryczenia sięgnęła w ćwierćfinale Danielle Collins. Kiedy w decydującym secie mecz wymknął jej się spod kontroli, jej kod mimiczny sugerował, że ta wściekła osa zacznie zaraz kąsać.

wyczynu Ni Xialian, niegdyś chińskiej, obecnie luksemburskiej pingpongistki, która w wieku 61 lat wciąż potrafi wygrać mecz olimpijski? W dodatku wcale nie jest najstarszą uczestniczką igrzysk paryskich – to miano należy do Mary Hanny, 70-letniej członkini reprezentacji Australii w jeździectwie!

Od kiedy istnieją media społecznościowe, nie ma końca moje zdziwienie skalą nikczemności i głupoty, nie inaczej jest w przypadku komentarzy olimpijskich. Kiedy nasza judoczka przegrała z późniejszą wicemistrzynią, Meksykanką Priscą Awiti Alcaraz, nadzwyczaj zgrabną dziewczyną o faktycznie nieco chłopięcej facjacie, w sieci wybiło szambo o takiej intensywności, że trujące wyziewy rozniosły się od Wisły po Jukatan. Od „przegrała z facetem”, „oto, do czego prowadzi ideologia gender” po „jechać damskiego boksera”, „igrzyska transów i zboków”. Nie jestem w stanie tyle zjeść, ile chciałbym wyrzucić, kiedy widzę, jak duszy narodowej się

spod kontroli, wymknęły się także emocje – jej kod mimiczny sugerował, że ta wściekła osa zacznie zaraz kąsać i faktycznie, nie stanęło na docinkach w stronę Igi Świątek. W końcu rozjuszona Collins trafiła naszą tenisistkę piłką w spłot słoneczny. Jeśli ktoś byłby tak naiwny i upatrywał w tym przypadku, niech wie, że na treningach tenisistów trafiają nieomylnie ze znacznie większej odległości do znacznie większych celów niż korpus Igi. Skreczowanie przy stanie 0:4 w trzecim secie było już czystą złośliwością, zwłaszcza że dwie godziny później nagle ozdrowiała Collins zagrała w deblu. Na pożegnanie Amerykanka jeszcze szepnęła kilka jadowitych uwag o rzekomej fałszywości naszej mistrzyni. Cóż, Iga jest tak dobra, że odbiera rywalkom nie tylko nadzieje medalowe, ale i rozum. Nie można jednak wygrywać wiecznie. Chinka Qinwen Zheng, wschodząca gwiazda światowego tenisa, okazała się w półfinale za silna. ■

Poczuć z bliska **ogień**

Czego w olimpijskim mieście jest więcej?
Sportu, barierek i maskotki o imieniu Phryge. Czego mniej?
Śmieci na ulicach oraz paryżan i paryżanek



Olimpijski Paryż to ścieżki z barierek, choć teraz mniej ich niż przed otwarciem.

Anna Wyrwik Korespondencja z Paryża

Olimpiada w Paryżu to sport, sztuka, trochę polityki.

Na jednym z budynków przy rue de Rivoli wisi plakat ze sportowcem, który po olimpijskim zwycięstwie uniósł pięść w geście Czarnych Panter. Na ogrodzeniu przy jednym z okolicznych skwerów wystawa pięknych sportowych zdjęć Williama Kleina. Po czerwcowych wyborach paryskie mury wciąż krzyczą „Soyez pas racistes = votez NFP” („Nie bądź rasistą = głosuj na NFP”, czyli Nouveau Front populaire, lewicową koalicję).

W lipcu zaś Francuzi udowodnili, że największą sportową imprezę na świecie można otworzyć w sposób, w jaki jeszcze nikt tego nie zrobił, czyniąc z miasta wielką scenę i odgrywając na niej artystyczny spektakl o braterstwie, siostrzeństwie, wolności i równości.

W mariaż sportu ze sztuką wmieściła się jednak polityka.

– To była przesada – mówi barman w jednej z kawiarni i z wykrzywioną miną pokazuje mi w telefonie zdjęcie słynnej już sceny przy stole, w której niektórzy dopatrzili się nawiązania do „Ostatniej wieczerzy” Leonarda da Vinci, a drudzy ripostowali, że nawiązuje do obrazu Jana van Bijlerta „Uczta bogów”.

– Nie jestem katolikiem, ale wyobraź sobie, że twoja córka albo syn oglądają w telewizji coś takiego.

– *I love it!* – rzuca bukinistka znad Sekwany. – Bardzo inkluzywna ceremonia, i to mi się podobało!

– Paryż zawsze był w awangardzie, więc ceremonia mnie nie zaskoczyła – uważa Marc Alaux, który prowadzi wydawnictwo i księgarnię. – Rozumiem jednak, że niektórzy ludzie mogli poczuć się urażeni. Transmisję oglądało pewnie z miliard osób na całym świecie i może Aya Nakamura nie musiała tańczyć w taki sposób – tu Marc zaczyna się wyginać i przesuwając dłoń po klatce piersiowej.

– Ceremonia bardzo ładna. Jedyńm minusem był deszcz – dodaje

sprzedawca pamiątek ze sklepiku przy Boulevard Saint-Michel. – Ale każdy ma prawo do swojej opinii, bo na tym właśnie polega demokracja.

Dyskusja w paryskich kawiarniach i francuskich mediach trwa, a tymczasem organizatorzy oświadczyli, że żadna to „Ostatnia wieczerza” i żaden Jezus. Reżyser spektaklu Thomas Jolly w kanale telewizyjnym BFMTV zapewnił, że ukazał po prostu pogańską ucztę z bogami Olimpu, a w jego pracy nie ma miejsca na pragnienie ponizenia kogokolwiek czy czegokolwiek.

Wezmę was na barana

Na Boulevard Saint-Michel słyszę stukot kółek walizek o krawężniki, słyszę język angielski, niemiecki, słyszę włoski, skandynawski, hiszpański. – To fajny czas dla Paryża, bo przyjechał do nas cały świat – mówi sprzedawca demokrata. – Widziałś, jak płynęły statki po Sekwanie? Sportowcy z całego świata płynęli! Na półkach ma kubki, koszulki, czapeczki, torby, breloczki i wszystko to, co z pięcioma olimpijskimi kółkami albo jedną z głównych bohaterek olimpiady, czyli maskotką Phryge. Wśród tych pamiątek, gadżetów, plakatów – czerwona i uśmiechnięta, antropomorficzna czapka frygijska, która symbolizuje wolność od czasu Rewolucji Francuskiej.

O niej, czyli rewolucji, śpiewał podczas ceremonii otwarcia metalowy zespół Gojira z okien Pałacu Sprawiedliwości, z którego dziś widać Sekwanę już bez statków ze sportowcami i bez śpiewaczki operowej Mariny Viotti, za to z pojedynczymi barkami dla turystów, których wcale nie przybyły nieprzebrane tłumy.

– Nie widzę szczególnie więcej klientów niż w normalne wakacje – stwierdza sprzedawca demokrata.

– Cieszę się, że mamy w mieście olimpiadę, ale turystów jest tylu, co zwykle. A zarobek może być nawet mniejszy, bo normalnie przyjeżdżają do Paryża zwiedzać i kupować pamiątki, a teraz przyjechali na olimpiadę. Bilety wstępu na zawody są tak drogie, że pewnie nie starczy im już na shopping i restauracje – mówi



Paryżanie zazwyczaj wyjeżdżają na wakacje w drugiej połowie lipca. W tym roku ruszyli już na początku miesiąca. Dlatego jest ciszej i spokojniej.

kobieta w sklepie z pamiątkami w Dzielnicy Łacińskiej.

– Spodziewaliśmy się, że będzie więcej turystów – potakuje barman w jednej z kawiarni. – Jest ich tyle, co zawsze. To pewnie przez te ceny.

Ceny faktycznie skoczyły. Przykładem jest paryskie metro. Od 20 lipca pojedynczy bilet kosztuje nie 2,10, ale 4 euro. Pakiet 10 biletów to już nie 17,35, lecz 32 euro.

musi mieć bilet na olimpiadę, przyłożyć go do urzędu i iść dalej już między barierkami.

Jest chill

Barierki. Olimpijski Paryż to ścieżki z barierek, choć teraz mniej ich niż przed otwarciem. – Mieszkam na południu Paryża, ale pracuję niedaleko Luwru. Trudności z przemiesz-

Idę do 19. dzielnicy w okolice stacji metra Stalingrad, słynącej z tego, że łatwo tam zgubić portfel i znaleźć narkotyki. Dziś nie ma tam ani strzykawek, ani ludzi śpiących na ulicy.

Ci, którzy przyjechali, ciągną głównie do centrum. Luwr i Wieża Eiffla – to są najpopularniejsze adresy. Turyści kotłują się wokół olimpijskich kółek w ogrodzie przed muzeum, by zrobić sobie olimpijskie foty. A potem tłoczą się przy barierkach oddzielających ich od kosza balonu, w którym pali się olimpijski ogień. Też, by zrobić foty. – Jeśli chcecie zobaczyć ogień olimpijski, wezmę was na barana – mówi turysta z Polski do dwójki dzieci. Bo z daleka widać tylko trochę, a jeśli ktoś chce poczuć ogień z bliska,

czaniem zaczęły się już na początku lipca. Ustawili barierki i żeby przejść, musiałam pokazać QR code – mówi Rania, która siedzi na ławce nad Sekwaną, a na dowód wyciąga z torby coś, co wygląda jak ulotka z danymi i QR kodem. – Teraz, po ceremonii otwarcia, jest już łatwiej.

– Panował bałagan. W wiele miejsc nie można było dojechać samochodem, niektóre stacje metra zostały zamknięte. Sporo restauracji czy hoteli znajdujących się przy zamkniętych ulicach straciło pieniądze. Ci, którzy są na pracy zdalnej,

► mają szczęście, ale jeśli np. pracujesz w szpitalu, musisz się do niego dostać – narzeka Ghada Hatem. – Ceremonia była wspaniała i to był ważny moment dla Francji, ale to tylko jeden wieczór, a my musieliśmy znosić trudy przez cały miesiąc – mówi Ghada, dodając wątek finansowy, bo przecież olimpiada kosztuje, i to 9 mld dol. – To ogromne pieniądze – mówi Ghada. – Chcielibyśmy, by się zwrócili, ale obawiamy się, że po olimpiadzie władza przez długi czas będzie mówić, że na nic nie ma, bo wszystko wydali na olimpiadę. To bez sensu. Powinniśmy organizować prostsze i tańsze imprezy sportowe, a pieniądze wydawać na potrzebujących.

Ghada jest ginekologką-położniczką i założycielką La Maison des femmes, miejsca wsparcia dla kobiet znajdujących się w trudnej sytuacji i ofiar przemocy. Jest także ważną postacią dla społeczności



Wśród pamiątek znajdziemy maskotkę igrzysk Phryge, wzorowaną na czapce frygijskiej.

triathlon, bo kolarstwo, bo coś, niosą się tym słabiej, im dalej od centrum.

Cicho i spokojnie

Dalej od centrum olimpiada wciąż jest – w sklepach w postaci olimpijskich gadżetów, butelek na wodę, toreb i długopisów; w winiarni w postaci kolekcji win z atletami na etykietach; w zakładzie optycznym w postaci olimpijskich chorągiewek, a w kawiarni na okładce dziennika „Le Parisien” z francuskim złotym medalistą w pływaniu Léonem Marchandem.

Im dalej od Luwru i Wieży Eiffla, tym ciszej i codzienniej.

W 13. dzielnicy życie toczy się prawie zwyczajnie. Samochody jeżdżą, ludzie palą papierosy przed sklepikami i kawiarniami, psy leżą pod stolikami, robotnicy naprawiają rury w ziemi. Prawie, bo samochodów, ludzi i psów mniej, a większość mieszkań stoi albo pusta, albo została wynajęta turystom korzystającym z Airbnb.

– Paryżanie zazwyczaj wyjeżdżają na wakacje w drugiej połowie lipca, ale w tym roku ze względu na olimpiadę ruszyli już na początku miesiąca. Dlatego jest tak cicho i spokojnie – mówi Marc Alaux. Sam rozpoczyna urlop we wrześniu, bo lubi lato w Paryżu, a w tym roku lubi



Saint-Denis, dlatego rano w dzień otwarcia igrzysk była wśród osób, które w podparyskiej miejscowości niosły znicz olimpijski na jednym z ostatnich etapów jego podróży. Wieczorem uczestniczyła w ceremonii. A dzień później wyjechała, bo – jak zaznacza – olimpiada w telewizji zupełnie jej wystarczy. Większość paryżan i paryżanek tak zrobiła.

– Ludzie bali się najazdu turystów. Większość opuściła miasto i dlatego jest teraz tak cicho. Jest chill, przyjemnie tu być – mówi Rania i beztrako patrzy na Sekwanę. – Nie pamiętam takiego Paryża.

Ja też nie. Mam wrażenie, że nigdy nie był tak spokojny. A dźwięki rozmontowywanych po ceremonii otwarcia barierek albo montowania nowych w innym miejscu, bo

nawet jeszcze bardziej. Cisza i spokój ułatwiają mu pracę w wydawnictwie i księgarni, które prowadzi przy rue Berthollet.

W 13. dzielnicy, spotykam też grupę Romów z Rumunii, siedzących przed namiotami. Namioty są trzy, Romów czworo. Jedna półka z pustą butelką po coca-coli, jedna gazowa kuchenka, na której smażą się ziemniaki. Nie wygląda to, jakby byli na chwilę.

– Śpimy tu od dwóch miesięcy – mówi mężczyzna.

– Policja was nie wygania?

– Nie – mówi kobieta. – Wiedzą, że tu jesteśmy i nam pozwalają. Događujemy się.

Czyszczenie

Nie pamiętam tak pustego Paryża, ale nie pamiętam też Paryża tak czystego. Na ulicy nie wala się tyle papierów, co zwykle, tyle butelek, petów i resztek jedzenia. Ulice nigdy nie były tak wysprzątane, a skoro o tym mowa, to właśnie słowa *cleaning* używają wszyscy, gdy rozmawiają o tym, co się stało z paryskimi bezdomnymi. Stąd moje zdziwienie na widok Romów.

Jak podaje „Le Parisien” w regionie Île-de-France zmobilizowano 30-45 tys. policjantów i żandarmów. Do tego dochodzi ok. 20 tys. prywatnych ochroniarzy i ponad 10 tys. żołnierzy.

– W mojej okolicy na ulicy mieszkało wielu ludzi – opowiada Rania. – Gdy wieczorami wracałam do domu, zawsze tam byli, zawsze mili, nigdy mnie nie zaczepiali. I nagle w czerwcu zniknęli. Szaleństwo. Uważam, że to obrzydliwe, że ich przeniesiono za miasto czy gdziekolwiek teraz są.

– Władze chcą pokazać Paryż, w którym ludzie nie mieszkają na ulicach ani w namiotach – mówi Ghada. – To jest bardzo nie fair.

Według raportu Le Revers de la Médaille, kolektywu złożonego z organizacji, stowarzyszeń i działaczy społecznych, którzy ostrzegają przed społecznymi skutkami organizacji igrzysk olimpijskich

i paraolimpijskich, w latach 2023-2024 odnotowano 12 545 eksmisji z nieformalnych miejsc zamieszkania, co stanowi wzrost o 38,5 % w stosunku do lat 2021-2022. 3 434 z tych osób to nieletni.

Czy udało się całkowicie „wyczyścić” miasto? Oczywiście, że nie. Chodzę po Paryżu i widzę mężczyznę śpiącego przed siedzibą banku. Kolejnego na ławce, na murku we wnętrzu kamienicy. Na materacu, z plecakiem, czyta gazetę, a przed nim dwa gołębie dziobią okruchy. Widzę kobietę mieszkającą przy ogrodzeniu na kocach i proszącą o euro. Widzę kilka namiotów w okolicach Gare de Lyon. Jednak jest to na oko maksimum 20% tego, co rok temu.

Idę do 19. dzielnicy w okolice stacji metra Stalingrad, słynącej z tego, że łatwo tam zgubić portfel i znaleźć narkotyki. Dziś to miejsce wygląda zupełnie inaczej niż jeszcze rok temu. Nie ma potłuczonych butelek, walających się strzykawek, kurzu, ludzi śpiących na ulicy, nie ma namiotów... Ludzie piją w kawiarniach albo znużeni siedzą na krzesłach zamontowanych na nowo pod wiaduktami. Są tu jak wrzucone na siłę

i nie wiem, czy dla wygody, czy po to, by nie było miejsca na rozłożenie namiotu.

Iskander pochodzi z Algierii i nad brudną wodą kanału Saint-Martin pije z kolegami piwo. – Moi przyjaciele i partnerka zostali wywiezieni z miasta – mówi. – To nieludzkie traktowanie. Olimpiada nie jest piękna. Wszędzie pełno policji, wszędzie kontrole. – *Merde* i *no respect* dla policji – wtrąca jego kolega.

Służby faktycznie są widoczne. Przy schodach Sacré-Cœur stoją żołnierze z dłońmi na karabinach, na ulicach są zaparkowane samochody Protection Civile. Policja jeździ radiowozami, rowerami, konno, przemieszcza się

grupami. Jak podaje dziennik „Le Parisien” w regionie Île-de-France, do którego należy stolica Francji, zmobilizowanych zostało od 30 do 45 tys. policjantów i żandarmów. Do tego dochodzi ok. 20 tys. prywatnych ochroniarzy i ponad 10 tys. żołnierzy.

Sport i sztuka

– Wielu Paryżan było negatywnie nastawionych do olimpiady, ale po ceremonii otwarcia ludzie bardziej entuzjastycznie zaczęli do niej podchodzić – mówi Rania.

Po mieście krąży armia wolontariuszy, 45 tys. osób. Na stacjach metra tak tłumaczą i kierują każdym gościem, że nawet kogut do tarłby w miejsce przeznaczenia. I to z przesiadką. Chodzi też sporo ludzi z organizacyjnymi „smyczkami”, czyli sportowców i członków sztabów. W wiosce olimpijskiej powstało 12 450 miejsc noclegowych. W 26 strefach kibica ludzie siedzą na leżakach i gadają, przy ławach popijają piwo, dzieci kopią piłkę, na telebimie leci sport, a ochroniarz udaje, że nie mam w plecaku butelki wina, i wpuszcza mnie z uśmiechem do jednej z takich stref.

– Fakt, że zdobywamy tak wiele medali, sprawia, że ludzie są bardzo podekscytowani – mówi Ghada.

Idę wieczorem ulicami 5. dzielnicy. Robotnicy znowu składają barierki, następnie ładują je na ciężarówki, które zawiozą je w kolejne miejsce, gdzie rano zostaną rozłożone. Ludzie siedzą w kawiarniach. Bo jednak nie wszyscy wyjechali. Siedzą więc w kawiarniach, a w telewizorach leci transmisja z pływalni. Reprezentantka Francji Anastasiia Kirpichnikova zdobywa srebrny medal. Sypią się brawa. A potem wszyscy wracają do rozmów, dań, napojów i znowu po ulicach niesie się odgłos sztuczków, bo Paryż jest wciąż Paryżem. Miastem różnorodności i może właśnie ją, tak sądzę, chciał w spektaklu ceremonii otwarcia oddać Thomas Jolly.

Anna Wyrwik

Maciej Mikołajczyk

Na podbój Paryża wybrali się nie tylko sportowcy, ale także trenerzy, lekarze, dietetycy, masażyści, psycholodzy, psychiatry i... księża.

Duszami naszych reprezentantów oraz pozyskaniem przychylności niebios zajmuje się ks. Edward Pleń, kapelan olimpijczyków i członek zarządu Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Na pasterzowaniu wyczynowcom ksiądz Edi, jak o nim mówią, zjadł zęby – zadebiutował podczas olimpiady w Sydney w 2000 r. i od tego czasu regularnie towarzyszy naszym orłom.

Z pozoru osiągnięcia ks. Plenia nie pozwalają. Chociażby w 1976 r. w Montrealu olimpijczycy byli pozbawieni duchowego wsparcia, bo w czasach PRL o kapelanach na garnuszku państwa lub organizacji w rodzaju PKOl nie było mowy. Rezultat? Nasi przywieźli 26 medali, w tym siedem złotych i sześć srebrnych. To do dziś niepokonywany rekord. W czasie 24-letniej współpracy ks. Plenia ze sportowcami Polacy na pięciu letnich igrzyskach zdobyli 71 krążków, najwięcej w Sydney i w Tokio – po 14. To niemal dwukrotnie mniejszy dorobek niż w Kanadzie przed 48 laty.

Sportowcy Chińskiej Republiki Ludowej tylko w 2021 r. w Tokio wywalczyli 89 medali, więcej niż Polacy na pięciu igrzyskach. A reprezentanci Państwa Środka w ogóle nie korzystają ze wsparcia duchownych – w Chinach władzę sprawuje partia komunistyczna. Na zawodników co najwyżej mają więc wpływ kapłani partyjni, co, jak wskazują na to owoce, w osiąganiu sukcesów nie przeszkadzało. I nie przeszkadza – przez cztery dni po otwarciu olimpiady w Paryżu Chiny zdobyły osiem złotych medali i jest niemal pewne, że tyłu – jeśli nie dojdzie do interwencji góry – otoczeni opieką kapłana Polacy nie zdobędą przez całe igrzyska. Jeśli już uciują cztery, zostanie otrąbiony sukces na miarę zwycięstwa pod Grunwaldem.

Na razie niebios, mimo pośrednictwa prześwieconego zawodnika w sutannie, nie kwapią się, by Polska stała się sportową potęgą



Ks. Edward Pleń, duszpasterz olimpijski, pomiędzy attaché olimpijskim Waldemarem Legieniem a żoniarą Katarzyną Bachledą-Curuś podczas ślubowania polskich olimpijczyków.

Bramy piekła

Polska na olimpiadzie odnosi sukcesy duchowe, o jakich Zachodowi nawet się nie śniło

i odgrywała w klasyfikacji medalowej igrzysk rolę adekwatną do znaczenia w dziejach świata, choć wyeliminowanie z rywalizacji Danielle Collins podczas meczu z Igą Świątek budzi szacunek.

Lecz ks. Pleń zasługuje na platynowy medal, bo zademonstrował, w jaki sposób należy reagować na bluźnierstwa, a to poziom międzynarodowy, chińszczyźnie niedostępny. Z podobnych względów krążki z najsłachtetniejszych kruszców winny zawisnąć na szczytach patriotów w osobach Jarosława Kaczyńskiego i Patryka Jakiego. Nie uprzedzamy jednak wypadków.

Cios w zasady

Podczas igrzysk w Paryżu doszło do wielu wydarzeń godnych pióra, lecz dwa z nich zasługują na miano epokowych. Oba dotyczą ceremonii otwarcia.

Pierwsze polegało na rzekomym sparodiowaniu ostatniej wieczerzy przez następujące indywidua: drag queens, transpłciowego modela, nagiego piosenkarza ucharakteryzowanego na boga płodności Dionizosa, dziecko niewiadomej proveniencji oraz niewiastę w sukience z dużym dekoltem. Już dekolt sam w sobie dotkliwie obraził uczucia religijne katolików. Na dokładkę dama miała na głowie koronę, która w przypiływie religijnej egzaltacji musiała skojarzyć się z aureolą – ta zaś zarezerwowana jest dla Jezusa. Wybuchł skandal.

„To, co stało się w Paryżu, w Biblii jest określane wprost mianem Sodomy i Gomory. Podczas ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich w Paryżu mieliśmy do czynienia z bluźnierstwem w czystej postaci, na które trzeba zareagować adekwatnie do stanu naszej wiary”, zawołał „Nasz Dziennik”. „Ceremonia otwarcia igrzysk w Paryżu stała się

zaprzeczeniem tych fundamentalnych zasad, które przyświecały organizatorom zarówno starożytnych, jak i nowożytnych igrzysk olimpijskich. W sposób szczególny zaniegowała także najważniejsze wartości oraz idee kultury, sztuki i sportu, które miały na celu szerzenie pokoju w dzisiejszym świecie. Zamiast tego ceremonia budzi w sercach głęboki niepokój, bo stanowi atak na chrześcijaństwo!”, zakrzyknął ks. Pleń, duchowy opiekun polskich olimpijczyków.

Organizatorzy przeprosili urażonych, twierdząc, że nie inscenizowali ostatniej wieczery, tylko „wielką, pogańską imprezę, nawiązującą do bogów Olimp, a w związku z tym do igrzysk olimpijskich”.

Polacy nie dali się na to nabrać.

„Na otwarciu igrzysk olimpijskich genderowi cyrkowcy udają ostatnią wieczerzę. To zdeprawowani do szpiku kości, źli ludzie. Świadomie obrażają uczucia tylu wierzących na całym świecie. Na co dzień jednak odmieniają przez wszystkie przypadki tolerancję. Oni nie tolerują niczego poza własną agendą. A katolików chcą upokorzyć. Oparty na chrześcijaństwie ład społeczny zastąpiły dzielnice mużułmańskie, rekordy gwałtów, rosnące wydatki na policję i wojsko. To kolejna przestroga dla Polaków”, ogłosił Patryk Jaki, pobierający pensję europoła.

„To była świadoma prowokacja, to jest uderzenie w ideę olimpiady i chrześcijaństwo. To rozkład Zachodu”, orzekł Jarosław Kaczyński, naczelnik państwa polskiego, chwilowo na wychodźstwie.

„Potrafią obrzydzić nawet ceremonię otwarcia IO”, obieścił Mateusz Morawiecki, były premier, zwany IO.

Fundacja Proelio, działająca na rzecz ochrony życia od poczęcia do naturalnej śmierci zakomunikowała natomiast, że „podczas ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich, na oczach milionów ludzi śledzących transmisję, zadrwiono z chrześcijaństwa, przedstawiając tęczęwą parodię „Ostatniej wieczery”, z drag queens w rolach głównych, a wśród wyuzdanych postaci znalazło się również dziecko”. I zaapelowała do przewodniczącego MKOl,

przewodniczącego francuskiego Narodowego Komitetu Olimpijskiego i Sportowego oraz ambasadora Francji w Warszawie o przeproszenie, ponadto dopilnowanie, aby podczas igrzysk nie miały już miejsca incydenty obrażające wierzących i „zadośćuczynienie, choćby poprzez włączenie do ceremonii zamknięcia igrzysk, elementów uczących szacunku do tradycji chrześcijańskiej”.

Gdy wydawało się, że napięcie osiągnęło maksimum i jego dalszy wzrost doprowadzi do wojny światowej, a w najlepszym razie poważnego kryzysu dyplomatycznego, ziemia zatrzęsała się w posadach po raz drugi. Powód: Przemysław Babiara, dziennikarz TVP został zawieszony i odsunięty od komentowania olimpiady.

Zaczęło się od tego, że w trakcie ceremonii otwarcia puszczono „Imagine”, znany i lubiany kawałek Johna Lennona. Lecz nie w Polsce. Utwór zawiera bowiem takie kwiatki jak „Wyobraź sobie, że nie ma nieba, nie ma piekła pod nami, nie ma za co zabijać, ani umierać”, „Wyobraź sobie brak własności”, „nie ma religii, nie ma potrzeby chciwości czy głodu” czy „braterstwo ludzi”. Komentujący ceremonię Przemysław Babiara przemilczał skojarzenia z „Ostatnią wieczerzą”, ale Lennon stanął mu w gardle. „Świat bez nieba, narodów, religii i to jest wizja tego pokoju, który wszystkich ma ogarnąć. To jest wizja komunizmu, niestety”, stwierdził na antenie.

Zarząd TVP zawiesił dziennikarza. „Wzajemne zrozumienie, tolerancja, pojednanie, to nie tylko podstawowe idee olimpijskie, to także fundament standardów, którymi kieruje się nowa Telewizja Polska. Nie ma zgody na ich łamanie”, argumentował.

„Nakazałem wszczęcie postępowania wyjaśniającego w sprawie zawieszenia redaktora Przemysława Babiara pod kątem sprawdzenia, czy nie zostało naruszone prawo do wolności wypowiedzi dziennikarza”, oświadczył w odpowiedzi Maciej Świrski, szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Ponadto przeciw zawieszeniu Babiara zaprotestowały te same osoby, co przeciwko tęczęwej wieczery, czyli Jarosław Kaczyński, Patryk Jaki, arcybiskup Jędraszewski, no

i ks. Edward Pleń, kapelan naszych olimpijczyków. Polska znalazła się na ustach całego świata.

Modlitwa o pomyślność

O dziwo nie słychać, by ksiądz Edward protestował przeciwko rozdawaniu sportowcom prezerwatyw. Prezerwatywy podczas igrzysk po raz pierwszy były rozdane w Seulu w 1988 r. w liczbie 8,5 tys. sztuk. Już 12 lat później w Sydney organizatorzy musieli zamówić dodatkowo 20 tys. po tym, jak wyczerpała się pierwotna pula, wynosząca 70 tys. W Paryżu rozdanych zostanie ponad 200 tys. prezerwatyw dla mężczyzn, 20 tys. prezerwatyw dla kobiet i 10 tys. kondomów do seksu oralnego.

Co porabia ks. Edward Pleń w czasie olimpiady poza protestowaniem przeciwko zawieszeniu redaktora Babiara i tęczęwej parodii ostatniej wieczery? Seksem sportowców raczej się nie zajmuje, za to odprawia msze, modli się o pomyślność naszych reprezentantów, spowiada... Twierdzi, że zawodnicy szukają u niego wsparcia i dzielą się z nim radościami i smutkami. „Uczestniczę w euforii po zdobyciu medali, ale także w trudnych momentach po porażce”, opowiada. W państwie wyznaniowym to wystarczy, by zasiadać w zarządzie Polskiego Komitetu Olimpijskiego i brać udział w igrzyskach.

Kapelan olimpijczyków łatwo wrócił w krajobraz i nie budzi zgorzelenia, bo w naszym kraju stanowi normę – przyzwyczailiśmy się, że swoich opiekunów duchowych mają policjanci, strażacy, kibole, więźniowie i służba więzienna, straż graniczna, wojsko, a nawet Krajowa Administracja Skarbowa. W tym świetle kapelan olimpijczyków nie może robić wrażenia. W służbach mundurowych na podstawie umowy o pracę zatrudnionych jest 650 kapelanów, najwięcej w służbie więziennej – 200, a ich pensje finansowane są z budżetu państwa. Łączne wydatki na ten cel przekraczają 5 mln zł miesięcznie.

Zapytałem ks. Plenia, czy z racji piastowania funkcji kapelana olimpijczyków i członka zarządu PKOl pobiera wynagrodzenie, a jeśli tak, to w jakiej wysokości. Nie odpowiedział. ■

troje na jednego

JEDEN:

ANDRZEJ WERBLAN

TROJE:

DOMINIKA RAFALSKA

PAWEŁ SĘKOWSKI

MARIAN SZULC

LIBERALIZACJĘ UWAŻAŁEM ZA WYSTARCZAJĄCĄ

Fragmenty drugiej części rozmowy, która ukazała się w najnowszym numerze „Zdania” (2/2024) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

(...) DOMINIKA RAFALSKA: W jaki sposób znalazł się pan w bliskim otoczeniu Gierka? Dlaczego zdecydował się pan odpowiedzieć na jego apel: „Pomożecie?” tak pozytywnie?

ANDRZEJ WERBLAN: – Ja najpierw zostałem, jakby to powiedzieć, lekko odsunięty w bok. Wpadłem z KC, z aparatu partyjnego i przeszedłem na stanowisko wicemarszałka Sejmu, na wniosek zdaje się Teichmy. Traktowałem to bez entuzjazmu. **PAWEŁ SĘKOWSKI: Józef Teichma w ten sposób pana odsunął, czy raczej rzucił panu koło ratunkowe po tym, jak pan wypadł z łask? Wydaje mi się, że jednak to drugie.**

ANDRZEJ WERBLAN: – Raczej koło ratunkowe, tak myślę. Natomiast ja chciałem być w Sejmie dość krótko, żeby móc przejść do szkolnictwa wyższego. Natychmiast obroniłem pracę doktorską. Wszystko to stało się latem 1971. Ale pod koniec tego roku zjawili się u mnie w Sejmie Wojciech Jaruzelski i Franciszek Szlachcic. Jaruzelski

był już członkiem Biura Politycznego, a Szlachcic był partyjną szarą eminencją. I okazało się, że mieli taką propozycję: „Słuchaj, Andrzej, ty się tu marnujesz. A u Edwarda są problemy z tekstami wystąpień”.

PAWEŁ SĘKOWSKI: Czyli zostaje pan drugi raz ghostwriterem – najpierw Gomułki, teraz Gierka.

ANDRZEJ WERBLAN: – Tak. Zgodziłem się, bo ja o tych Ślżakach, jako takich, miałem nie najgorsze zdanie. Oceniałem, że dla Polski ta technokratyczna wymiana kadr jest pożyteczna. Że Gomułka, gdyby miał wystarczająco szerokie horyzonty myślowe, powinien był sam tę transformację kadrową przeprowadzić. On nawet coś takiego zamierzał. Bo on po Marcu proponował Gierkowi urząd premiera. Ale Gierek się wtedy nie zgodził. Trzeba było to robić z większym rozmachem. Uważałem, że Gierkowskiej grupie należy pomóc, skoro sami się o tę pomoc zwrócili. Stałem się u nich swego rodzaju wyrobnikiem, razem z Ryśkiem Frelkiem. Potem Frelek odszedł, bo

jemu bardzo zależało na posadzie za granicą. A przyszedł Jerzy Wójcik, z którym razem przygotowywaliśmy przemówienia. Odgrywałem tu dość istotną rolę, może nawet większą niż za czasów Gomułki, dlatego że u Gomułki miałem do tej roboty współnika – Artura Starewicza, a przy Gierku to ja byłem chyba głównym wyrobnikiem. Miałem pewien talent, mianowicie łatwo wchodziłem w cudzą rolę, w cudzy język, w jego sposób myślenia. Szybko się wczułem w to, jak mówi i jak myśli Gomułka. I to samo, jeśli idzie o Edwarda Gierka. A to był trochę inny typ. Przy czym ja sam od siebie piszę i mówię inaczej.

DOMINIKA RAFALSKA: A kto był dla pana wzorem w tym zakresie, wielkim mówcą, który panu imponował?

ANDRZEJ WERBLAN: – Ja czytałem różne wielkie przemówienia, doskonałe, przedwojenne. Wybitnym mówcą był Ignacy Daszyński. Doskonałym był Józef Beck. Ale ja czytałem przede wszystkim mowy zagraniczne, np. najwybitniejsze przemówienia w amerykańskiej historii. Najwybitniejszym mówcą politycznym w historii najnowszej – bo w historii starożytnej to był Cyceyron, także Perykles – był oczywiście Winston Churchill. Churchillowi nikt nie pomagał, wszystkie wystąpienia



Od lewej: Paweł Sękowski, Andrzej Werblan, Marian Szulc i Dominika Rafalska.

napisał sam. „Gettysburg Address” Abrahama Lincolna z kolei nie został napisany przez samego Lincolna. Przemówienie inauguracyjne Johna Fitzgeralda Kennedy’ego też nie było przez niego napisane. Oczywiście pomocnicy piszący projekt dla przywódcy najczęściej kierują się jego wskazówkami, życzeniami. Gierek w przypadku ważnych wystąpień zwoływał nawet w tej sprawie małe zebranie i dyskusje. Gomułka lubił sporządzić tezy, a poza tym sporo sam poprawiał.

MARIAN SZULC: A Gierkowe „Pomożecie?” w stoczni było Gierka?

ANDRZEJ WERBLAN: – Improvizowane, pomysł podsunął mu Szlachcic. Gierek miał pewien talent improwizatorski, potrafił bardzo interesująco przemawiać bez żadnego przygotowania. Gomułka też. Ale Gomułka umiał napisać sobie przemówienie. Najlepsze przemówienia Gomułka były przez niego samego napisane. Przemówienie na VIII Plenum KC PZPR w październiku 1956 Gomułka napisał sam od początku do końca. Przemówienie w sprawie listu biskupów polskich do biskupów niemieckich w listopadzie 1965 Gomułka improwizował w całości – nic wtedy nie napisał, nie miał żadnego tekstu. W najważniejszym wystąpieniu marcowym, tym z 19 marca 1968 r. część dotyczącą szkół wyższych napisał ja. Od początku do końca Gomułka nic w tym nie

poprawiał, tylko ślad czytania pozostawił. Część dotyczącą „Dziadów” napisał Starewicz, a część dotyczącą Żydów w całości napisał sam.

Trzy lata potem Gomułka ostatecznie stracił władzę. Ta formacja, która dochodzi do władzy po nim, zwana pokoleniem ZMP lub technokratami, była bardzo interesująca. Pragmatyczna, dość kompetentna. W 1968 r. miała krótki sojusz z Moczarem, ale tego powinowactwa się wstydziła i po przejęciu władzy wyzbyła się natychmiast. Moczara odstawiono na boczny tor, dla represjonowanych w Marcu zastosowano kompletną amnestię, niczego co dobre w polityce Gomułka nie utraciono, lecz pogłębiono. Zapisła się ta ekipa najlepiej w pamięci społecznej z całej Polski Ludowej, a może i powojennej w ogóle. Rok po upadku Polski Ludowej Gierka ma tego potwierdzenie. Książka z jego wywiadem rzeką, w której broni swojej polityki, uzyskała rewelacyjny nakład w sprzedaży – prawie 1 mln egzemplarzy, polski rekord w tej dziedzinie. Sukces tej ekipy w opinii społecznej uwiera jak gwóźdź w pantoflu epigonów współczesnego antykomunizmu we wszystkich odmianach. Starają się go w różny sposób podważyć. Nie wróżę im powodzenia. Parafrazując poetę: „Pamięć ludu tam stoi na straży!”. (...)

MARIAN SZULC: Panie profesorze, w drugiej połowie lat 70. zaczyna się kryzys Gierkowski, którego

apogeum są wydarzenia z sierpnia 1980. Mniej więcej wiadomo, jakie są ekonomiczne przyczyny tego kryzysu. Natomiast opozycja sobie przypisuje dużą rolę – KOR itd., potem „Solidarność”. Jakie jest pana zdanie o roli opozycji w tamtych wydarzeniach?

ANDRZEJ WERBLAN: – Mówicie „opozycja”, a ta opozycja nigdy nie była jednolita. To się po pewnym czasie dopiero okazało, co się z niej wykluwa i czym ona jest. Większość tej dawnej opozycji to jest pod względem poglądów właściwie dzisiejszy PiS, prawica populistyczna. Nurt w gruncie rzeczy dla Polski bardzo szkodliwy. Ten nurt był w „Solidarności” silny i omal nie doprowadził do nieszczęścia. Bo mógł sprowokować radziecką interwencję. I była cienka warstwa KOR-owska, demokratyczna, ale dość nieostrożna politycznie. Mogąca też sprowokować jakieś nieszczęście. I było jeszcze coś, co ja bym nazwał liberalną demokracją o odcieniu chrześcijańskim. Symbolem tego nurtu był Tadeusz Mazowiecki. Ale to nie była większościowa warstwa. Ta liberalna chadecja to było jakieś 20% w elicie opozycji.

PAWEŁ SĘKOWSKI: A KOR to było ile procent tej opozycji, pańskim zdaniem? Michnik, Kuroń...?

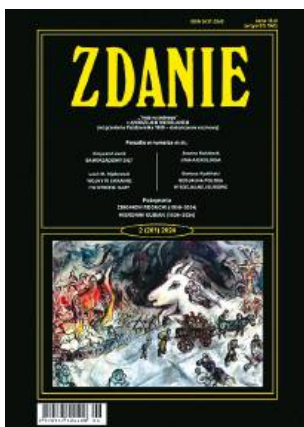
ANDRZEJ WERBLAN: – A ci KOR-owcy to była cieniutka warstewka, znacznie mniej. Tej warstewki nie ▶

► wystarczyło nawet na jeden rząd. Oni nigdy żadnego rządu nie stworzyli, wystarczyło na dwie gazety. To była czysto inteligencka grupa – przyzwoita, demokratyczna, lewicowa. Powiedziałbym tak: zdolna zrobić dobrą gazetę na krótką metę, ale już dobrej telewizji nigdy nie zrobiła, dobrej partii politycznej też nie. Szkoda, że tak się stało, ale przecież tak właśnie było.

A tak bardziej generalnie oceniając te wszystkie procesy, odwołam się do słów Gomułki, z którym w latach 70., przed upadkiem Gierka kilka razy rozmawiałem i jego poglądy dobrze znam. Gomułka odnosił się nieufnie do spontanicznych ruchów społecznych. Był autorem powiedzenia, że polska szlachta zgubiła szlachecką Rzeczpospolitą, polska burżuazja zgubiła II Rzeczpospolitą, a klasa robotnicza zgubiła Polskę Ludową. O „Solidarności” Gomułka miał jak najgorszą opinię.

Ja myślę, że „Solidarność” miała jedną wielką wadę – populizm. A populizm połączony z nacjonalizmem to gorsza rzecz niż populizm lewicowy. Zwróćcie uwagę na to, że dzisiejsza scena polityczna Polski jest zawłaszczona przez dwie wielkie partie postsolidarnościowe. PO i PiS pochodzą z rozłamu „Solidarności”, ze wspólnego korzenia. I one wykreowały w Polsce coś na kształt zimnej wojny domowej.

PAWEŁ SĘKOWSKI: Wydaje się, że te podziały są dziś ostrzejsze niż te z 1989 r. Dzisiaj nie ma widoku na „okrągły stół”...



ANDRZEJ WERBLAN: – Tak, muszę potwierdzić. Ale chcę wam przypomnieć, że w przedwojennej Polsce dwa główne obozy: piśsudczykowski i endecja, też wywodziły się ze wspólnego korzenia w XIX w.

DOMINIKA RAFALSKA: Był pan współtwórcą, budowniczym Polski Ludowej. Jest pan również badaczem, historykiem. Jak ocenia pan, z tej podwójnej perspektywy, dorobek Polski Ludowej?

ANDRZEJ WERBLAN: – Polskę Ludową, jakbym stopnie miał stawić, oceniłbym – w skali od 2 do 5 – na trójkę. Przede wszystkim Polska Ludowa była historyczną koniecznością. Miała zapewnić odrębność państwową Polski i przy tym możliwe korzyści z udziału w obozie zwycięzców w II wojnie światowej. Możliwe korzyści terytorialne i możliwe korzyści ekonomiczne. Otóż Polska Ludowa to zrobiła, częściowo pod naciskiem zewnętrznym, a nawet głównie pod naciskiem zewnętrznym. Ale w sumie zdała na trójkę. Zapewniła Polsce przejście przez zimną wojnę w gruncie rzeczy dość bezpieczne. Terytorialnie na piątkę – nikt by się nie spodziewał, że Polska w takim kształcie terytorialnym z tej wojny wyjdzie. Zanosilo się, że ten kształt będzie dużo gorszy. Przeprowadziła reformy modernizacyjne – nie najlepsze, powiedziałbym dość umiarkowanie udane, ale jednak takie, że jest to zupełnie inna Polska niż u progu II wojny światowej. I wreszcie

okazało się, że w tym swoim położeniu geopolitycznym zdobyła stopień niezależności ustępujący w powojennym obozie socjalistycznym tylko Chinom. Nikomu poza tym.

PAWEŁ SĘKOWSKI: I Jugosławii.

ANDRZEJ WERBLAN: – No tak, i Jugosławii. Ale Jugosławia była na uboczu i daleko od Moskwy. W Polsce to było niemożliwe. Uzyskałszy duży stopień niezależności, mimo że rządy na początku sprawowali praktycznie komuniści lizusowscy wobec Związku Radzieckiego. A jednak przekształcili się narodo-wo przy Gomułce i tak przetrwali do końca. Ja stawiam im trójkę. Ale w moim przekonaniu Polska w czasie wojny miała szansę na finlandyzację. To znaczy mogła zależność od Związku Radzieckiego ograniczyć do spraw militarnych i międzynarodowych. Ale tę szansę sami Polacy zmarnowali.

PAWEŁ SĘKOWSKI: Tego chciał w pierwszych latach po wojnie Stanisław Mikołajczyk.

ANDRZEJ WERBLAN: – Ale chciał za późno. To było do zrobienia w 1943 r. – wtedy, kiedy tego chciał gen. Stanisław Tatar. I którego wtedy z okupowanej Polski natychmiast „karnie” zesłał do Londynu gen. Tadeusz Bór-Komorowski. Chodzi o to, że wtedy trzeba było to postulować, kiedy pragnął tego Związek Radziecki. A ZSRR tego pragnął na początku i do połowy wojny, a potem już nie musiał niczego negocjować.

MARIAN SZULC: Inna rzecz, czy potem w Związek Radziecki i tak nie sterował w stronę pełnego uzależnienia. Tak jak np. stało się w Czechosłowacji.

ANDRZEJ WERBLAN: – Ja tego nie jestem taki pewny. Po pierwsze, Polska to coś większego. Po drugie, gdyby to się stało w czasie wojny, gdyby Związek Radziecki utrzymał jedną trzecią czy połowę polskiego terytorium i wtedy zawarł porozumienie, byłoby mu to dużo trudniej zmienić. Stalin był jednak pod pewnymi względami pragmatykiem.

PAWEŁ SĘKOWSKI: Mieliśmy jeszcze trochę pytań, ale nie możemy rozmówcy przemęczać. Panie profesorze, dziękujemy za rozmowę.

Z wielkim smutkiem żegnamy

Jana Brońka

zmarłego 23 lipca br. w wieku 88 lat, od 1975 r. aż do śmierci członka Rady „Kuźnicy”, czołowego przedstawiciela reformatorskiego skrzydła PZPR w Krakowie, w latach 80. sekretarza organizacyjnego oraz ds. propagandy w KK PZPR, w III RP sekretarza rady krakowskiej filii Fundacji Kultury Polskiej i członka zarządu FKP, człowieka lewicy, wielkiej wiedzy i prawości intelektualnej.

Kuźniczanie

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Igrzyska nie tylko olimpijskie

Na otwarciu igrzysk olimpijskich padły słowa: „Przez 16 dni świat pokaże swoją najładniejszą twarz”. Święte słowa. Moje dzieci oglądały uroczystość krótko i jednym okiem, a potem poszły do swoich komputerów, do gier i filmów. Tam mają lepsze efekty specjalne. Były liczne akcenty LGBT – wyobrażam sobie obrzydzenie prezesa i jego drużyny, a też odruchy wymiotne polskich kiboli. W tym, co uznano za parodię „Ostatniej wieczerzy” Leonarda da Vinci (donoszę, że geja), kpiny ze słynnej wieczerzy nie dostrzegłem, bo ich nie szukałem. Ale ten groteskowy i wieloznaczny obraz skłonił tuż intelektualne prawicy, takie jak Morawiecki, do głoszenia, że kończy się europejska kultura, że to degrengolada i degeneracja. Prezes i jego armia, nasi biskupi, rodzina Radia Maryja – tylko oni mogą obronić Europę przed upadkiem i zrodzić nową kulturę i sztukę. Przez osiem lat rządził i co urodził? Pokraczne monstrum. Teraz z pianą na ustach potępiają odsunięcie od relacjonowania olimpiady komentatora sportowego Przemysława Babiarza, który słuchając utworu Lenona „Imagine”, komentował: „Świat bez nieba, narodów i religii. To jest wizja pokoju, który ma wszystkich ogarnąć. To jest wizja komunizmu, niestety”. Ja, człowiek łagodny, dałbym mu tylko upomnienie i nie robił takiej afery, chociaż Babiarz ewidentnie jest człowiekiem PiS.

Prawica nie rozumie języka dawnej i współczesnej kultury europejskiej. Na otwarciu było wiele francuskich symboli historycznych, mało dostępnych dla ludzi z innej kultury, sam czasami się w tym gubiłem. W spektaklu olimpijskim, podobnie jak w naszej sztuce nowoczesnej, za którą nie przepadam, był rys groteski i karykatury, były soczyste, czasami krwawe aluzje. Taki mamy teraz etap naszej cywilizacji śródziemnomorskiej. Co będzie dalej, nie wiem. Świat nie umrze na kpinę, parodię, nawet na bluźnierstwo, a od zmian klimatycznych być może. Na wszelki wypadek prawica narodowa w globalne ocieplenie z naszej winy nie wierzy.

Debata, czy to była parodia „Ostatniej wieczerzy”, czy nie, a jeśli była, czy to koniec świata. Debata, czy Babiarz jest ofiarą nowej cenzury, a w końcu czy pies umarł, czy zdechł. Media społecznościowe i media zwykłe takie spory rozdymają do kosmicznych rozmiarów, co rodzi chwilami prawdziwą dyskusję, ale częściej po prostu pyskówkę. Piszę zaś o tym, gdyż czuję się skromnym

kronikarzem współczesności, a przecież wiem, że zapewne nie mówię tu nic nowego, wszystko zostało wykomentowane do dna. I zanim ten felieton się ukáže, już nowy temat będzie nam rzucony na pożarcie.

Mam żal do Kosiniaka-Kamysza i PSL, ale zadziwia mnie skala agresji wobec ludowców ze strony liberałów i lewicy. To już histeria. Traktuje się Kosiniaka-Kamysza jak zdrajcę, łajdaka, nie lepszego od tych z PiS. Dostaje się też Giertychowi. Już nie jest nasz, jest tym dawnym Giertychem, twórcą Ligi Polskich Rodzin. Jestem zdecydowanym zwolennikiem przerywania ciąży, małżeństw gejów i lesbijek i tego, by pary jedнопłciowe mogły wychowywać dzieci, ale rozumiem, chociaż przychodzi mi to z trudem, że ktoś może mieć tu inne poglądy. Kłótnie w ramach koalicji bardzo niepokoją. Koalicja i zgoda

Świat nie umrze na kpinę, parodię, nawet na bluźnierstwo, a od zmian klimatycznych być może.

w niej to wielki skarb narodowy, źródło nadziei na lepszą Polskę. Nasza histeria też jej zagraża. Wracając do partii chłopskiej, ona w biedzie, bo konserwatyzm został już zagospodarowany przez PiS, chłopci też wolą głosować na PiS, a nie na PSL, które ma niewyraźnie zarysowane brzegi. Próbuja więc ludowcy uwyratować się, choćby promując wychowanie patriotyczne w szkołach. Kosiniak woła, że PSL nie boi się „ani biskupów, ani lewaków”. No proszę, jaka odwaga z tymi biskupami.

W Muzeum Historii Polski na warszawskiej Cytadeli. Oddana do użytku niewielka część ekspozycji, główny gmach dopiero jest wykańczany, ale fasada już gotowa: imponująca bryła na wielkiej i płaskiej jak lód tafli dziedzińca. Wyobrażam sobie, jak zdziwiłby się mój dziadek Wilhelm, który jako oficer przez ostatnie lata życia pracował na Cytadeli i szkolił żołnierzy. Mieszkał na pobliskiej ulicy Krajewskiego, gdzie były domy wojskowych, miał bliźniak do pracy. Zginął w obronie Warszawy. Wystawa, którą oglądaliśmy, to różne rodzaje uzbrojenia, od hełmu z X w. do czołgu T-34. Ciekawe, że broń kiedyś była dziełem sztuki, zdobiono przecież nawet armaty, skończyło się to definitywnie w XX w. Wystawa więc ciekawa, ale w sumie przygnębiająca – tyle pomysłowości w tworzeniu narzędzi śmierci.

BLASKI I NĘDZE KOMPROMISU Z ROSJĄ

Memoriał szefa wywiadu i kontrwywiadu AK
ppłk. Mariana Drobika zapowiadał katastrofę powstania

Powstanie warszawskie, planowanie przez obóz londyński już od 1943 r., było konsekwencją sytuacji militarnej w Europie i polityki aliantów. Problemem numer 1 były relacje ze Związkiem Radzieckim. Brak stosunków dyplomatycznych znacznie ograniczał pole działania rządu gen. Sikorskiego i później Stanisława Mikołajczyka. Poniżej publikujemy fragment memoriału ppłk. Mariana Drobika, szefa wywiadu i kontrwywiadu AK w latach 1942-1943, „Bieżąca polityka polska a rzeczywistość” z 8 listopada 1943 r. Drobik przedstawił w nim trafną analizę sytuacji Polski u progu 1944 r., po Teheranie i konferencji

moskiewskiej. Jego wnioski co do przyszłości kraju po wkroczeniu Armii Czerwonej sprawdziły się niemal w stu procentach. Nie znamy adresatów dokumentu, ale z pewnością był on skierowany do najwyższego dowództwa AK. Niedługo po jego złożeniu ppłk Drobik został aresztowany w niewyjaśnionych okolicznościach przez Gestapo w początkach grudnia 1943 r.

Całość memoriału znalazła się w wydanej przez PRZEGLĄD publikacji „Zakłamana historia powstania. Tom IV. Raporty oficerów AK: To się skończy katastrofą”.

Paweł Dybicz

Blaski i nędze kompromisu z Rosją
W poprzednich rozważaniach starałem się uzasadnić konieczność dojścia do szybkiego porozumienia z Rosją nawet za cenę daleko idących ustępstw.

Jednym z najpopularniejszych argumentów przeciw temu porozumieniu jest twierdzenie, że i tak ono do niczego nie doprowadzi, gdyż Rosja zobowiązań nie dotrzymuje, a my przez ustępstwa dostarczymy tylko usprawiedliwienia dla jej imperialnej polityki wobec reszty świata. Stanowisko takie mogło być słuszne do lipca, kiedy można się było łudzić, że nasze „moralne prawa”, poparte wolą sprzymierzonych, potrafią stworzyć dostatecznie silną barierę dla doszczętnie wykrwawionych Rosjan.

Dziś, kiedy zalanie przez nich Polski wydaje mi się niemal pewne, a więc, kiedy będą nas mieli całkowicie w ręku, nie ryzykujemy już niczym, a zyskujemy szansę, że świeże zobowiązania, które niewątpliwie będą zagwarantowane przez sprzymierzonych, zostaną jednak dotzymane. Należy przecież mieć na uwadze, że straszliwie wyniszczona i wykrwawiona Rosja przez długie jeszcze lata będzie potrzebowała gospodarczej pomocy Anglosasów, co może się okazać wcale niepoślednim korektem jej politycznej moralności.

Samo więc zawarcie kompromisu, abstrahując na razie od jego treści, nie może nam w żadnym wypadku zaszkodzić, może natomiast okazać się dla naszej przyszłości zbawienne. (...)

Kompromis, jak zawsze, kiedy jest zawierany między narodem słabym a potężnym i zwycięskim, musi [stać] pod znakiem zaspokojenia żądań tego ostatniego. Strona słabsza może jedynie, wygrywając swoje straty moralne, uzyskać takie warunki, które by nie naruszały zbyt silnie, lub – jeśli można wcale – jej żywotnych interesów. Nadto, jak w naszym konkretnym wypadku, winna starać się uzyskać pokrycie własnych strat na korzyść zwycięzcy, drogą odpowiednio wielkich rekompensat na wspólnym pokonanym wrogu.

Czego od nas żąda w sposób kategoryczny Rosja?

Z licznych wypowiedzi i pociągnięć można z dużą dozą prawdopodobieństwa sądzić, że likwidacji „Piemontów” białoruskiego i ukraińskiego, i włączenia ich do odpowiednich republik sowieckich. Jeśli się zdobędziemy na pełny obiektywizm, z którym zapewne patrzą na te sprawy Anglosasi, musimy się zgodzić, że racja jest po stronie rosyjskiej. Masa ukraińska mieści się w sowieckiej republice ukraińskiej. My jesteśmy

zaborcami drobnej części ich ziemi i ludności. Zabór jest niesprawiedliwością, która winna być w tej wojnie o sprawiedliwość usunięta. Nasze Piemonty powinny powrócić do swoich macierzy. Oto logicznie skonstruowana teoria. Ale czy to tylko teoria? 40 tys. wymordowanych Polaków świadczy dowodnie, że Ukraińcy uważają nas za nienawistnych zaborców.

Tylko notoryczni doktrynerzy mogą twierdzić, że jest inaczej, że te masowe okrutne rzezie są wynikiem działalności nastanych agentów, że zaś sam naród ukraiński nie ma innego pragnienia, jak zostać w obrębie państwa polskiego z... kulturalną autonomią. Że byleby minęły chwilowe nieporozumienia, zaraz nastąpi sielanka. Że Ukraińcy „godzą się” na pertraktację, a nawet desygnują kogoś tam do Rady Narodowej!

Czy takie ustępstwo będzie dla nas żywotną stratą? Twierdzę, że nie. Istotnie niekorzystne natomiast byłoby zbyt rozległe ustępstwa terytorialne. Utrata Białostocczyzny, czy Zagłębia Borysławskiego byłaby z punktu widzenia naszych narodowych interesów stratą żywotną. Ale tu jest miejsce do wygrania mieszanego charakteru ziem wschodnich i uzyskanie korzystniejszych, niż etnograficzne granic, przy zastosowaniu modnej

dzisiaj wymiany ludności. Śmiem twierdzić, że każde lansowane z naszej strony żądanie znalazłoby pełne poparcie sprzymierzonych, a Rosja okazałaby się ustępliwa².

Logicznym następstwem ustępstw na rzecz Rosji musiałaby być rezygnacja Polski z Wileńszczyzny. W zmienionej bowiem konfiguracji granic upieranie się przy zatrzymaniu wileńskiej enklawy byłoby nonsensem. Według naświetleń niemieckich, na konferencji moskiewskiej miała zapadć decyzja, że Litwa, rozszerzona o Wileńszczyznę i skrawek Prus Wschodnich zadecyduje drogą plebiscytu, czy chce się połączyć z Rosją, czy z Polską. Trudno przesądzać, czy tak postanowiono rzeczywiście, niemniej wersja ta wydaje się logiczna, a więc [i] prawdopodobna.

Czy nie słuszniej by było, gdyby Polska dokonała aktu rezygnacji na rzecz Litwy dobrowolnie z tego, czego nie uda się jej przy obecnym układzie sił zatrzymać? Kto wie, czy nie udałoby się przeprowadzić tego, co przed 20 laty zamierzał zrobić marszałek, mianowicie kupić Litwę, płacąc Wileńszczyzną?

Dalsze rosyjskie żądania to zapewne uznanie przez nas aneksji Łotwy, Estonii i Besarabii, czemu się przeciwstawić nie potrafimy, a więc musimy przyjąć. Wreszcie – przyjęcie zobowiązania niemieszania się do „wewnętrznych” spraw ukraińsko-białoruskich, za co będzie można uzyskać wstrzymanie akcji Kominteru w Polsce.

Rachunek zysków i strat.

a) Straty:

– najistotniejsze to utrata kilkunastu tys. km kw. terytorium; wagę tej straty pomniejsza fakt, że są to ziemie ubogie, gospodarczo deficytowe;

– cofnięcie się granicy polskiej penetracji kulturalnej na zachód;

– utrata paru milionów ludności, co wobec olbrzymiego wykrwawienia naszego państwa nie będzie na odcinku odbudowy bez znaczenia;

– utrata Wileńszczyzny, mająca dla całego naszego narodu duże znaczenie uczuciowe;

– utrata możliwości prowadzenia gry politycznej przy pomocy Piemontów, co osobiście uważam za stratę



Ppłk. Marian Drobik, szef wywiadu i kontrwywiadu AK w latach 1942-1943.

pozorną, wobec pełnego bankructwa tej taktyki.

b) Zyski:

– usunięcie najistotniejszych ognisk zapalnych w stosunkach sąsiedzkich polsko-rosyjskich, co daje szansę na tak nam niezbędny do stawienia zdobyczy na zachodzie i wzmożenia narodowego potencjału długotrwały pokój i na ożywienie stosunków gospodarczych z Rosją;

– pozbycie się wiecznie Polsce wrogiego elementu ukraińskiego i przekształcenia naszego kraju w monolit narodowy;

– uzyskanie korzystniejszych granic, niż byłyby one wytyczone bez naszego w tym współudziału.

Wydaje się, że bilans wypadu korzystnie oraz przemawia za zawarciem kompromisu. Tym więcej, że kompromis ten nie tylko nie godzi w naszą podstawową ideę narodową, ale ją czyni realniejszą.

Jest faktem, że Ukraińcy nas nienawidzą. Jest faktem, że gdyby pozostali nadal po naszej stronie w niezmiennych granicach, mając zamknięty naturalny upływ na wschód, parliby coraz głębiej na zachód. Ich pretensje terytorialne, które już dziś obejmują Podlasie, Chełmszczyznę⁴, Zamojszczyznę i dalej aż po zachodnie pobrzeże Sanu, rosłyby z pokolenia na pokolenie. Nieustannie dążąc do stworzenia Wielkiej Ukrainy, co z ich punktu widzenia należy uznać za naturalne, wiktaliby nas ustawicznie w konflikty z Rosją wbrew interesom Polski. W wypadku, gdyby się im udało Wielką Ukrainę stworzyć, ich następnym celem byłoby oderwanie od Polski Podlasia, Lubelszczyzny, Sandomierskiego i tych wszystkich odwiecznie polskich ziem, które by w międzyczasie opanowali. Wielka Ukraina w tych warunkach byłaby Polsce wrogiem, niewspółmiernie agresywniejszym niż Rosja.

Usunięcie Ukraińców poza nasze granice rozładuje po jednym czy dwóch pokoleniach nagromadzoną w ich sercu nienawiść do Polski. Ze-

Nasze uporczywe trwanie w negacji doprowadziło do odosobnienia Polski i wyeliminowania jej z uczestnictwa w międzynarodowej polityce.

– prawdopodobne uzyskanie poparcia Rosji dla naszych pretensji terytorialnych na zachodzie, a może również jej pomocy w rozładowaniu naszych terytoriów z mniejszości niemieckiej;

– normalizacja stosunków z Litwą, a może nawet federację;

– usunięcie głównej przeszkody, jaką jest nasz zaogniony konflikt z Rosją w zawarciu federacji z Czechosłowacją³;

– uzyskanie gwarancji i wydatnej pomocy ze strony Anglosasów;

branie ich w granicach Rosji pozwoli się temu narodowi zewrzeć i wzmocnić. Jakże inny może być wówczas ich stosunek do życzliwej im Polski, z którą od dawna nie będą mieli żadnych terenów spornych. Tak więc, wbrew nieliczącym się z rzeczywistością doktrynerom, którzy mimo dziesiątków tysięcy pomordowanych przez Ukraińców Polaków wciąż chcą w nich widzieć naszych przyszłych sprzymierzeńców w granicach naszego państwa, śmiem twierdzić, że mogą się oni nimi stać tylko wówczas, ▶

gdy znajdują się oni poza jego granicami. Dopiero rozdział stworzy widoki na urealnienie idei wielkiego marszałka.

Wydaje mi się, że za takie osiągnięcie warto zapłacić skrawkiem naszego terytorium. Rzeczą naszej dyplomacji będzie, by to terytorium było jak najmniejsze. Mimo złych pozorów koniunktura po temu jest korzystna, gdyż Rosjanom więcej chodzi o zlikwidowanie źródeł irredenty, a więc ludzi, niż o terytorium, którego mają pod dostatkiem.

Zakończenie

Zestawioną powyżej próbę oceny naszego położenia politycznego starałem się opierać wyłącznie na faktach bądź rzeczowych informacjach, z wyeliminowaniem wszelkich teoretycznych doktryn czy koncepcji. Niektóre moje stwierdzenia mają nieco gorzkawy posmak. Gorycz starałem się łagodzić. Nie dało się jej jednak uniknąć, gdyż gorzka jest prawda, którą mam obowiązek rejestrować. Wyeliminować gorycz, to fałszować rzeczywistość.

Przedstawiając ocenę odmienną, niż ocena niektórych Panów, mających niewspółmiernie większe wyrobienie polityczne i szerszy horyzont myślowy niż ja, uważałem za konieczne przytoczenie szeregu faktów, które są prawdziwe, i swego toku

rozumowania, gdzie mogą być błędy, by ułatwić kontrolę moich wniosków. Stąd duże rozmiary referatu.

Chcąc podkreślić najważniejsze z tych wniosków, daję ich résumé:

1. Nasze uporczywe trwanie w negacji doprowadziło do całkowitego odosobnienia Polski i do wyeliminowania jej z uczestnictwa w czynnej międzynarodowej polityce. Stał się przedmiotem cudzych rozmów.

Emigracja nie jest zdolna ani do inicjatywy, ani do decyzji. Muszą one wyjść z kraju.

2. Sytuacja wojenno-polityczna na przestrzeni ostatnich czterech miesięcy rozwinęła się w ten sposób, że dalsze pozostawanie w kunktatorskiej bierności może doprowadzić Polskę do całkowitego upadku.

3. Nieulegające wątpliwości zwycięstwo też sowieckich w sporze granicznym z nami i zbliżająca się szybkimi krokami sowiecka okupacja militarna domagają się od polskiego kierownictwa politycznego nowej, męskiej i szybkiej decyzji. Każdy dzień zwłoki to krok do zguby.

4. Emigracja nie jest zdolna ani do inicjatywy, ani do decyzji. Muszą one wyjść z kraju. Historyczna odpowiedzialność za ich powzięcie ciąży na

Pełnomocniku Rządu, Komendzie Sił Zbrojnych i Krajowej Reprezentacji Politycznej.

5. W aktualnym położeniu wojsko-politycznym istnieją tylko dwie możliwe decyzje:

- a) walka z Rosją na granicy 1939 r.;
- b) zawarcie szczerzego kompromisu z Rosją.

W moim przekonaniu jedynie słusznym rozwiązaniem jest rozwią-

zanie „b”. Rozwiązanie „a” grozi narodowi polskiemu śmiercią w pełnym odosobnieniu i bez sensu, ale z [tzw.] „honorem”. Trwanie w dotychczasowej bierności względnie szukanie potowicznich rozwiązań [jest] śmiercią bez sensu i „honoru”.

¹ Rada Narodowa była quasi-parlamentem na obczyźnie, a nawet bardziej organem doradczym rządu, z której opinii nie musiał się on liczyć. Istniały dwie Rady – I i II. Uwagi Drobika odnoszą się do II RN powołanej w 1942 r. Do żadnej z nich nie powołano przedstawicieli Ukrainy i Białorusi. W I RN gen. Sikorski zapowiadał powołanie przedstawicieli tych narodowości, w II RN nawet pozostawiono 32. „mandat” dla przedstawicieli Ukraińców, lecz nie zostało to zrealizowane. W RN natomiast znaleźli się przedstawiciele społeczności żydowskiej (w I jeden, a w II nawet dwóch), a... także Ślązaków.

² Ten fragment planu Drobik opierał na wiedzy szefa wywiadu AK. Po 1944 r. nikomu nie zależało na eksponowaniu faktu, że jeszcze w 1943 r. na terenach Ukrainy należących do 1939 r. do Polski, działały struktury PPR i GL, które istniały tam nie bez aprobaty Stalina.

³ 27 maja 1943 r. „Biuletyn Informacyjny” podał, że premier Benes zawiązał rozmowy z Polską o federacji do czasu uregulowania przez RP stosunków z ZSRR.

⁴ Władze ZSRR wykorzystywały te pretensje Ukraińców, gdy były naciskane przez działaczy ZPP o pozostawienie Lwowa i okolic przy Polsce. Wówczas na sesji Rady Najwyższej ZSRR w lutym 1944 r. przewodniczący RN USRR zgłosił w obecności Stalina żądanie włączenia tych terytoriów do Ukrainy (dla Ukraińców jednym z argumentów był fakt, że urodziła się tam żona Chruszczowa, ówczesnego I sekretarza KPZR w tej republice. I choć Stalin nigdy nie próbował zrealizować żądania, zdarzenie to było jednym z powodów, dla którego ani PKWN, ani Rząd Tymczasowy i TRJN nigdy nie postawiły się Stalinowi).

ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA

RAPORTY OFICERÓW AK:
TO SIĘ SKOŃCZY KŁAMSTWEM



44 zł 34 zł

DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU

Meldunki, rozkazy i relacje dokumentujące, że powstanie od początku było skazane na klęskę. Wiedzieli o tym dowódcy AK. Raporty i memoriały oficerów brzmią jak akty oskarżenia.

Pięć tomów Zakłamanej Historii Powstania dostępnych w formie e-booka

Zamów książkę na sklep.tygodnikprzeгляд.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Sąd nie jest twierdzą (cd.)

Sprawozdawczyni sądowa Helena Kowalik opisała, jak sądy zamykają się przed mediami (PRZEGLĄD nr 26/2024). Oto kolejny głos w tej sprawie

Marcin Jabłoński

Walka o praworządność to także troska o dostępność sądów i jawność orzeczeń. Można jednak odnieść wrażenie, że to oczywiste stwierdzenie od kilku lat zaciera się w świadomości przedstawicieli części sądów, także wyższych instancji.

Przemierzając sądowe korytarze i wchodząc na sale rozpraw w ostatnich latach, mam wrażenie, że wzbudzam coraz większą sensację. Zazwyczaj na miejscach dla publiczności jestem sam, co czasem wywołuje zabawne pytania i uwagi przedstawicieli składu orzekającego: „Ktorego

to, aby na koniec dnia powiedzieć sobie, że dziś nic ciekawego się nie zdarzyło, nie zawsze spotyka się z wyrozumiałością kierownictwa redakcji. W końcu wokół „tak wiele się dzieje”.

Jeśli chodzi o sądownictwo, jest o czym pisać – wpływają kolejne ustawy „naprawcze” i projekty reform, trwają debaty na temat prawidłowości umocowania poszczególnych sędziów. Materiałów w mediach na tematy sądownictwa jest naprawdę dużo. Tylko relacji o procesach i zapadłych wyrokach coraz mniej.

Nie będę powtarzał uwag wypowiedzianych na ten temat w poprzednich tekstach w ramach dyskusji na łamach „Przeglądu”, zainicjowanej

Oczywiście nadal są wyjątki. Znaczenie współpracy z dziennikarzami dostrzega Sąd Najwyższy, a osoby życzliwie nastawione do przedstawicieli mediów są niemal w każdym sądzie. Inna sprawa – i to już niepokojące – zazwyczaj ta życzliwość jest okazywana w ramach kontaktów nieformalnych. Oficjalnie bowiem do sądu można wysłać mejla i czekać na odpowiedź. Dlatego prawdą jest też, o czym na tych łamach również już wspomniano, że role bajpasów w zakresie informacji sądowej dla dziennikarzy spełniają ostatnio rzecznicy prokuratur i adwokaci reprezentujący swoich klientów. Zdarza się jednak, że coraz częściej sygnalizują oni przy okazji, iż „niezręcznie” jest im zstępować sąd.

Może więc apele pozwolą zmienić tę praktykę i sprawią, że na kwestię kontaktów z mediami sądy spojrzą przychylniejszym okiem. Wtedy z czasem w sądach pojawi się więcej dziennikarzy,

którzy nie będą już musieli prowadzić „dziennikarskich śledztw”, aby ustalić podstawowe fakty i formalne informacje.

Trwająca cały czas dyskusja o praworządności jest bez wątpienia ważna, ale ma jeden skutek uboczny. Wywołuje wrażenie, że wymiar sprawiedliwości i sądownictwo zajmują się wyłącznie same sobą. To oczywiście nieprawda. Bez dziennikarzy sądowych i przychylnych im sądów trudno jednak tę prawdę ukazać.

Autor pracuje w Polskiej Agencji Prasowej

Problemy w kontaktach mediów z sądami narastały od kilku lat, a likwidacja w zeszłym roku oddzielnej sekcji prasowej w Sądzie Okręgowym w Warszawie była ukoronowaniem tego zjawiska.

adwokata jest pan aplikantem?”, „Oskarżyciel posiłkowy, proszę usiąść bliżej, koło prokuratora”. Kilkanaście lat temu prawie nie zdarzało się, abym był sam na procesach, które – skoro przychodzi na nie dziennikarz – przynajmniej w teorii powinny budzić społeczne zainteresowanie. Dziennikarzy sądowych było wówczas wielu.

Oczywiście dawne czasy nie wrócą, a winę ponoszą też po części współczesne media. Zasada „co dzień nowy news” rzadko sprawdza się w realiach pracy korespondenta sądowego. Przesiadywanie na wielogodzinnych rozprawach, czasem po

artykułem red. Heleny Kowalik. Uwagi te mogą tylko w całej rozciągłości potwierdzić. Problemy w kontaktach mediów z sądami narastały od kilku lat, a likwidacja w zeszłym roku oddzielnej sekcji prasowej w Sądzie Okręgowym w Warszawie, czyli jednym z najważniejszych sądów w kraju, była ukoronowaniem tego zjawiska. To zresztą z tego sądu zacząłem w początkach roku otrzymywać w odpowiedziach – na często formalne zapytania – „wezwania do udokumentowania faktu”, że jestem dziennikarzem. Kontakt telefoniczny w praktyce stał się zaś niemożliwy.



DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTube i LinkedIn



Dobrzy nieznajomi w Toskanii

Mogę się założyć, że każdy kraj ma swoją Sally Rooney i swojego Macieja Marcisza, bo wszędzie znajdziemy milenialsów piszących o relacjach międzyludzkich

Rozmawia Jan Tracz

Kiedy ostatni raz byłeś w Toskanii?

– Właśnie z niej wróciłem.

Już w „Taśmach rodzinnych”, twojej debiutanckiej powieści, rodzina Małysów odwiedza Włochy i jest to Toskania. Nieprzypadkowo?

– Toskania to dla mnie przede wszystkim jeden z symboli takich

wymarzonych, europejskich, statusowych wakacji. Z jednej strony masz słońce, pizzę i piękne widoki, czyli „głupie” wczasy dla ciała. Z drugiej zaś w Toskanii dostajesz cały ciężar europejskiej cywilizacji i jej dziedzictwa, tamtejsze kolekcje sztuki czy wielowiekową architekturę. Toskania sprawdza się jako symbol i wciąż silnie rezonuje jako rodzaj marzenia i wakacyjnej projekcji.

Często jeździliśmy tam w dzieciństwie z rodzicami. Te wszystkie wrażenia – cyprysowe aleje, zapach rozgrzanego kamienia, świerszcze wieczorem, nieustanne poczucie bycia w jakimś filmie lub wierszu – powróciły do mnie w postaci tej książki.

I dlatego postanowiłeś umiejscowić tam również akcję „Znaków zodiaku”?

MACIEJ MARCISZ

– pisarz, zawodowo związany również z branżą wydawniczą.

Autor głośnego debiutu „Taśmy rodzinne” (2019) i powieści „Książka o przyjaźni” (2021). Jego opowiadania ukazywały się na łamach „Vogue Polska”, „Gazety Wyborczej” czy „Pisma”. Najnowsza książka „Znaki zodiaku”, tak jak poprzednie, ukazała się w wydawnictwie W.A.B.



– Od początku pracy przy tej książce miałem trzy rzeczy: tytuł, który bardzo do mnie przemawiał, Toskanię i basen. Tyle. Marzyło mi się napisanie wakacyjnej powieści w stylu „Basenu” w reżyserii François Ozona (2003) lub „Nienasyconych” Luki Guadagnina (2016), te dwa filmy były dla mnie głównymi referencjami. Jedną z pierwszych migawek, które inspirowały mnie przy pracy nad powieścią, był obraz robienia sobie zmywalnego tatuażu na wakacjach. Ten tatuaż to dla mnie coś szalonego, ale w sumie niezupełnie. Kojarzy się z wakacyjnym życiem na próbę, przymierzaniem tożsamości i udawaniem, że możemy więcej. Przez tydzień lub dwa nasze życie nie działa do końca na poważnie. Tego typu marzenia otworzyły przede mną temat eksperymentowania z własnym ja, nawet jeśli nowe wcielenie umrze wraz z końcem wyjazdu.

Tym sposobem do powieści wprowadziłeś wątek horoskopu i czytania z kart.

– Profesjonalni astrologowie twierdzą, że horoskopy publikowane w gazetach to największa szkoda wyrządzona ich dziedzinie. Pomysł, że osoby urodzone w tym samym miesiącu mają wspólne cechy i przeznaczenie, jest uproszczeniem. No bo jak to ma działać? Mamy dostępnych tylko 12 losów i typów osobowości? Astrologia wierzy, że każdy z nas posiada unikalny profil, swój kosmogram – obraz nieba w momencie i miejscu naszych narodzin. Aby go ustalić, należy znać nie tylko dzień, ale również godzinę przyjścia na świat, najlepiej co do minuty. Dopiero wtedy możemy zobaczyć, jak dokładnie wyglądał układ gwiazd. Czy wierzę w jego działanie? Czasami tak, czasami nie. Jestem świadomy efektu horoskopowego. Dostrzegam wiele podobieństw między astrologią a literaturą. Obie dziedziny funkcjonują na granicy prawdy i fikcji, bazują na magii języka oraz jego wpływie na nasze umysły i rzeczywistość. Pod wpływem astrologii bohaterowie „Znaków...” odbywają przede wszystkim podróż tożsamościową. Niby od lat są najlepszymi przyjaciółmi, ale realnie niewiele o sobie wiedzą. Choć nie potrafią

tęgo przyznać, już dawno temu oddalili się od siebie. Są pogubieni, każdy w swoim kryzysie.

Niektórzy twierdzą, że Sally Rooney napisała już wszystko o kryzysie milenialsów, ale przy twojej trzeciej powieści nadal jesteś do niej porównywany.

– Sally Rooney nie wynalazła pisania o relacjach międzyludzkich. To nie jest jedyna pisarka na świecie, która ma trzydzieści parę lat i świadomość problemów klasowych. Powiedzmy sobie coś: żyjemy w globalnym świecie całkowicie zdominowanym przez kulturę anglojęzyczną, począwszy od świata

wpasowuje się w typową tematykę. Recenzenci nie wiedzą, co z tym zrobić, więc pisze się: milenialsi w kryzysie. Nic nowego, z nami od zawsze był jakiś problem.

To znaczy?

– Wygląda to tak, że żyjemy w świecie kultury rządzonym przez poprzednie generacje, które nieustannie opierają się na tych samych gustach, opiniach i wrażliwościach. Jesteśmy wtłaczani w stare, niezaktualizowane narracje. Odnoszę wrażenie, że jedyne, co można zrobić, jeśli jest się bohaterem polskiej prozy, to chodzić na cmentarz, łuskać fasolę, odwiedzać umierającą

Ten cały „kryzys milenialsów” w literaturze to po prostu opowieść starszego pokolenia na nasz temat.

filmu, przez sztuki wizualne, aż po literaturę. Nieustannie porównywanie polskich twórców, w tym mnie, do twórców kultury anglojęzycznej, to tylko utrwalanie tej globalnej dominacji. Czy jestem polską Sally Rooney, czy Sally Rooney jest irlandzkim Maciejem Marciszem? Gdyby angielski był moim pierwszym językiem, to walka na porównania byłaby równiejsza. Ale nie jest. Mogę się założyć, że każdy kraj ma swoją Sally Rooney i swojego Macieja Marcisza, bo wszędzie znajdziemy milenialsów piszących o relacjach międzyludzkich.

A skoro już o nich mówimy, nie do końca już temat naszego kryzysu. Każdy kiedyś miał 35 lat i czuł się zagubiony. Nie wierzę, że to, co obecnie przeżywamy, to jakiś szczególnie pokoleniowy kryzys, raczej uniwersalny. Chodzi mi o rozdźwięk między aspiracjami a możliwościami. Media społecznościowe wykrzywiły percepcję tego, co jest w życiu możliwe.

Czy kryzys milenialsów w ogóle istnieje?

– Przypuszczam, że ten cały „kryzys milenialsów” w literaturze to po prostu opowieść starszego pokolenia na nasz temat. Część krytyki w Polsce – nie tylko wobec moich książek – zdaje się zupełnie bezzadna, szczególnie jeśli ta książka nie

matkę w wilgotnej chacie, powracać do rodziny na wsi lub ewentualnie spacerować po Warszawie i gładzić ślady po nazistowskich kulach na murze. Kompletnie nie czuję, żeby to był mój świat, i wierzę, że nie jest on też opisem rzeczywistości większości z nas. Pragnąłbym jakiejś innej wersji realizmu sugerowanej przez literaturę. Obracanie tych samych motywów stało się już swoją własną karykaturą. Czytając większość cenionej przez krytykę polskiej prozy, można odnieść wrażenie, że wszyscy Polacy żyją na wsi. No bo wieś to jest prawdziwe życie, takie na miarę powieści, prawda? Pole, krowa, owca, ksiądz, jakiś pogrzyb, Andrzej Stasiuk pijący piwo nad rzeką. Naprawdę, dajmy już temu spokój, a przynajmniej spróbujmy zrobić trochę miejsca na inne opowieści.

Jak więc można się przebić na dzisiejszym rynku literackim?

– W naszej kulturze tożsamość twórcy staje się czasem ważniejsza niż jego dzieło. Jest sposobem na przyciągnięcie uwagi, więc historia pisarki czy pisarza często bywa uważana za ciekawszą medialnie niż to, co faktycznie można znaleźć w książce. Obecnie w Polsce pochodzenie chłopskie jest dla czytelników interesujące i poszukiwane przez rynek. W przyszłości, kiedy to już się znudzi, na topie będzie pewnie zupełnie ▶

▶ inna opowieść. Historia Maksa, głównego bohatera „Znaków zodiaku”, to mój komentarz na temat tego zjawiska. Żartuję sobie z niego, choć nie chcę, by ktoś myślał, że z góry krytykuję twórców, którzy w tym uczestniczą; oni tylko grają w narzuconą przez system grę. Kapitalizm zamienia kulturę w towar, a tożsamość jest obecnie jednym z jego najcenniejszych towarów. Rynek nieustannie pożąda nowych tożsamości i biograficznych opowieści, których „jeszcze nie było”. Odpowiedziałbym zatem tak na pytanie: najlepiej mieć jakąś atrakcyjną medialnie tożsamość. A żeby się przebić, trzeba jeszcze wykonać pracę przy promocji swojej twórczości 20 razy większą niż kiedyś. W przeciwieństwie do krajobrazu medialnego z lat 90. Zeszłego wieku czy początku nowego, obecnie mamy tysiące podcastów, influencerów, portali i magazynów. W skrócie: ośrodków kształtowania

do roweru, które w ramach nauki można ściągnąć i w pewnym momencie zacząć pedałowac na dwóch. **Wciąż jednak musimy zaznaczyć, że Maks ze „Znaków zodiaku” jest pisarzem.**

– Tak, ale ze względu na jego przeszłość i przyjętą autokreację, sam nazywam Maksa swoim negatywnym archetypem. On decyduje się na bardzo radykalne kroki. Takie, których sam raczej bym nie podjął. A może właśnie stałbym się Maksem, gdyby moje życie inaczej się potoczyło?

Po raz kolejny stosujesz symultaniczną narrację – śledzisz przeplatające się losy dwójki bohaterów, Idy i Maksa. W poprzednich powieściach historie też obserwaliśmy z co najmniej dwóch perspektyw.

– Mam w sobie mocno zinternalizowane poczucie relatywizmu. Historia opowiedziana z jednej tylko

– Warsztatowo na pewno rozwinęło mnie pisanie i publikowanie opowiadań, a w ciągu ostatnich dwóch lat trochę ich było. „Znaki zodiaku” kończyłem z dużym spokojem ducha i poczuciem, że udało mi się osiągnąć to, co zamierzałem. Podobno przy trzeciej książce ludzie w końcu zaczynają wierzyć, że jesteś pisarzem. I ja też w to uwierzyłem (śmiech).

Myślę jeszcze o przypadku Maksa i jego niezgodzie na bycie szarakiem, który nie ma szansy przebić się w dzisiejszym systemie. Wokół jego działań obudowujesz główną intrygę książki. Przed oczami od razu staje mi Oliver (Barry Keoghan) z filmu „Saltburn” Emerald Fennell. Oglądałeś?

– Tak się złożyło, że „Saltburn” zobaczyłem kilka dni po tym, jak skończyłem książkę. Na początku trochę się podłamałem, pomyślałem: no tak, znowu powiedzą, że jestem polską odpowiedzią na coś. Najpierw Rooney, a teraz to. Jak już się uspokoiłem, to rozumiałem, że przecież i film, i moja książka, mają wspólną inspirację: „Utalentowanego pana Ripleya” Patricii Highsmith. Pewne pomysły wiszą w powietrzu: jest jakiś duch czasu, zeitgeist.

Co do niezgody na przeciętność, dzisiejsza wszechobecność mediów społecznościowych na pewno nie pomaga. Nigdy nie byliśmy tak bardzo tożsamościowo rozchwiani jak w 2024 roku; doświadczani tak dużą liczbą cudzych, podkręconych i ulepszonych życiorysów.

Codziennie w social mediach ktoś pokazuje nam, że ma w życiu lepiej. Albo że ma gorzej. Że ma inaczej. To po prostu ryje banię.

Czy po napisaniu „Znaków zodiaku” czujesz się nieco mądrzejszy? A może pojawiły się jakieś pytania?

– Przede wszystkim gorzej śpię od czasu premiery. Budzę się o piątej, szóstej najpóźniej, niezależnie od tego, o której pójde spać. Może to taki kwaśny prezent od losu, bo chętnie pospałbym dłużej, ale wykorzystuję tę dodatkową poranną godzinę na pisanie. Co do odpowiedzi, to wiesz, pewnie na początku trzeba jeszcze znaleźć te właściwe pytania.

Jan Tracz

Żyjemy w świecie kultury rządzonym przez poprzednie generacje, które wciąż opierają się na tych samych gustach, opiniach i wrażliwościach.

gustów. Jeszcze nawet 10-15 lat temu wystarczyło pojawić się na kanapie w telewizji śniadaniowej, udzielić wywiadu do „Wysokich Obcasów”, wystąpić w książkowej audycji Trójki i miało się gwarancję bestsellera. Dziś tak to już nie działa.

Czyli nie zgadzasz się z esejem Rolanda Barthes’a „Śmierć autora”, w którym francuski krytyk nawołuje do nieodczytywania tekstu literackiego przez pryzmat intencji autora? Ile zatem w tych książkowych obserwacjach jest ciebie?

– Trochę gram z autobiografizmem, każdy główny męski bohater mojej powieści ma bowiem imię na literę M. Każdy z nich ma też coś ze mnie, ale liczę, że z książki na książkę jest tego coraz mniej. Na początku twórca często potrzebuje podeprzeć się swoją biografią. Trudno jednocześnie panować nad językiem, fabułą czy źródłem opowieści. Im częściej się to robi, tym łatwiej idzie bez tej pomocy. Autobiografizm debutantów widzę jako boczne kółka

perspektywy wydaje mi się fałszywa. Kiedy pokazuję co najmniej dwie strony, liczę, że czytelniczki i czytelnicy zauważą istnienie jeszcze tej trzeciej, czwartej czy nawet piątej.

W biograficznym filmie „Tunel z gołębiami” John le Carré stwierdził, że „prawdziwe historie opowiadane są z pamięci (...) natomiast obiektywna prawda, jeśli gdziekolwiek istnieje, ukryta jest nie w faktach, ale właśnie w niuansach”. Dwie perspektywy ten niuans wprowadzają?

– Tak: opowiedzenie historii z kilku punktów widzenia daje do zrozumienia, że wszystko, co przeżywamy, jest uwarunkowane społecznym, klasowo, generacyjnie czy płciowo.

Chyba po raz pierwszy w twojej twórczości liczy się tu praktycznie każde zdanie. Nie pozwalasz sobie na zbędne dygresje. Skupiasz się raczej na uchwyceniu kontrastu: wakacyjnej sielanki i dramatów swoich postaci.

FESTIWAL

30. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Emmet Cohen Trio

Fenomen pianistyczny. Branżę – ale nie tylko – zachwyca erudycja muzyczna i indywidualność oraz „kalejdoskopowe poczucie muzycznej narracji” Emmeta Cohena. Jego uznanym przedsięwzięciem jako pianisty i producenta jest cykl nagrań honorujących legendarnych muzyków jazzowych, „Masters Legacy Series”, ale światowa rozpoznawalność Cohena eksplodowała dzięki „Live From Emmet’s Place”, serii nagrań na żywo z jego nowojorskiego mieszkania, z takimi gośćmi jak Christian McBride, Nicholas Payton czy Joe Lovano. Należy ona do najczęściej oglądanych programów jazzowych w internecie i sieciach społecznościowych.

(ap)



Więcej na: www.jazznastarowce.pl,
www.facebook.com/festiwaljazznastarowce.

**Warszawa, Rynek Starego Miasta,
10 sierpnia, godz. 19**

NA EKRANACH

Rezurekcja płaszcza i szpady

Jeśli tak jak niżej podpisanemu wydawało się państwu, że kino płaszcza i szpady będziemy już wspominać jedynie na filmowych zaduszkach, to mam dla państwa niespodziankę. Otóż zupełnie zaskakująco rezurekcja gatunku nastąpiła nad Sekwaną. Francuzi nie szczędzili kasy – szacuje się, że w produkcję nowej ekranizacji powieści Aleksandra Dumasa zainwestowano aż 50 mln dol. To raczej stawki hollywoodzkie, a nie europejskie. Cieszy jednak, że Europejczycy tak



dobrze poradzi sobie z wykorzystaniem pieniędzy, bo stroje i scenografia z epoki robią wielkie wrażenie. Cieszy też, że w tej osadzonej w XIX w. historii zdradzonego chłopaka, który w wyniku intrygi trafia do lochu, a po ucieczce opracowuje bezwzględny plan zemsty, twórcy rzadko korzystają z efektów specjalnych. Fechtunkowe pojedynki oparte są na choreografii, a sceny rozgrywane się na morzu to popisy kaskaderskie. Całość ma dobre tempo, a akcja oferuje na tyle ciekawe zwroty, że film ogląda się z satysfakcją i zaangażowaniem, mimo trzygodzinnego metrażu. Cieszy też, że Dumasa nie ugrzeczniono i wybrzmiewa gniew tytułowego bohatera, świetnie zagranego przez Pierre’a Nineya, który grzeszy nie tylko urodą, ale i talentem.

Artur Zaborski

„Hrabia Monte Christo”, reż. Alexandre de La Patellière,
Matthieu Delaporte, prod. Francja 2024, w kinach od 9 sierpnia

MIĘDZY OKŁADKAMI

Nicole Krauss Być człowiekiem

tłum. Zofia Szachnowska-Olesiejuk
Czarne, Wołowiec 2024

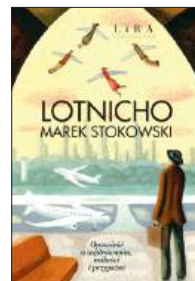


Kolejna pozycja z serii opowiadań amerykańskich od wydawnictwa Czarne. Po rewelacyjnych tomach uznanych już autorów, takich jak John Cheever, Lucia Berlin i Brece D’J Pancake, dostaliśmy do rąk zbiór stosunkowo młodej Nicole Krauss. Autorka wprowadza nas w świat rozwiedzionych kobiet, samotnych mężczyzn, oddanych przyjaciół, wielopokoleniowych rodzin, banitów z wyboru i z przeznaczenia. Krótkie formy Krauss są swoistymi mikroświatami, pełnymi emocji, tęsknot, ale i absurdów. To planety z galaktyki ludzkich doświadczeń. Pisarka lubi szczegóły i oferuje czytelnikom bogato utkane światy, problem pojawia się, jednak gdy autorka próbuje psychologizować i tłumaczyć swoich bohaterów. Dla dobra tej prozy przydałoby się więcej oschłości serca i dystansu. Być człowiekiem to w końcu też umieć patrzeć z pewnej odległości.

Rafał Pikula

Marek Stokowski Lotnicho

Wydawnictwo Lira, Warszawa 2024



Czworo licealistów z klasy maturalnej na warszawskim Okęciu, jak mityczny Odyseusz trafia wbrew swojej woli w północne regiony kraju. Dwaj chłopcy i dwie dziewczyny odbywają kilkudniową podróż pełną zaskoczeń, niebezpieczeństw, radości, zachwytów, ale i opresji. 500-stronicową powieść czyta się znakomicie, a przy okazji może to być skrócona wizytówka peryferyjnej, prowincjonalnej Polski z września 1975 r. Tyle że rysowana dosyć ciężką ręką, bo mimo trudów tej wyprawy młodzi uczestnicy co rusz dziękują opatrności, że uciekają im kolejne lekcje matematyki, fizyki, biologii, chemii. Jest się z czego cieszyć?

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogotkiewicz

Między erotyką a polityką

Prof. Janusz Stanny – mistrz ilustracji



Katarzyna Stanny

Wspomnienia plenerów są niezwykle bliskie jej pomysłodawczyni i organizatorce. Grażyna Szpyra, dyrektor zamojskiego BWA w latach 1978–2000, opowiada:

„Po pierwszym plenerze przez kilka lat Stanny nie przyjeżdżał – »bo Kasia ma szkołę«... Na plenery wrócił po vernisażu wystawy »Motywy erotyczne w ilustracji« w BWA, kiedy dał się namówić na wyjazd do Krasnobrodu, gdzie właśnie trwał kolejny plener. Chyba mu się podobało, bo kiedy w następnym roku, jak zwykle, zadzwoniłam z zaproszeniem

na plener, odpowiedział: »Teraz już przyjadę« i przyjeżdżał. Pozyskał do udziału w plenerach znanych artystów, m.in. twórców reprezentujących inne dziedziny sztuki – Mieczysława Wasilewskiego, Grzegorza Marszałka, Rafała Strenta, a do wystaw – Waldemara Świerzego, co podnosiło ich walory artystyczne. W 2000 r., w trudnym dla mnie okresie reorganizacji, Janusz Stanny nie pozostał obojętny na zagrożenia, jakie niesła koncepcja połączenia BWA z inną placówką.

W piśmie do władz miasta podkreślał znaczące miejsce zamojskiego BWA na mapie kulturalnej kraju, a w szczególności wartość

gromadzonych przez wiele lat zbiorów ilustracji. Jako profesor ASP, kierujący Pracownią Ilustracji twierdził, że nie do przecenienia jest pomoc, jaką w dotychczasowym kształcie organizacyjnym BWA niosło młodym artystom sztuki ilustracji z całej Polski, promując wystawy najlepszych. Apelował o wysłuchanie przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji organizacyjnej artystów, którzy od wielu lat współpracują z Galerią i są współtwórcami jej sukcesów. Kiedy dzieła łączenia jednak dokonano, a mnie pozbawiono pracy, minimalizując, a nawet pomijając mój dorobek, wspierał mnie nie tylko jako artysta, ale i jako Człowiek, pisząc

list otwarty do dyrektora BWA. Jeżeli zrobiłam coś pożytecznego dla polskiej ilustracji, jej twórców i odbiorców, to nie udało mi się to bez udziału Janusza Stannego. Dotyczy to zarówno mojej pracy w BWA w Zamościu, którym kierowałam przez ponad 20 lat, i trudnego dla mnie okresu łączenia z Galerią Sztuki Współczesnej, jak również wszystkiego, co działo się po roku 2006, w którym reaktywowaliśmy w Krasnobrodzie plenery ilustratorów. [...] Stanny był współtwórcą wizerunku zamojskiego BWA jako placówki specjalizującej się w upowszechnianiu polskiej ilustracji i jej twórców. Uczestniczył w opracowaniu koncepcji i ustalaniu kierunków rozwoju, gromadzenia zbiorów itp. Swoim autorytetem pozyskiwał do współpracy nie tylko młodych, utalentowanych ilustratorów, ale i twórców ze znaczącymi już osiągnięciami. To wszystko przekładało się na poziom powstających ilustracji, a co za tym idzie kolekcji i wystaw oraz na niewymierne korzyści, wynikające z integracji, konfrontacji i wymiany doświadczeń na plenerach”.

Jej słowa znajdują potwierdzenie w tekście Janusza Stannego zamieszczonym w katalogu wydanym z okazji pleneru „Ogarnąć nieskończoność. Biblia w ilustracjach”:

Prof. Stanny przez lata odbierał wszelkie możliwe nagrody i wyróżnienia w organizowanych przez minione 50 lat konkursach na najpiękniejsze książki roku.

„Od wielu lat obserwuję poplenerowe wystawy organizowane w Zamościu i na ich przykładzie mogę stwierdzić, że zarysowała się czytelna prawidłowość. Otóż im literatura ambitniejsza, tym ambitniejsze powstają dzieła, tym dociekliwsze stają się poszukiwania nowych, współczesnych form wyrazu i rozwiązań formalnych, mających źródło w dorobku sztuki XX w.”.

Vis-à-vis zamojskiego BWA przebiega ulica Grodzka, ochrzczona zamojską Aleją Sław. 26 sierpnia 2011 r. odsłonięta została tablica pamiątkowa dedykowana Januszowi Stannemu. Z tej okazji ówczesny



Oczywiście mnie też martwi ten relatywizm moralny, to ciągle zacieranie granic między dobrem a złem, ta deprecjacja grzechu.

prezes ZAiKS-u, prof. Janusz Fogler, tak powiedział w wywiadzie:

„Zauważyłem, że przez całe niemalże życie »mijamy« się z Profesorem. Najwcześniej otarliśmy się o siebie w Domu Pracy Twórczej Stowarzyszenia Autorów ZAiKS w Zakopanem. Najpierw w Orliku, a później w Halamie odpoczywaliśmy, a raczej odpoczywały

znalazłem sporo starych umów, projektów, a nawet jakiś oryginał pracy Mistrza, którego już nie oddam. Równolegle spotykaliśmy się w Polskim Towarzystwie Wydawców Książek. Profesor przez lata odbierał wszelkie możliwe nagrody i wyróżnienia w organizowanych przez minione 50 lat konkursach na najpiękniejsze książki roku. Ja w PTWK od 1993 r. starałem się, by nagrodzone w Polsce dzieła – w tym oczywiście dzieła Profesora Stannego – poznawał świat”.

Dla wspomnianych Wydawnictw Artystycznych i Filmowych Stanny opracował w latach 80. wydawniczą serię literackich miniatur erotycznych. Czarno-białe ilustracje, utrzymane w prostych i jednocześnie dekoracyjnych formach, subtelnie przenoszą czytelnika w świat męskich tajdactw, staropolskich utarczek miłości i do sadeczkę wiśni „o zwroku w miłość”. Ich autor tak mówił po latach:

„Czy dzisiaj w ogóle istnieje takie pojęcie jak erotyka? Chyba nie istnieje już to pojęcie. Dzisiaj przez dostępność fotograficzną do tego, co się kiedyś nazywało erotyką, jest ona całkowicie pozbawiona tej otoczki poetyckiej, tej otoczki niedopowiedzenia. Skąd się u mnie ▶

tam przed laty nasze rodziny. Janusz Stanny został członkiem ZAiKS-u w 1968 r.; ja zaś kilka lat później. Opuścił nas – co prawda – na przełomie wieków, pozostawiając na szczęście wśród zaiksowej Rodziny żonę i córkę. Potem widywaliśmy się w Wydawnictwach Artystycznych i Filmowych. Choć biografowie na pierwszym miejscu wymieniają współpracę Profesora z takimi wydawnictwami, jak Czytelnik, Nasza Księgarnia, Ossolineum czy PIW, to muszę donieść, że wiele dobrego Profesor zaprojektował i narysował dla WAI-F-u. Wiem, co mówię, bo grzebiąc przed laty w archiwach,



No, panowie posły!
Hurdy-burdy w Sejmie wyprawiacie świadomości tego,
że Bereza Kartuska poza granicami Rzeczypospolitej leży!

► pojawiły te tematy? Otóż dostałem kiedyś zamówienie z nieistniejących już wydawnictw filmowych i tam była polska poezja erotyczna, ci wszyscy ważniejsi polscy, sięgający w historię poeci. Ilustrowałem też Pietra Aretina, takiego włoskiego skandalistę. Na marginesie powiem, że kiedyś w księgarni przeglądałem 200 książek na indeksie papieskim i tam ze zdziwieniem przeczytałem, że również La Fontaine był na indeksie...”

Zapytany przez Andrzeja Matynię o to, jak rysować erotycznie, odpowiedział, swemu rozmówcy, pozostawiając pole do literackiej interpretacji ilustracji:

„Erotyka jest tak silnie związana z osobowością, że jakiegokolwiek rady w tej materii wydają się dosyć ryzykowne. Podobnie jak nie można radzić, jak malować kwiaty. Dla mnie rysunek erotyczny to odewanie się od ziemi. [...] Rysunki, które wykonuję, nie są rysunkami z natury, ponieważ żaden mężczyzna i żadna kobieta nie potrafią w ten sposób pokonać grawitacji ziemskiej. Rysunki, które robiłem do staropolskiej poezji miłosnej

Aretina czy Anonima Weneckiego, są z natury, z pamięci i z czegoś więcej, z tej właśnie potrzeby odewania się od ziemi. [...] Być może chciałem być orłem i pokonać grawitację. Może kiedyś byłem orłem, a może tylko wróblem”.

**„Być może chciałem być orłem i pokonać grawitację.
 Może kiedyś byłem orłem, a może tylko wróblem”.**

„Dla Stannego erotyzm jest grą wytrawnych aktorów. Czasami, jak w teatrze marionetkowym, jesteśmy w rękach przebiegłego Guignola. Na jednej z ilustracji do »Wenecjanki« mamy tę sytuację wyłożoną explicite. Oto dwie marionetki, przy czym męska jest wycięta jakby z kartonu, napuszczane są na siebie przez ową nadmarionetę. Wszystkie sznurki koordynujące ruchy bohaterów trzyma w swoich rękach całkowicie panujący nad sytuacją, aczkolwiek nie jest w stanie zapanować nad emocjami aktorów.

Niektóre członki ludzkie poruszają się samoczynnie. Nie są podłączone do nitek. [...] Oto na jednym z rysunków strojnie ubrany młodzieniec podnosi jakby na jednym palcu taką obfitość dobra cielesnego kochanki, że jest to działanie wbrew prawu ziemskiego przyciągania. To prawdziwe uniesienie miłosne, które wielokrotnie usiłowali opisać literaci i niewielu udawało się przybliżyć czytelnikowi istotę zjawiska”.

„Andrzej Matynia: Kto według pańskiej oceny rysuje erotykę finezyjnie?

– Będę mówił dobrze o Franku Starowiejskim. On ma to, o czym rozmawiamy. Odrzuca się od rzeczywistości, stara się pozbyć grawitacji.

A.M.: Czy widzi pan szkodliwość erotyki w sztuce?

– Czwartoklasista wszystko może zobaczyć na fotografii. Nie wierzę, żeby istniał choćby jeden obraz w całej historii sztuki, który spowodowałby, że po wyjściu z muzeum ktoś stanie się zwyrodniałcem, zboczeńcem, zjadaczem niewiniątek. Gdybym wierzył w szkodliwość sztuki erotycznej, nie rysowałbym...

A.M.: Gdzie kończy się erotyka, a zaczyna pornografia?

– Dla mnie jest to nieopuszczanie pola, w którym jeszcze jest poezja, w którym jeszcze istnieje

– zwyczajnie mówiąc – dobro. Dopóki tego pola nie opuszczamy, jesteśmy odlegli od pornografii. Gdy opuścimy te obszary, w których istnieje dobro, czynimy komuś krzywdę. W tym widzę zło”.

Fragment książki Katarzyny Stanny,
Teresa Wilbik i Janusz Stanny
w królestwie ilustracji, PIW,
 Warszawa 2024



Od redakcji: Przez wiele lat satyryczne rysunki prof. Janusza Stannego można było oglądać również co tydzień na łamach PRZEGŁADU.

Do lasu (odc. 6)



Wojciech Kuczok

Wytrącony z wiedzy

Gdybyż Eryś tyle chociaż zrozumiał, że trza mu iść precki, bo miłości z tego nie będzie... Ale stał tak z bukietem wyciągniętym przed siebie i mierzył nim w Alę jak wyciągniętą szpadą. („to było przemocowe, wysoki sędzie, jak można komuś tak w miejscu publicznym kwiaty wciskać i to wbrew jego woli”).

– Ale jak to tak... Przecież... Jeszcze wczoraj... Kochanie...

– To nawet nie był oenes, a efwube* z tobą, no sorki, niekoniecznie.

Ech, gdybyż Eryś od razu zrozumiał, że choć im się dopiero co członki splatały, języki im się nigdy spleść nie mogą. Alą do niego w te słowa definiująco-pożegnalne, a Eryś („zaszedł jej drogę, wysoki sędzie, i dalej bredził coś o miłości, chociaż wyraźnie sobie nie życzyła jego dalszej obecności, prosiła nawet osoby trzecie o interwencję”). Głupi Eryś najgłupszy był bowiem w kwestii zwanej damsko-męską – tak jak nadążał za nowymi teoriami gliboznawczymi, tak zapóźniony był w rozwoju dyskursu niegdyś zwanego miłosnym. A że wpadł w pułapkę feromonową niczym kornik drukarz i nie miał siły się wydostać, to wydostano go siłą („no, wytłumaczyłem mu na prośbę pokrzywdzonej, żeby się oddalił, ale, wysoki sędzie, on nie chciał słuchać, tośmy go z kolegą przesunęli na bok, tak delikatnie, bo pokrzywdzona brzydzi się przemocą, prosiła, żeby nie robić afery”).

– Chcę, żebyś dał mi spokój, czego nie rozumiesz?! Idź sobie!

Gdybyż Eryś odstąpił, zamiast się uprzeć, gdybyż go nogi poniosły nocą jedną, drugą i trzecią gdzie indziej niżli pod płot zomcyska Podwójnych („wystawał pod domem, baam się wyjść z domu, czuam się zagrożona, wysoki sędzie, dostaa rozstroju nerwowego”), gdybyż nie nawoływał Ali („nie mogam spać, bo krzyczał mi pod oknami”), gdyby nie dybał na Alę, („baam się, że się czai za każdym drzewem, dostaam traumy”), gdyby nie prosił o jedną choć jeszcze rozmowę („wymuszał, znęcał się, wysoki sędzie, nękał uporczywie”) – byłoby mu wywietrzało z głowy całe to rozmiłowanie. No ale czwartej nocy, kiedy przyczał się pod bramą i rzucił kamyczkami w okno Ali, żeby choć list od niego zechciała przeczytać, podjechał po niego radiowóz. Zatrzymanie, oskarżenie, orzeczenie artykułu 190 a, wyrok w zawieszeniu, bo niekarany, ale zakaz zbliżania się na 100 metrów

do Ali i jej domostwa. Błyskawicznie poszło wszystko, bo się Podwójny wykazał, gdzie trzeba, państwo stanęło na wysokości zadania, stanęło w obronie kobiety, statystyki się poprawiły. I tylko złośliwi powiadają, że w tym samym czasie w Godziszce Jan B. w końcu zatłukł na śmierć żonę swoją Marię, chociaż wszyscy po sąsiedzku wiedzieli, że tam się nie dzieje dobrze, nieraz uciekała boso z chałupy i schronienia szukała po sąsiadach, no ale miała pecha, bo do kościoła było bliżej niż na komendę, a ksiądz zalecał cierpliwość i miłosierdzie: „Trzeba kochać, to wszystko się ułoży”. No to się ułożyło jej ciało sponiewierane w trumnie, za którą wieś cała szła w kondukcje zapłakanym, by tak rzec, niewczesnie.

Tymczasem Eryś nie wiedział. Nie wiedział wiele, cały nagle obrósł niewiedzą, bieg wydarzeń i ich tempo tak go wytrąciły z wiedzy wszelakiej, że uwierzył we własną głupotę, a nawet przyznawał się do niej wniebogłose.

Głupi Eryś najgłupszy był w kwestii zwanej damsko-męską.

Najbardziej zaś nie wiedział, jak rzucić z siebie frasunek. Wziął więc narty i poszedł na buczynowe zbocza Hyrcy wyjeździć na liściach żałość. A rosta ona tym bardziej, im więcej wdzierato się w niego całej tej niechcianej

romantyczności. Rozwzdychał się Eryś, rozetkał, rozeźlił i rozlaźł. Ledwie co wdrapał się pod grapę swoją ulubioną, ledwie mu sił starczyło, żeby zapiąć na nogach deski, ledwie co puścił się w dół po liściastym stoku i tak jak minął pierwsze dwa bucuki slalomem, między kolejne jeszcze się zmieścił, tak na wyminięcie starego, grubego buczyska nagle odeszła mu ochota. Przez myśl mu przeszło jeszcze, że może głupio tak tracić życie w nagłej pochopności uczuć odrąconych; ach, nie dość, że głupio, to i romantycznie. Jeszcze zdążył pomyśleć, jak to w gazecie beskidzkiej przeczytać będzie można relację z tej śmierci Erysia, co to się o buczysko rozbił w samobójczym porywie, bo go dziewczucha uwiodła i porzuciła („nie mam czasu i ochoty na relację romantyczną”), aż wjechał w buk bez kasku i woli życia.

Nie wróbał, nie grzechotnął, nie uderzył. Osiadł miękko i – lekko a sprężysto został odrzucony na parę metrów. Stracił Eryś na chwilę rozum zamiast życia. Jego las nie życzył mu śmierci (cdn.).

*ONS – z ang. one night stand, przygoda na jedną noc.

FWB – z ang. friend with benefits, związek koleżeński oparty na seksie.

Tomasz Miłkowski

Teatr jednego aktora przez długie lata pozostawał jedynym terytorium zapewniającym aktorowi komfort niezależności. W latach dyktatury reżyserów aktorzy traktowali go jak swego rodzaju azyl. Dzisiaj, gdy ta absolutna władza nadwątlila się, heroiczna funkcja teatru jednoosobowego straciła na atrakcyjności, co nie znaczy, że spektakle indywidualne nie są dla aktorek i aktorów pokusą.

Krystyna Janda nie kryje, że uwielbia teatr indywidualny. Trudno się temu dziwić, skoro na swoje spektakle ściąga setki widzów, a przed telewizory nawet setki tysięcy. Tak było w przypadku przeniesienia głośnych „Zapisków z wygnania” Sabiny Baral, bolesnych wspomnień z Marca '68 w reżyserii Magdy Umer, które zgromadziły przed ekranami TVP 1 ponad 800 tys. widzów. Na festiwalu „Dwa teatry” w Sopocie monodram poniekąd ratował honor sceny telewizyjnej, przypominając, że potrafi ona dbać o to, co wzniosłe nazywa się misją. To był mały wielki teatr. Warto jednak poczynić pewne zastrzeżenie i dodać o istotnym udziale w „Zapiskach z wygnania” grającego na żywo zespołu muzycznego Janusza Bogackiego oraz o rozwiniętych ilustracjach wideo. Jest to więc spektakl przeznaczony do prezentacji na dużych scenach, a nie – jak dawniej bywało – możliwy do pokazania w każdych okolicznościach. To przekroczenie pierwotnego wzorca teatru jednego aktora, nakazującego ograniczenie środków wyrazu wyłącznie do tych, którymi bezpośrednio dysponuje twórca na scenie. Dzisiaj niewielu artystów respektuje ten radykalny model ascezy. Nadal w taki sposób traktuje teatr jednoosobowy Wiesław Komasa, który przypomniał na tegorocznych Toruńskich Spotkaniach Teatru Jednego Aktora swoje „Różewiczogranie” oparte na tekstach poety, przede wszystkim „Kartoteczce”. Komasa wyjechał z tego festiwalu z Nagrodą im. Antoniego Słocińskiego, przyznawaną za wierność autorowi.

Sacrum i profanum w zadziwiającym splocie

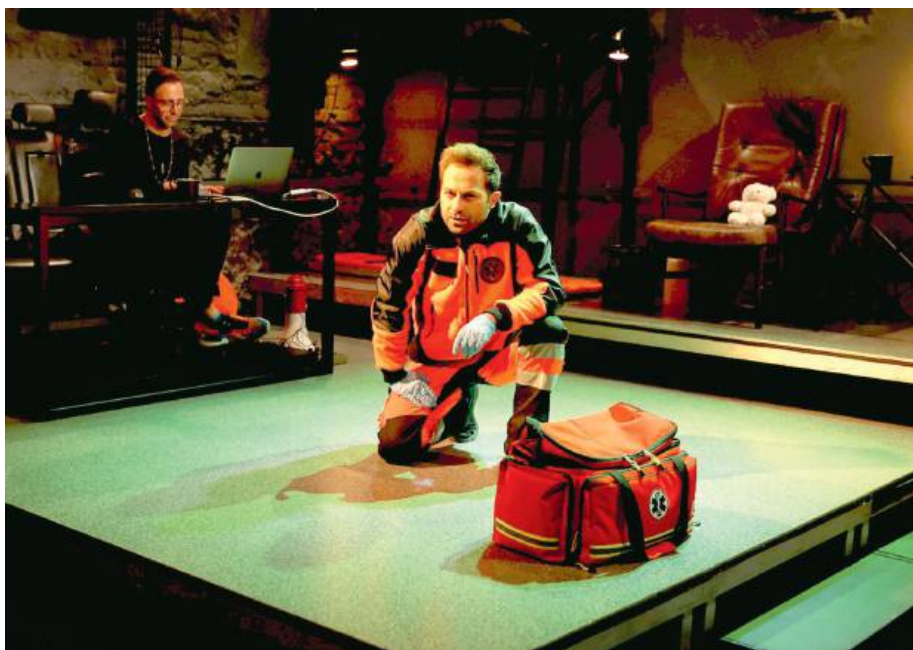
Sezon w teatrze jednoosobowym należał do Ireny Jun. Mistrzyni poetyckiej

Mały wielki teatr

Monodramy minionego sezonu zawładnęły wyobraźnią widza



Ponownie oglądany w Instytucie Teatralnym monodram Ireny Jun „Sonata księżycowa” dostarczył wielu wzruszeń – w tle ta sama od premiery w 1967 r. scenografia Józefa Szajny.



„Pogo” – porywający teatr jednego aktora Marcina Hyncnara na podstawie książki reporterskiej Jakuba Siczki, Grand Prix Teatropolis.

frazy zaprezentowała we foyer Teatru Studio porywający monodram, również na podstawie dramatu Tadeusza Różewicza, „Stara kobieta wysiaduje”. Irena Jun, wspomagana oryginalną muzyką Tadeusza Wieleckiego i współpracą reżyserską Natalii Korczakowskiej, wraca do swojego spektaklu sprzed 36 lat w tym samym teatrze. Teraz to jednak inny monolog, uciekający od weryzmu albo groteski, będący metaforą ocalenia świata. Irena Jun portretuje

Sezon w teatrze jednoosobowym należał do mistrzyni poetyckiej frazy Ireny Jun.

kobietę pramatkę, ale też zrędlivą prawie jędrę, by po chwili czarować czułością i erotycznym powabem, a potem niemal przerażać na biało mówionymi didaskaliasami, w których Różewicz odmalowuje swoją apokaliptyczną wizję. W tym wieloznacznym przekazie nie ginie jednak tęsknota za pełnią życia, za przetrwaniem, choć centralne pytanie, jak to osiągnąć, pozostaje bez odpowiedzi.

Aktorka rezygnuje z rekwizytów, pozostają do jej dyspozycji krzesło i stolik, grający w ważnej sekwencji mapę kobiecego brzucha – metaforę istnienia. Zamiast rekwizytów i dekoracji świat malowany jest dźwiękami Tadeusza Wieleckiego, artysty otwartego na poszukiwania, który tworzy symfonię na garnki, miski, ociekające. Zderzenie metafory zagłady z codziennością odgłosów kuchennej krzątaczki, która spotyka się ze słowem i melodią w wirtuozerskim wykonaniu aktorki, tworzy nowe pole znaczeń, aluzji, skojarzeń, niwelując banał dosłowności. Paradoks jest przy tym niebывały: kompozytor, posługując się banalnymi sprzętami, nasycił opowieść Ireny Jun wzniosłą poezją. Sacrum i profanum w zadziwiająco splocie.

Równie niecodziennym wydarzeniem był pokaz legendarnego monodramu Ireny Jun „Sonata księżycowa” w inscenizacji Józefa Szajny z muzyką Bogusława Schaeffera (premiera odbyła się w roku 1967) w Instytucie Teatralnym. Kiedy przed laty aktorka przedstawiała

dramat starości, musiała przeżywać ciężkie naturalne emocje młodej kobiety. Dziś prawie 90-letnia artystka swoim uśmiechem, udzielającym się widzom nostalgicznym nastrojem i bystrym spojrzeniem wywołuje intensywny blask młodości. Mimo upływu niemal 60 lat spektakl zachował świeżość i poetyckie piękno, które zawładnęło widownią.

Tym akcentem zakończył się trzeci już sezon prezentacji monodramów w Instytucie. Starannie dobierał je w roli kuratora Mateusz Nowak, tworząc nie tylko katalog mistrzowskich spektakli, ale możliwość spotkania z nowymi

poszukiwaniami, jak choćby w przypadku „108 kostek cukru” Ireny Sierakowskiej z wrocławskiego Teatru Dramatycznego, monodramu opartego na pamiętniku młodej kobiety, pisanym z perspektywy osoby cywilnej w pierwszych tygodniach powstania warszawskiego. Tak więc projekt MONO w Instytucie zdał egzamin.

Ukłon za wytrwałość

To niejedyna nowa przestrzeń przybliżania osiągnięć sceny jednoosobowej. Zainicjowany przez Krzysztofa Witkowskiego łódzki Festiwal Sztuki Aktorskiej Teatropolis, któremu dyktuje Andrzej Seweryn, ma za sobą dwie edycje z dobrą

Przepiórskiej („W maju się nie umiera”), Agnieszce Skrzypczak („Ifigenia ze Splott”) i Łukaszowi Lewandowskiemu („Historia Jakuba”). W kategorii debiut triumfował Kacper Jan Lachowicz, wówczas student Akademii Teatralnej, z muzodramem „Warszawa płonie” o środowisku queerowym, wzbudzając uznanie – jak napisano – za „szczerą, zaangażowaną, będącą zarazem ważnym głosem w kwestii równości nas wszystkich niezależnie od preferencji i poglądów czy używanego makijażu”. O Kacprze Lachowiczu pewnie jeszcze usłyszymy, bo po sukcesie w Łodzi okazał się najlepszym aktorem VIII Ogólnopolskiego Przeglądu Dyplomów i Egzaminów Muzycznych Wyższych Szkół Artystycznych w Toruniu.

A skoro o tym mieście mowa, to trzeba mu koniecznie oddać należny ukłon za wytrwałość w prowadzeniu Toruńskich Spotkań Teatrów Jednego Aktora. W tym roku odbyły się one już po raz 38. Od czasu, kiedy po ponad pół wieku zamknięto we Wrocławiu najstarszy w Europie festiwal monodramów, Toruń stał się ich stolicą, mimo braku oficjalnego jury i regulaminowych nagród. Każdy uczestnik może czuć się laureatem, bo już samo zaproszenie na spotkanie jest wyróżnieniem. Tak się jednak ułożyło, że niektórzy wyjeżdżają z Torunia z nagrodami. Swoje laury przyznają akredytowani dziennikarze oraz toruńska sekcja ZASP,

Mimo że absolutna władza reżyserów nadwątlila się, spektakle indywidualne wciąż są aktorskim azylem i pokusą.

obsadą i salami pełnymi publiczności, a przecież w Łodzi jest więcej takich wydarzeń, by przypomnieć choćby przeglądy solistyczne organizowane przez Teatr Szwalnia.

W tym roku jurorzy Teatropolis nie mieli łatwego zdania – Grand Prix otrzymał Marcin Hycnar za porywający monodram „Pogo”, o którym już na łamach PRZEGLĄDU pisałem, wychwalając rysunek bohatera – ratownika medycznego, prowadzącego codzienną walkę o najwyższą stawkę, życie. Jurorzy przyznali także trzy równorzędne wyróżnienia Agnieszce

jest także wspomniana nagroda specjalna im. Antoniego Słocińskiego – zapis w testamencie byłego dyrektora Teatru Baj Pomorski, przez lata związanego z tym festiwalem. Jest też tzw. szczebel do kariery, czyli symboliczna nagroda za debiut.

Tym razem dziennikarze nagrodzili Roberta Talarczyka („Byk”), ZASP wyróżnił zaś Mateusza Nowaka („Od przodu i od tyłu”). Wyróżnienie honorowe otrzymała także Anna Januszewska, aktorka od lat związana z Teatrem Współczesnym w Szczecinie, za monodram „Matka Putina” ▶

► autorstwa Anny Katarzyny Chudek-Niczewskiej. Artystka podjęła się przedstawienia upokorzeń i goryczy doznawanych przez kobietę z gruzińskiej wioski, uważając się za matkę biologiczną dzisiejszego władcy Kremla, która pozostaje pod dyskretną ochroną władz, co pozwala przypuszczać, że historia może być prawdziwa. Anna Januszevska ukazuje historię odtrącenia przez syna z podwójnej perspektywy – bywa tytułową postacią, ale bywa zarazem kimś, kto tę postać z zewnątrz obserwuje. Ta podwójność i powściągnięte emocje pozwalają jej nawiązać porozumienie z publicznością.

Tegoroczne toruńskie spotkania już po raz ostatni prowadził jako dyrektor artystyczny Wiesław Geras. Guru polskiego ruchu teatrów jednego aktora postanowił wycofać się z bezpośredniego kierowania festiwalami – oddaje się temu z sercem od roku 1966, czyli bez mała od

Nie ma takich słów, które mogłyby oddać zasługi Wiesława Gerasa dla sceny jednoosobowej. Zainteresowanych odsyłam po kumoterku do książki pod moją redakcją „50 lat WROSTJA. Po teatrze jednego aktora oprowadza Wiesław Geras”, dostępnej na stronie internetowej Encyklopedii teatru polskiego.

Nie tylko w Polsce zawirowania personalne. Znosi się na to, że przejdzie do historii festiwal Thespis w Kilonii, który swoje powstanie i dwudziestoletnie istnienie zawdzięcza Jolancie Kozak-Sutowicz. Aktorka mieszkająca w Niemczech w tym roku pożegnała się z festiwalami, a polska sekcja AICT podziękowała jej za osiągnięcia twórcze Certyfikatem im. Edwarda Csató, chociaż nikt, kto zna Jolanę Kozak-Sutowicz, nie wierzy, że to było pożegnanie ostateczne. Jak będzie, zobaczymy, pamiętając o fantastycznej przestrzeni konfrontacji monodramów z całej

dorastającego syna, daremnie szukającej odpowiedzi na pytanie o przyczynę jego desperackiego czynu.

Na koniec kilka zdań o dwóch spektaklach spinających ten raport. Miniony sezon monodramatyczny otwierał spektakl „Na pierwszy rzut oka” Marii Seweryn w Teatrze Polonia według tekstu Suzie Miller i w reżyserii Adama Sajnuka. To monolog kobiety zgwałconej przez kolegę z kancelarii prawnej, która musi przejść przez piekło upokorzeń, chcąc dowieść winy gwałciiciela. Ciężar dramatu spoczywa na aktorce, grającej w sterylnej dekoracji. Seweryn w zdyscyplinowany, precyzyjnie zaplanowany sposób prowadzi opowieść o młodej prawniczce. Najpierw studentce, potem wybijającej się adwokatce, zdobywającej uznanie, która zderza się z brutalną rzeczywistością.

Z kolei pod koniec sezonu można było zobaczyć na maleńkiej scenie Teatru Żydowskiego monodram Aliny Świdowskiej „Chciała zapomnieć” inspirowany wspomnieniami jej matki, Adiny Blady-Szwajger, lekarki w szpitalu dziecięcym w warszawskim getcie, w reżyserii Karoliny Kirsch. Aktorka pojawia się na scenie z walizką wspomnień. Znajdzie się tam zdezelowana lalka z wylamaną rączką, butelka z klipsem pałkowym, szklanka, nocna koszula. Minimalizm rekwizytów i środków. Alina Świdowska, siedząc na krzeselku, błądzi pamięcią po wspomnieniach matki i swoich. Nie można ani na chwilę zapomnieć, że to jej historia – spadek i ciężar drugiego pokolenia ofiar Holokaustu, które przekazują okruczności prawdy następcom. Że to coś więcej niż rutynowy spektakl.

Te dwa silnie działające na widzów monologi – ekstrawertyczki i introwertyczki, jeden oparty na fikcji literackiej, drugi na osobistej prawdzie; jeden aktorki średniego, drugi starszego pokolenia, różni wszystko. W obu przypadkach są to jednak ścieżki równoległe, prowadzące do tego samego celu, jakim jest mocny przekaz, moralne przesłanie opowieści, zawładnięcie wyobraźnią widza. Wiele jest takich dróg i za każdym razem trzeba je odkryć na nowo.

Tomasz Mitkowski

Festiwale są potrzebne jako miejsce spotkań, konfrontacji i rozmów. Pod tym względem bliski ideału jest słupski turniej monodramów „Sam na scenie”.

60 lat. Teraz przechodzi na pozycję obserwatora i – ewentualnie – doradcy. Także w najmniejszym i sympatycznym festiwalu Teatr w Remizie w Helu, który prowadził od kilkunastu lat, przejmując go niegdyś z rąk założyciela, Olgierda Łukaszewicza. Na swój pożegnalny sezon zaprosił Małgorzatę Bogdańską, Marka Koterskiego, Sławomira Hollanda i Zdzisława Kuźniara. Wszyscy artyści zostali przyjęci entuzjastycznie, a proszony przez burmistrza Helu o kontynuowanie dzieła Wiesław Geras „namaścił” swojego następcę, młodszego o dwa pokolenia Mateusza Nowaka, radząc następcom: – Powtarzam to od lat – festiwale są potrzebne jako miejsce spotkań, konfrontacji i rozmów. Aby były twórcze, aktor musi mieć zapewniony komfort, ale najważniejsza jest atmosfera. Pod tym względem bliski ideału jest turniej monodramów w Słupsku „Sam na scenie”, gdzie panuje potrzeba wymiany krytycznych opinii, czym powinien być dzisiaj monodram.

Europy na tym festiwalu i zawsze żywej obecności reprezentacji z Polski. W tym roku był to m.in. świetnie przyjęty debiut Sebastiana Słomińskiego „Wściekły pies” o moralnym rozdwojeniu duszpasterza ukrywającego swoje preferencje seksualne. Całość według reportażu Wojciecha Tochmana w reżyserii Marcina Bortkiewicza.

Ścieżki równoległe

Za to niezmiennie trwa od 21 lat, i wygląda na to, że trwać będzie nadal, chwalony przez Wiesława Gerasa Turniej Teatrów Jednego Aktora „Sam na scenie” w Słupsku, organizowany przez Teatr Rondo. Co roku pojawiają się na nim nowe talenty, dojrzewają też młodzi twórcy, próbujący tu swoich sił. Nie brakowało ich także w tym roku. Przejmujący monodram Alicji Królewicz na motywach dramatu Maliny Prześlugi „Jeszcze tu jesteś?” to rzecz o matce cierpiącej po samobójczej śmierci

Mateusz Mazzini

Żeby dobrze zrozumieć, o co chodzi, trzeba zrobić kilka kroków wstecz i zyskać perspektywę na sposób, w jaki wszyscy korzystamy z sieci internetowej. Intuicyjnie każdy z nas odpowiedziałby, że spędzamy tam czas w sposób zindywidualizowany, ale wciąż jest to ten sam internet. Można oczywiście niuansować, mówić o darknetach, przestrzeniach niedostępnych z powodu bezpieczeństwa, cyfrowych cenzorach w Rosji, Chinach czy Korei Północnej. To wszystko mniejsze lub większe, ale jednak didaskalia, jeśli chodzi o powszechny odbiór cyfrowej sfery naszego życia.

Ideą założycielską samego internetu, ale też późniejszych jego wytworów, jak media społecznościowe, była pełna otwartość. Internet z definicji miał być jeden, globalny, powszechnie dostępny dla wszystkich. Tak myśleli o nim pierwsi twórcy, tak go rozumiał Mark Zuckerberg, opowiadając o Facebooku jako o „globalnej agorze” łączącej ludzi z najodleglejszych zakątków planety. Wystarczy sobie przypomnieć efekt, jaki wywołała arabska wiosna z 2011 r. Przez kraje Maghrebu przetoczyła się wówczas fala protestów przeciwko rządowi autokratów, a ludzie, zwłaszcza młodzi, wychodzili na ulice napędzani mobilizacją w mediach społecznościowych. Facebook i Twitter stały się narzędziami obywatelskiego nieposłuszeństwa, bastionami – no właśnie – cyfrowej wolności w opresyjnym świecie analogowym.

Tamte lata to również początek tzw. dziennikarstwa obywatelskiego, koncepcji, którą dzisiaj trzeba wrzucić do worka zawierającego najbardziej naiwne pomysły w historii tej branży. Największe redakcje zaczęły dostrzegać wtedy potęgę internetu, przechodząc na wydawanie i tworzenie treści skalibrowanych pod media społecznościowe. Świat zachłystał się pomysłem udostępnienia wszystkiego wszystkim, więc w gazetach i w portalach powstawały specjalne miejsca na publikacje czytelników. Bez zbędnego nadzoru redakcyjnego, bez cenzurowania poglądów,



Sieć w silosie

Rewolucja związana ze sztuczną inteligencją może niedługo przynieść koniec otwartego internetu

z prawem do nielimitowanego wyrażania własnych opinii. Nikt wtedy nie zastanawiał się, czy świat jest na to gotowy, nie mówiąc o samym sektorze dziennikarskim.

To tylko mit

Tymczasem wolny i jednolity internet to mit, nic więcej. Sieć nigdy nie była jednakowa dla wszystkich użytkowników i nigdy nie była w pełni wolna, nawet na samym początku. Zaczynając od wysoko ustawionej bariery wejścia technologicznego, a skończywszy na tym, co szybko zajęło miejsce naiwności czasów dziennikarstwa obywatelskiego, czyli płatnych treści. Dzisiaj widać to dobitniej niż kiedykolwiek, internet można podzielić według kilku kryteriów. Najważniejsze, teraz nawet dla wielu wręcz egzystencjalne, jest kryterium finansowe, czyli to, czy dane treści otrzymujemy za opłatą, czy (pozornie) za darmo.

Złudzenia też odłóżmy na bok, nic na świecie nie jest w pełni darmowe, w internecie tym bardziej. Ale

rozdzielenie na internet darmowy, zwany często otwartym, i internet płatny, zamknięty, jest mimo wszystko przydatne. Choć należy przyznać, że bywa zbyt dużym uproszczeniem.

I tak do internetu otwartego należeć będzie np. portal, na którego stronę można wejść bez zalogowania, tworzenia konta, podawania jakichkolwiek informacji, a przede wszystkim bez płacenia. Dawniej była to po prostu kwestia wpisania odpowiedniego adresu internetowego, jednak teraz coraz częściej strony wymagają wyłączenia oprogramowania blokującego wyskakiwanie tzw. pop-upów, czyli okienek z reklamami. Wiadomo, że użytkownicy tych stron płacili swoimi danymi i czasem spędzonym na stronie, także na oglądaniu reklam, ale bezpośredniej opłaty nie uiszczali.

Z kolei internet zamknięty to przestrzeń za paywallem – murem, do którego przejścia potrzeba wkładu finansowego. Tu znajdują się gazety, które żadnych treści nie udostępniają w internecie za darmo. Chcesz czytać – płać, jak w tradycyjnym kiosku. ►

► Pośrodku znajduje się jeszcze teoretycznie model *freemium*, powstały z połączenia angielskich słów *free* (wolny, darmowy) i *premium* (opłata). To rozwiązanie kompromisowe, polegające na udostępnianiu części (bardzo ograniczonej) treści i usług za darmo, po wykorzystaniu których za dalsze korzystanie z serwisu trzeba już zapłacić. Przykład? Cztery artykuły w miesiącu za darmo, reszta wymaga komercyjnej subskrypcji.

Dla dalszych rozważań o przyszłości internetu kluczowe jest też podkreślenie, że do otwartej jego części należą przede wszystkim media społecznościowe. Za Facebooka przecież się nie płaci, a Zuckerberg kilka lat temu w Kongresie USA powiedział nawet pod przysięgą, że płacić nie będzie się nigdy.

Podział na internet otwarty i zamknięty staje się coraz wyraźniejszy, bo narasta konflikt między podmiotami produkującymi treści i gigantami technologicznymi z Doliny Krzemowej, które z owych treści korzystają. Żeby zachować właściwy porządek rzeczy, należałoby nawet przestać używać słowa media w kontekście platform społecznościowych. One mediami nie są, bo same nie publikują własnej zawartości. W całości opierają się na darmowych treściach

od użytkowników, w tym od redakcji i dziennikarzy. To właśnie te treści generują ruch, a ruch daje zyski z reklam. Facebook za korzystanie z tego, co inni tam napiszą, opłat licencyjnych nie płaci.

Z Alphabetem, właścicielem wyszukiwarki Google, sytuacja wygląda nieco inaczej, bo rzeczywiście jest to główny punkt wejścia użytkowników dla niemal wszystkich stron internetowych. Firma twierdzi, że tantiemy płaci, i to w sprawiedliwych proporcjach. W czasie niedawnego protestu mediów w Polsce dział polityki publicznej giganta zalał internet statystykami o podpisanych bilateralnych porozumieniach z 4 tys. wydawców w 19 krajach Unii Europejskiej, do czego obliguje firmę unijna dyrektywa o jednolitym rynku cyfrowym. W Polsce, według Google'a, wypłacono miliard złotych pięciu największym wydawcom w ciągu ostatnich trzech lat. Problem w tym, że wydawców prasowych w naszym

Otrzymamy odpowiedź, z krótkim komentarzem, prawdopodobnie też tabelę z punktami i klasyfikację medalową. Wyszukiwarka oczywiście zasysa te treści z innych źródeł, ale zatrzymuje dla siebie. Sama je wyświetla, więc użytkownik nie przejdzie już na stronę medium, z którego te dane często pochodzą. W ten sposób ograniczy zyski wydawców, bo ruch zostanie w wyszukiwarce.

Rozmowy z wyszukiwarką

Złote czasy dla obecnych monopolistów mogą jednak dobiec końca. Wraz z rozwojem sztucznej inteligencji w ciągu najbliższych kilku lat, a może nawet kilkunastu miesięcy możliwa jest całkowita rewolucja sposobu wyszukiwania informacji w internecie. Co za tym idzie, znacząco ograniczy to zyski Google'a, a w dłuższej perspektywie może doprowadzić do unicestwienia mediów społecznościowych w takiej formie,

Sieć nigdy nie była jednakowa dla wszystkich użytkowników ani w pełni wolna, nawet na samym początku.

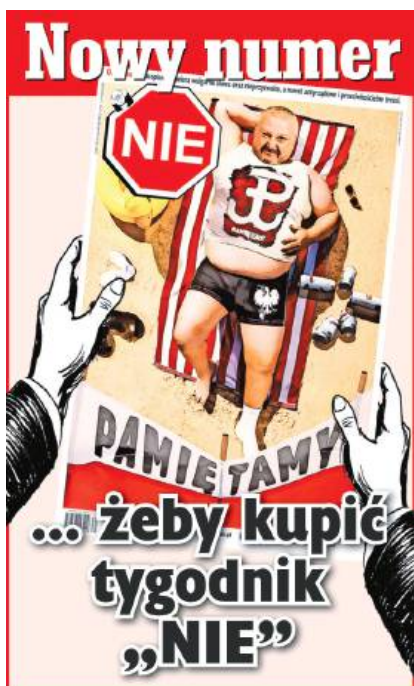
kraju, według szacunków KPRM, jest 4,7 tys., a małe podmioty nie mają szans wynegocjować dla siebie korzystnych warunków w starciu z globalnymi gigantami. Co zresztą było widać po reakcji tych ostatnich na protest. Facebook bezceremonialnie kasował lokalnym mediom wpisy o całej akcji, a niektórym blokowal wręcz całe profile.

Obecnie wydawcy walczą z platformami społecznościowymi i wyszukiwarkami o opłaty za korzystanie z treści także dlatego, że te pierwsze podmioty blokują coraz więcej ruchu, a raczej wstrzymują go dla siebie. Nie odsyłają do stron, tylko same wyświetlają treści, choć ich przecież nie tworzą.

Tym, którzy nie rozumieją, w czym problem, lub z tym argumentem się nie zgadzają, proponuję prosty eksperyment związany z odbywającymi się właśnie igrzyskami olimpijskimi. Wystarczy wpisać w wyszukiwarce dowolne zapytanie dotyczące wyników wybranej dyscypliny.

w jakiej istnieją. Teraz wszyscy korzystamy z wyszukiwarki w sposób hasłowy, oparty na zapytaniu i otrzymywaniu faktów. Gdybyśmy w tej chwili „zapytali”, jak wygląda sytuacja gospodarcza w Zimbabwie, nie dostaniemy odpowiedzi opisowej, płynnej, czerpiącej z wielu źródeł. Mówiąc językiem fachowców, wyszukiwarka nie poda informacji w trybie „konwersacyjnym”, bo nie umie z nami rozmawiać. Oczywiście nie wypłyje samych faktów, ale da krótki opis, wyszuka najbardziej kompleksowe źródła, a mimo wszystko nie przetworzy ich. Nie dokona syntezy w szerokim, rozbudowanym analitycznym tekście. Nie robi więc tego, co już robią chatboty czy inteligentni asystenci napędzani technologią uczenia maszynowego.

Google sporo już więc traci w stosunku do firm pokroju OpenAI. Oczywiście tę stratę próbuje zniwelować, rozwijając własnego inteligentnego asystenta, wbudowanego w wyszukiwarkę, aczkolwiek aktualnego trendu



raczej nie będzie w stanie zatrzymać. Nie tylko użytkownicy będą przechodzić od wyszukiwania hasłowego, które oferuje Google, do wyszukiwania konwersacyjnego dostępnego w ChatGPT czy Perplexity. Już robią to także wydawcy. Coraz więcej z nich podpisuje umowy z OpenAI, na mocy których treści publikowane w ich mediach będą używane przez ChatGPT jako podstawa wypowiedzi

Niebawem miażdżąca większość treści dostępnych w internecie, zwłaszcza darmowym, będzie napisana przez chatboty lub automaty.

formułowanych przez asystenta. Chat ma, przynajmniej zgodnie z umową, odnosić, linkować, przekierowywać i cytować oryginalne źródła, a nie tylko je podsumowywać. Już wiadomo, że nie wszystkie firmy z obszaru sztucznej inteligencji dotrzymują pod tym względem słowa, ale same relacje mediów z Doliną Krzemową w dobie sztucznej inteligencji to temat na osobny tekst. Ważniejsze jest to, co taka migracja i zmiana sposobu wyszukiwania informacji znaczy dla internetu jako ekosystemu informacji.

Cóż, oznacza to jeszcze większą silosowość sieci. Skoro sztuczna inteligencja już potrafi generować treści bulwarowe, plotkarskie czy niewymagające sporego wkładu intelektualnego, a lada moment będzie w stanie zastąpić nawet dziennikarzy newsowych, wkrótce przejmie dominującą pozycję wśród twórców internetowych. Niebawem miażdżąca większość treści dostępnych w internecie, zwłaszcza darmowym, będzie napisana przez chatboty lub automaty. W mediach społecznościowych widać to zresztą już teraz, zalewa je masa fałszywych kont AI-influencerów, reklamowego spamu, żywych i prawdziwych ludzkich użytkowników niekiedy jest tam jak na lekarstwo. Z każdym tygodniem proporcje te będą jeszcze się zmieniać na gorsze.

Uznanie człowieczeństwa

Łatwo sobie wyobrazić, że ludzie nie będą chcieli spędzać czasu w internecie zapełnionym śmieciowymi

AI-treściami. Nie będą więc generować ruchu, oglądać reklam, dawać zysku wydawcom, ale też właścicielom platform społecznościowych. Bez gałek ocznych podążających za kolorowymi filmikami Facebook czy Instagram stracą rację bytu. Chyba że wprowadzą opłaty za korzystanie z ich przestrzeni, co jednak byłoby sprzeczne z ideą Zuckerberga. Wymrą też portale, bo nie utrzymają się

pisarzom, artystom, dziennikarzom uda się jeszcze monetyzować swoją pracę, ale próg wejścia do tych przestrzeni będzie już finansowo wygórowany. Dodatkowo będą one solidnie chronione przed silnikami sztucznej inteligencji, które mogłyby grasować po ich archiwach i szkolić swoje chatboty.

Taki internet ostatecznie zabiłby resztki mitu jednej i wolnej sieci na całym świecie. Zamiast tego powstałyby w nim silosy, w których istniałoby ryzyko braku styczności z treściami innymi niż te, które lubimy i z którymi się zgadzamy. Społeczności cyfrowe jeszcze mniej by się przenikały, nie wiedziałyby może nawet o swoim istnieniu. To wizja odmienna od marzeń technologicznych luminarzy z San Francisco. Problem w tym, że to też wizja najbardziej prawdopodobna. Szykujemy portfele, zaraz wszyscy będziemy płacić za uznanie wzajemnego człowieczeństwa w sieci.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

KSIAŻKI

Jan Szmyd

Przekroje cywilizacyjnych przemian współczesnego świata i człowieka Epokowa transformacja wszystkiego – szansa i zagrożenie

Bibliotheca Pigioniana, t. 8

Wydawnictwo Naukowe Pigionium, Krosno 2023

W książce autor podjął próbę omówienia współczesnych przemian cywilizacyjnych, krytycznie je wyjaśniając i komentując. Poddaje też analizie szanse i zagrożenia współczesnego, naukowo-technicznego i informatycznego rozwoju, łącznie z miejscem i rolą w nim sztucznej inteligencji. Jak dowodzi autor, przemiany ogarniające niemal cały obszar „świata ludzkiego” naszych czasów, dotyczą „wszystkich i wszystkiego” w tym świecie. Dokonują się w niemal wszystkich sferach funkcjonowania obecnej cywilizacji: naukowej, technologicznej, społecznej, kulturowej, ekonomicznej, informatycznej, medialnej, edukacyjnej, obyczajowej, politycznej itp. Szczególnie silnie zaś przejawiają się w dziedzinie ludzkiej duchowości i mentalności, w sposobie bytowania, stylach życia, kulturze moralności, w relacjach międzyludzkich i w procesach kształtujących człowieczeństwo, nawet w strukturze i przejawach natury ludzkiej.

W książce prof. Jan Szmyd ukazuje główne źródła i uwarunkowania tych rozlicznych i różnorodnych przemian oraz przyczyny i charakter całościowo pojętej przemiany cywilizacji naukowo-technicznej i informatycznej.



Paweł Średziński

Puszcza Knyszyńska jest ważną ptasią ostoją. Szczególnie jeśli spojrzymy na nią szerzej – nie tylko na sam las, lecz także na przylegające do niego łąki, pola, rzeczne doliny, a nawet ludzkie osady. Ptaki w Puszczy Knyszyńskiej są stosunkowo dobrze przebadane. (...)

W Poczopku umawiam się z Arkadiuszem Juszczykiem, pracownikiem Nadleśnictwa Krynki, który już od długiego czasu ma pod opieką Ośrodek Rehabilitacji Dzikich Ptaków i Ssaków „Przytulisko”. Zanim pójdziemy zobaczyć jego pacjentów i stałych rezydentów, pytam Arkadiusza, co sprowadziło go na wschodni kraniec Polski. Pochodzi bowiem z Płocka. Odpowiada bez wahania:

– Bo było zainteresowanie przyrodą. Od dziecka interesowałem się zwierzętami. Moi rodzice byli dentystami, więc z tej strony raczej nie kontynuuję tradycji. Woląłem pomagać zwierzętom. Z pierwszego wykształcenia jestem zootechnikiem po poznańskiej uczelni. Już po tym, jak zatrudniłem się w lasach, skończyłem jeszcze studia leśne. Ówczesny nadleśniczy, Waldemar Sieradzki, dowiedział się od mojego ojca, że mam wykształcenie zootechniczne, i zaproponował mi pracę, bo szukał kogoś, z kim ptaki się „dogadają”. W ten sposób od 2013 r. pracuję w Nadleśnictwie Krynki.

Ośrodek w Poczopku powstał parę lat wcześniej. Na początku zajmował się nim jeden z leśniczych, ale, jak mówi mi Arkadiusz, na kierunkach leśnych nie zawsze przygotowują studentów do dbania o zwierzęta:

– Priorytetem są kwestie związane ze światem flory i hodowlą lasu. Stąd jako zootechnik okazałem się użyteczny do kierowania ptasim szpitalem. Do funkcjonowania ośrodka potrzebny jest również weterynarz. Dlatego mamy umowę z lekarzem weterynarii, który obsługuje nasz ośrodek. To on stawia diagnozę, ocenia, czy pacjent jest rokujący, i przekazuje nam po oględzinach ptaki do rehabilitacji. Te kilka bocianów, które widzisz po



Ptasie przytulisko

W świecie zwierząt nie ma miejsca na ratowanie za wszelką cenę.
To człowiek w tę naturę ingeruje

prawej, właśnie do nas trafiło w ten sposób. Nasz ośrodek przyjmuje ptaki, które już po pobyciu u nas dostają szansę powrotu na wolność. Natomiast mamy też stałych rezydentów niezdolnych do życia w naturze. Nie każda rehabilitacja kończy się wypuszczeniem zwierzęcia na wolność. Mamy pozwolenie na przetrzymywanie ich w celach edukacyjnych i turysta, który odwiedzi Poczopek, może je tutaj zobaczyć w specjalnie przygotowanych w tym celu wolierach. Najbliższe ośrodki rehabilitacji zwierząt znajdują się w Wiejkach w Biebrzańskim Parku Narodowym i w Puszczy Białowieskiej, gdzie jest rezerwat pokazowy żubrów. Ptaki są kierowane najczęściej do nas. Często ludzie wolą nam przywieźć osobiście ptaka, niż dzwonić do urzędu gminy

i próbować ustalić, czy ktokolwiek takim potrzebującym ptakiem się zajmie. Jesteśmy wciąż jedną z nielicznych tego typu placówek w regionie. Do tego w rezerwacie pokazowym żubrów Białowieskiego Parku Narodowego przyjmowane są jak dotąd tylko ssaki.

Jak wyjaśnia mi Arkadiusz:

– Te tegoroczne bociany, obok których stoimy, oficjalnie, jeżeli chodzi o zgłoszenia ludzi, wypadły z gniazd. To już są podloty. W świecie bocianów rzadko zdarza się coś takiego jak wypadnięcie z gniazda. Jest to raczej wyrzucenie połączone z konkretnym łomotem spuszczone przez rodziców, a czasem nawet zjedzeniem pisklęcia. Z jakiegoś powodu bociania para może uznać je za nierokujące czy wręcz utrudniające przetrwanie

Miejsce w Przytulisku znalazły lelki.

Arkadiusz Juszczak wypuszcza na wolność uszatkę błotną.

W świecie bocianów rzadko zdarza się coś takiego jak wypadnięcie z gniazda.



innym pisklętom. Akurat te bociany są już po badaniach i wstępnym „odchowaniu”, a to, co się z nimi dzieje, trudno już nazwać rehabilitacją. Dokarmiamy je codziennie i na bieżąco reagujemy w nagłych wypadkach, ale woliera jest otwarta i to one zdecydują, kiedy opuszczają gniazda ustawione w wolierze, i czy w ogóle je opuszczają. Z reguły dzieje się to pod koniec sierpnia. Czasami w okolicach naszego ośrodka zlatuje się ich więcej i tworzą się słynne bocianie sejmiki, liczące po 70-80 ptaków. Najpierw zaczęły trenować skrzydła i podlatywać, a potem nauczyły się wykorzystywać kominy ciepłego powietrza ułatwiające szybowanie. Tak, bociany głównie szybują. Jeszcze miesiąc, półtora – i odlecą. Do tego czasu będziemy o nie dbać.

Po chwili opiekun ptaków dodaje: – Teraz jest w wolierze 10 bocianów, ale w skali roku trafiają do nas dziesiątki tych ptaków. Przyjeżdżają z całego województwa podlaskiego, ale mieliśmy też ptaki przywożone aż z Warszawy lub Lublina. Ktoś uznał, że będzie im w Poczopku lepiej, chociaż moim zdaniem lepiej, żeby trafiły do najbliższego azylu dla zwierząt. Narażanie zwierzęcia, które i tak już potrzebuje naszej pomocy, na dodatkowy stres związany z długą podróżą jest zupełnie nie na miejscu. Nie wszystkie przywiezione ptaki jesteśmy w stanie uratować. Część zostaje u nas. Część zostaje poddana eutanazji. Naszym celem nie jest zwiększanie grona niezdolnych do życia w naturze zwierząt. Ostateczną decyzję zawsze podejmuje

weterynarz. Obok bocianów znajdują się mniejsze woliery dla ptaków drapieżnych.

Arkadiusz wyjaśnia, że dwa myszołowy mieszkają w ośrodku na stałe:

– To samiec i samica. Dostały się do nas razem i są rodzeństwem. Są to ptaki w pełni sprawne, ale nie mamy możliwości zwrócenia im wolności. Zostały wyjęte jako pisklęta z gniazda, a nawet przez kogoś zaobrączkowane obrączkami, które nie spełniają żadnych standardów. Ten, kto nielegalnie je przetrzymywał, prawdopodobnie podczas próby pierwszego oblotu skradzionych z gniazda ptaków stracił je, bo ptaki po prostu do niego nie wróciły. Myszołowy zostały znalezione przy drodze. Na pierwszy rzut oka było widać, że nie boją się ludzi. Do tego stopnia, że wchodziły na ręce, można było je karmić. To są ptaki wdrukowane na człowieka, który je zabrał prawowitym rodzicom. Już ich nie wypuścimy, bo najpewniej skończyłoby się to podleceniem do ludzi, kiedy poczują głód – bo to właśnie człowieka kojarzą teraz z pokarmem. I jeśli tym człowiekiem będzie ktoś z naszego ośrodka, to jeszcze pół biedy, bo ptak zostanie odłowiony i umieszczony w wolierze. Jeśli jednak będzie to jakiś inny człowiek, który nie ma obycia z ptakami, to może się to źle skończyć, zwłaszcza dla ptaka.

Pytam, jakie gatunki ptaków trafiają najliczniej do Przytuliska.

W odpowiedzi Arkadiusz stwierdza:

– Myszołowy trafiają do nas najczęściej. Oprócz myszołowych zdarzają się też jastrzębie. Krogulce bywają, ale nie są częstymi pacjentami. Są też z nami na stałe dwa błotniaki stawowe. Jeden z nich ma usunięty kawałek skrzydła. Jest jeszcze trzmielojad. Wygląda niepozornie, ale to jest bardzo ciekawy i egzotyczny drapieżnik. Jeden z tych niewielu gatunków drapieżnych, które migrują od nas z kraju na zimę do Afryki. Ze względu na dietę nazywany jest też osojadem lub pszczołojadem. Żywi się m.in. owadami żądłącymi, takimi właśnie jak osy lub pszczoły, a dokładnie ich larwami oraz miodem, jeśli dany gatunek owada go produkuje. Ten ptak już nigdy nie poleci. ▶

- Teraz się wypierzył i jest w trzecim roku życia. Uderzył w stodołę. Jest już u nas trzy lata.

Opiekun ptaków dodaje:

– Trafiają do nas nie tylko ptaki. Czasami zdarza się, że ludzie zostawiają koty i psy, co jest bardzo nieodpowiedzialne. My możemy przyjmować tylko dzikie zwierzęta chronione. Jeśli chodzi o ssaki, to opiekujemy się małymi jeżami, wiewiórkami, nietoperzami. Mieliśmy kiedyś trzy wilki i rysia, ale to zwierzęta, które wymagają szczególnych warunków, a ich przywrócenie na wolność nie

sarnę czy łosia, często nie rozumie, że w pobliżu czeka i za chwilę pojawi się matka, i maluchy nie wymagają pomocy. Zabranie takiego zwierzęcia z lasu jest jak wyrok. Zabieramy je matce i przyrodzie. Skazujemy na życie w niewoli.

Arkadiusz Juszczyk podkreśla, że winę za poważne urazy dzikich zwierząt często ponoszą ludzie:

– 10 lat pracy w Poczopku nauczyło mnie, że hipokryzja jest częstą cechą ludzi, zwłaszcza jeśli mają coś na sumieniu. Mówiłem już o porwaniach ptaków i małych ssaków.

Zwierzęta, które nie okazują widocznego strachu, nie próbują uciec mimo urazu, są najczęściej w bardzo ciężkim stanie.

jest łatwe. Są zresztą inne ośrodki wyspecjalizowane w opiece nad dużymi drapieżnikami. (...)

Arkadiusz prowadzi mnie do woliery z sowami. Niektóre z nich nie trafiły tu na rehabilitację, ale kilkanaście lat temu przyjechały z hodowli, jak puchacz, który zamieszkał w Poczopku. Mój rozmówca wyjaśnia, jakie są losy sów przebywających w Prztylisku:

– Sowy, które przyjeżdżają na rehabilitację, umieszczamy w większych wolierych – do rozlatania. Musimy zadbać o to, żeby pozostały dzikie i nie przyzwyczały się do człowieka. Niestety nie zawsze sowy mogą wrócić na wolność. Te uszaki po rehabilitacji musiały zostać u nas ze względu na urazy. Jedna nie ma całego prawego, druga lewego skrzydła. Dodatkowo jedna używa tylko jednego oka. Są tu już dwa lata. Najczęściej trafiają do nas puszczyki. (...)

Arkadiusz nie ma wątpliwości w jednej kwestii:

– 90% przypadków, które są do mnie zgłaszane, to są zgłoszenia nieuzasadnione. Mało tego – są nieusprawiedliwione i nazwałbym to kradzieżą pisklęcia rodzicom. Ratowanie za wszelką cenę dzikiego zwierzęcia, które nie potrzebuje pomocy, nie powinno mieć miejsca. To nie dotyczy wyłącznie ptaków. Nawet dotknięcie małej sarny może ułatwić jej namierzenie przez drapieżnika. A jak człowiek zobaczy małą

Często są to też przypadki zranienia ptaka przez koty. Jeśli osoba, która zgłasza mi ptaka czy ssaka, nie chce mi powiedzieć, jak doszło do urazu, to może być pierwszy sygnał, że zawińił człowiek. Dlatego najpierw próbuję ustalić, co się dokładnie stało. Wielu tych zdarzeń można by uniknąć, jeśli ludzie zadbaliby o to, dokąd chodzą ich koty. Niestety, większość przypadków, kiedy kot złapie ptaka, nie rokuje dobrze. Ważne jest zatem ustalenie przez telefon stanu, w jakim jest potencjalny pacjent. Jeżeli

Trzeba ustalić przez telefon, w jakim stanie jest potencjalny pacjent. Jeżeli wisi skrzydło, jest widoczna wystająca kość, odsyłam do lekarza weterynarii.

wisi skrzydło, jest widoczna wystająca kość, uraz jest poważny, to odsyłam do naszego lekarza weterynarii, bo każde leczenie rozpoczyna się od postawienia diagnozy, a tę, zgodnie z prawem, może postawić tylko osoba z wykształceniem weterynaryjnym. Co ciekawe, przez 10 lat pracy w lesie nie spotkałem ani jednego zwierzęcia, które wymagałoby mojej pomocy. Tymczasem znam takie osoby, które potrafią trzy razy w roku zadzwonić do mnie i przywieźć zwierzęta. Dlaczego tak jest? Pozostawiam to bez odpowiedzi. Sama chęć ratowania zwierzęcia to jest jedno. Ale można je też skrzywdzić,

śpiesząc „na ratunek”. Wiele osób oburza się przez telefon, że zwierzę trzeba do nas przywieźć, bo nie dojeżdżamy po jego odbiór. Trudno im czasem wytłumaczyć, że my zwierzęta przyjmujemy, ale nie wysyłamy po nie karetek, ponieważ nie mamy takich możliwości. Teoretycznie każda jednostka administracyjna, każda gmina i każde miasto mają obowiązek czynnej ochrony zwierząt. Białystok ma swój Ekopatrol straży miejskiej, ma umowę z lecznicą – i tam można liczyć na pomoc. W innych miejscach może być gorzej.

Co zrobić, jeśli musimy wziąć sprawy w swoje ręce i chcemy naprawdę pomóc ptakom? – pytam Arkadiusza.

– Jeżeli znajdujemy ptaka i musimy go przygotować do przewiezienia, należy pamiętać o grubych rękawicach do jego przeniesienia i zastosowaniu zasady trzy razy C: ciepło, cicho i ciemno. Chodzi o to, aby zapewnić ptakowi spokój. Metabolizm i praca serca u ptaków są dużo szybsze niż u człowieka. Każde bodziec stresogenny może być tragiczny w skutkach. Należy ograniczyć wszelkie bodźce zewnętrzne. Żadne zwierzę nie wie, że chcemy mu pomóc, i dlatego czuje się w naszej obecności zagrożone. Nie poimy znalezionych ptaków i nie karmimy

ich, jeśli się na tym nie znamy. Nie posiadając odpowiedniej wiedzy, nie robimy nic poza dostarczeniem pacjenta pod właściwy adres. Pamiętajmy też, że zwierzęta, które nie okazują widocznego strachu, nie próbują uciec mimo urazu, są najczęściej w bardzo ciężkim stanie.

Kalendarz Arkadiusza jest uzależniony od szczytów:

– Jest szczyt bociani, a teraz będzie szczyt z wylęgiem jaskółek. Potem będą jerzyki. W momencie wylotu z gniazda znów rozdzwonią się telefony. Trafiają do nas różne ptaki. Od tych drobnych: kopciuszków, sikor, mazurków i drozdowatych przez



Do Przytuliska trafiają nie tylko ptaki. Nz. transport rannego wilka.

grzywacze i siniaki po największe skrzydlate drapieżniki: myszołowy, bieliki, jastrzębie, błotniaki, bociany, a czasem nawet żurawie.

Arkadiusz chce mi pokazać miejsce, w którym mieszka i gdzie mieści się główna siedziba Ośrodka Rehabilitacji dla Dzikich Ptaków i Ssaków „Przytulisko”. To taki leśny szpital, gdzie skrzydlaci pacjenci dochodzą do zdrowia przed wypuszczeniem na wolność lub – jeśli nie są zdolni do samodzielnego życia – umieszczeniem ich w Poczopku. Ośrodek znajduje się na uboczu, w lesie, i nie jest udostępniony do zwiedzania. Panuje w nim tak potrzebny ptakom spokój.

Mój rozmówca przyznaje, że polubił Puszczę Knyszyńską, która stała się jego domem:

– Teraz mieszkam w lesie, który liczy 110-120 lat. Mocniej powieje, to nie ma prądu. Mocniej zasypie śniegiem, to nie wyjadę. Przyzwyczaiłem się do tego miejsca. Nie widzę już szansy na powrót do miasta. W naszym nadleśnictwie jest dużo lasów na gruntach porolnych. Jest sporo przebudowy tych lasów. Ale są też ostatnie cietrzewie, chociaż jest ich coraz mniej. W ostatnim sezonie nie słyszałem kogutów. Przypuszczalnie są to ostatnie lata tego gatunku, który wszędzie w Polsce jest w odwrocie.

Gdy wjeżdżamy na podwórko leśniczówki, Arkadiusz oznajmia:

– Tutaj mieszkam. Nazywamy to miejsce Przytuliskiem. Kiedyś było to

miejsce oznaczone w Google Maps. Jednak odkąd zaczęły tu przyjeżdżać pielgrzymki ludzi chętnych do zwiedzania, szczególnie w weekendy i późnym wieczorem, postanowiliśmy zmienić adres odbioru ptaków. Teraz oficjalnym punktem przyjęć jest Poczopok.

Przechodzimy obok sosny z dziuplą dzięcioła czarnego.

– Dziuplę zajmuje siniak – stwierdza Arkadiusz. – Nie jest on jednak pacjentem ośrodka. Na szczęście to dziki ptak, który nie wymagał rehabilitacji.

Dalej stoją woliery, o których opowiada opiekun ptaków:

– Część z nich jest zajmowana przez ptaki, które już nie polecą na wolność. Są jastrzębie, samiec myszołowa i puszczyki. Tam dalej są dwa błotniaki rokujące na powrót do natury, przywiezione przez Adama Sacharewicza, pracownika Parku Krajobrazowego Puszczy Knyszyńskiej. Tu jest samiec pustułki w trakcie rozlatywania, którego niebawem wypuścimy. Wreszcie jest kruk, ale ten już był przyzwyczajony do człowieka. Jest on przykładem nieuzasadnionego zabrania lęgu ze środowiska naturalnego. To samica. Wylatuje z woliery, ale nie przepada za obcymi. Chyba lubi tylko mnie, bo już dawno nie zrobiła mi

krzywdy. Przejawia nawet tokujące zachowania względem mnie i złości się na każdą ludzką samicę w moim towarzystwie. Dla osoby postronnej to śmieszna sytuacja, a ja widzę skrzywdzonego ptaka, który niczym sobie nie zastrzyżył na taki los.

Wystarczy, że opiekun otworzy wejście do woliery, a samica kruka ląduje na jego ramieniu. Moja obecność sprawia jednak, że ptak zaczyna się niepokoić.

– Czego się boisz? – zwraca się do niej Arkadiusz. – Piękna jest – dodaje po chwili. – Wypuszczam ją na dwie, trzy godziny i wraca, chociaż dwa razy doleciała do Nietupy i potem przywoził ją znajomy. Trafiła do mnie trzy lata temu. Może latać, ale jest za bardzo oswojona z człowiekiem. I tak zostałem jej partnerem – żartuje.

Zdarzają się też historie z happy endem:

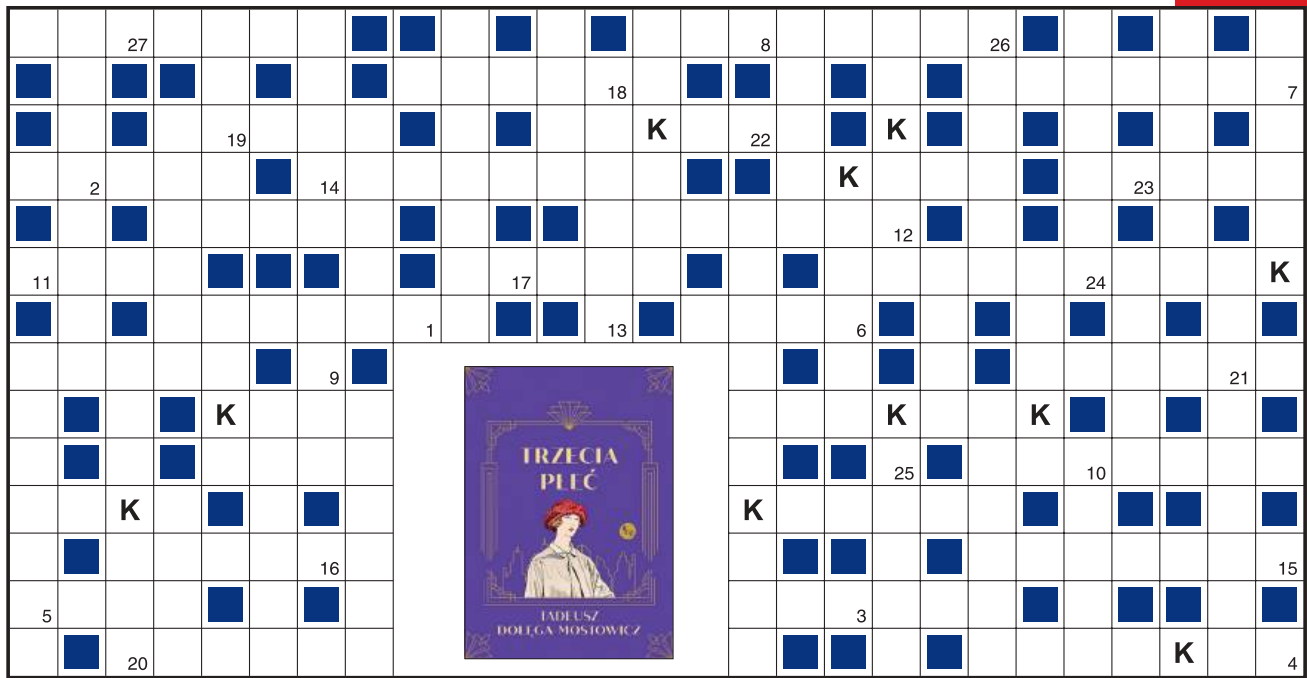
– Kiedyś mieliśmy bielika, który był na tyle kontuzjowany, że nie był lotny. Miał kontuzję skrzydła i skoku. Musieliśmy ten skok gipsować codziennie, wciąż był poprawiany. Bielikowi coś nie pasowało i codziennie niszczył opatrunek. Na szczęście wydobrza i po kilku tygodniach został wypuszczony. Rokowania były ostrożne, bo na początku nie chciał jeść. Jednak udało się mu pomóc.

Pod koniec rozmowy Arkadiusz zauważa:

– W skali roku trafia do nas średnio ok. 800 ptaków i małych ssaków. Nie wszystkie udaje się uratować. Musimy pamiętać, że jeśli są to młode, sprawne ptaki, to mogły być zabrane przez człowieka bez najmniejszego powodu. Cztery lata temu miałem cztery błotniaki. Trzy z nich wróciły na wolność. Czwarty do dziś nie może się wypierzyć. W naturze pewnie by już nie żył. W świecie zwierząt nie ma miejsca na ratowanie za wszelką cenę. To człowiek w tę naturę ingeruje. Często zadaje sobie pytanie: ile jeszcze tej natury w naszym świecie przetrwało? My, ludzie, mamy to do siebie jako gatunek, że zawsze tej naturze przeszkadzamy.

Fragmenty książki Pawła Średzińskiego
Puszcza knyszyńska. Tom II,
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą końcowe hasło.

- Warski lub Dygasiński
- szpak o białych piórach
- pustelniczka z „Konrada Wallenroda”
- czarno-biały ptak morski
- europejskie góry z lodowcami
- adorator, ekranowy kochanek
- z kuranem lub ze śmiechem
- turyści nim jadą autostradą
- zbrojony na budowie
- milion milionów
- ...zwykłych róż czy pęk czerwonych melancholii?

- wycięcie sukni, nieraz głębokie
- majątek ziemski, posiadłość
- dowóz towarów
- Blaszyński... – jeden z towarzyszy Dorotki
- seria zwodów z piłką
- legendarna złota kraina
- wybrany król przed koronacją
- nagrodzona w Cannes „...Pérez” Audiarda
- szara – dużo może
- o kochance z francuska i żartobliwie
- pokonany przez Dawida
- solidny tyk
- wyspy wulkaniczne, stan USA
- wyrażenie nietłumaczone dosłownie
- jej treścią epizod z wojny trojańskiej
- forma rozliczeń za pośrednictwem banku
- prowadzący kurs, szkoleniowiec
- Mamoń lub Karwowski
- zdradził Jezusa
- Sadok przy królu Dawidzie
- karciane czerwone serduszek
- przykrycie dla śpiącego
- lekceważąco o futbolisście
- rzeka w Czechach i Niemczech
- złą miał Kopciuszek
- nieuczestne Leca lub kosmate
- reperacja popsutej rzeczy
- przesyłki, utworu lub sygnału
- zamknięty albo Zamknięty
- krewniak żyrafy z pręgami na nogach
- nudystce niepotrzebny
- instrument z katedry oliwskiej

- kanwa utworu
- prawdziwa lub wietrzna z wysypką
- Tumski albo Mazowiecka
- dwupoziomowy wagon, autobus
- miejsce, gdzie ktoś pełni straż
- nadaje na falach
- postawa z rozsuniętymi nogami
- olej z nasion rącznika
- czepia się psiego ogona
- naciowy do satatek
- waśń, zatarg
- ...z Gór – przywódca asasynów
- wycisza huk wystrzału
- wysoka podpora fasoli
- strój, odzienie
- ...Bereniki – gwiazdozbiór
- były wezwaniem na wyprawę wojenną
- czasem topi się w nim smutki
- kierowca Sobiesław

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1181”. Do rozlosowania książki „Trzecia pleć” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 11 sierpnia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1178” z nr. 29: U literata pusta chata.
Nagrody otrzymują: Jan Bucior z Zagródek, Józef Lebek z Zabrze, Ewa Nasadowska z Golubia-Dobrzyń.

Czapki z głów

Zastanawiało się paru dżentelmenów, jak będą wyglądały nasze placówki, kierowane nie przez ambasadorów, tylko przez chargé d'affaires.

I po pierwsze, doszli do wniosku, że ten rok jakoś Polska przetrzyma. Po prostu za czasów PiS nadzwyczaj często tak było, że ambasadami kierowali chargé d'affaires, a w Warszawie tym się nie przejmowano... Na świecie też przyzwyczajono się już do tego, że brak ambasadora nie wynika z jakiejś polskiej niegrzeczności, tylko ze specyfiki naszego systemu politycznego – że prezydent i premier (o ministrze nie wspominając) nie potrafią się dogadać.

Po drugie, tym bardziej będzie to zrozumiałe w tych krajach, z którymi mamy bliskie i częste kontakty. Tam bowiem wiedzą, jaką mamy sytuację. A po trzecie, wolą mieć do czynienia z chargé d'affaires, który cieszy się zaufaniem centrali, niż z ambasadorem, który nic nie znaczy.

Wiadomo, będą ważne imprezy, podczas których reprezentant Rzeczypospolitej upchnięty zostanie gdzieś z tyłu. Ale to da się przeżyć... Nie precedencja o sile ambasadora decyduje. Możemy więc zakładać, że dla zawodowych dyplomatów wyjazd na rok w charakterze szarżyka, jak niektórzy mówią o chargé d'affaires, nie będzie czymś trudnym. Przejmą kierowanie ambasadami, nawiążą kontakty, spróbują wyjaśnić sytuację...

Wyobraźmy sobie na przykład Indie – to państwo, w którym sprawy protokołu dyplomatycznego są niezwykle istotne i szczególnie trudno jest pracować w charakterze chargé d'affaires. Ale jeżeli pojedzie tam na przykład Piotr Świtalski z zapewnieniem, że przy

najbliższej okazji (najpóźniej za rok) zostanie pełnoprawnym ambasadorem, to wszystko nie będzie drogą z przeszkodami, lecz lipową aleją.

Świtalski był wiceministrem spraw zagranicznych w czasach Marka Belki, wcześniej ambasadorem przy Radzie Europy, pracował też w Afryce. Był również ambasadorem Unii Europejskiej w Armenii. Jego domeną jest dyplomacja wielostronna i polityka bezpieczeństwa. I w ogóle dyplomacja, bo jest jednym z najlepszych fachowców w swoim zawodzie. Doskonale więc będzie wiedział, jak sprzedać swój potencjał, jak budować pozycję w gronie gospodarzy, jak rozmawiać, do kogo się zwracać. Jeżeli ktoś nie wierzy, że to potrafi, niech zajrzy na jego blog, na którym zamieszcza opowieści z morałem ze świata dyplomacji, wtedy się przekona. Albo przeczyta którąś z jego książek poświęconych polityce międzynarodowej i geopolityce, np. „Klepsydre i tron”. Dodajmy, że oprócz wiedzy Świtalski będzie mógł w New Delhi wykorzystać swoje niemałe znajomości. Świat dyplomacji tak bowiem wygląda, że ludzie bezustannie spotykają się na różnych placówkach, więc – po pewnym czasie – wszędzie są znajomi, a przynajmniej znajomi znajomych.

Z punktu widzenia PiS (które i tak nie decyduje), ta kandydatura może mieć dwie wady – Świtalski był doktorantem na MGIMO i wszedł w wiek emerytalny. Ale w Indiach to akurat nie są wady, lecz wielkie zalety – znajomość Rosji, znajomość świata, doświadczenie.

Chapeau bas! Potrafi Radosław Sikorski zaimponować kadrowym wyborem.

Attaché

Na orbitującej Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) astronauta również poczuł olimpijskiego ducha. Wykorzystując stan nieważkości, dokonują imponujących wyczynów.
29 lipca 2024 r.





KRAKÓW

MARIAN TURSKI,
ŚWIADEK ZAGŁADY

Czy coś cię szczególnie cieszy w dzisiejszej Polsce?

– Jest dla mnie rzeczą absolutnie radosną, nawet to słowo jest niewłaściwe... Jest czymś absolutnie pozytywnym, że istnieje w Polsce i się rozszerza krąg ludzi, którzy traktują sprawy żydowskie normalnie, po ludzku, i którzy poczuwają się do solidarności wtedy, kiedy Żyda lżą i biją. Mnie czasami pytało, dlaczego stąd nie wyjeżdżam, bo przecież mogłem wyjechać. Odpowiadałem, że mam tu ciekawą pracę, ale chodziło też o to, że byłaby to niewdzięczność wobec tych, którzy byli ze mną wtedy, w 1968 choćby, solidarni. Tyle że dawniej to był maleńki krąg. Dlatego wielu ludzi o korzeniach żydowskich je ukrywało – bo bali się samotności.

ZDANIE

ANDRZEJ JAKUBOWICZ, ANDRZEJ KARPIŃSKI,
EKONOMIŚCI

Najważniejszym skutkiem przeprowadzonej w naszym kraju i innych krajach Europy Wschodniej transformacji gospodarczej „z pomocą” ekspertów i doradców z krajów zachodnich (nazywanych w naszym kraju „brygadami Marriotta”) było opanowanie przez koncerny zagraniczne tych rynków dla zbytu ich towarów. Odbiło się to w dodatku na koszt tych krajów. (...) Bezmyślnie niszczone zakłady zbudowane dla aktywizacji gospodarczej danej miejscowości. A miały one często „miastotwórczy” charakter, co powodowało regres w rozwoju cywilizacyjnym. Takich zakładów stanowiących jedyne przemysłowe miejsce pracy w danej miejscowości zlikwidowano ok. 230. Co czwarte miasto straciło więc w ten sposób jedyne zakłady przemysłowe i podstawę bytu.

RES HUMANA

MIROŚLAW SŁOWIŃSKI,
PISARZ, PRODUCENT FILMOWY

Niedawno gen. Andrzejczak, były szef Sztabu WP, publicznie stwierdził, że Rosjanie wyciągnęli wnioski ze swoich porażek i że uczą się szybciej od swoich przeciwników. Ukraina tę wojnę przegrywa. Nie tylko ona, ale również Europa i NATO są w tej chwili w głębokiej defensywie. Absolutnie kluczowe jest pytanie, czy tak naprawdę mamy wiarygodnych sojuszników na wypadek, gdyby doszło do ekstremalnie trudnego konfliktu. (...) Historia ma swoje brutalne prawa. A jakie my mamy gwarancje, że świetnie wyszkolona armia ukraińska, opanowana przez Rosję, nagle nie stanie się naszym przeciwnikiem? Nie wiemy jak to będzie, ale wiemy, czego się w Ukrainie nie mówi. Prezydent Zełenski nigdy nie zająknął się w sprawach poważnych rozliczeń polsko-ukraińskich. Te braki wypowiedzi powinny być w naszej polityce traktowane z dużą powagą. Dlaczego nie brać pod uwagę scenariuszy skrajnie niekorzystnych dla nas? Nawet jeśli by je traktować jako historyczne political fiction?

na szczyście

JASIEK KRZEPTOWSKI-SABAŁA,
PRZEWODNIK TATRZAŃSKI, LEŚNIK

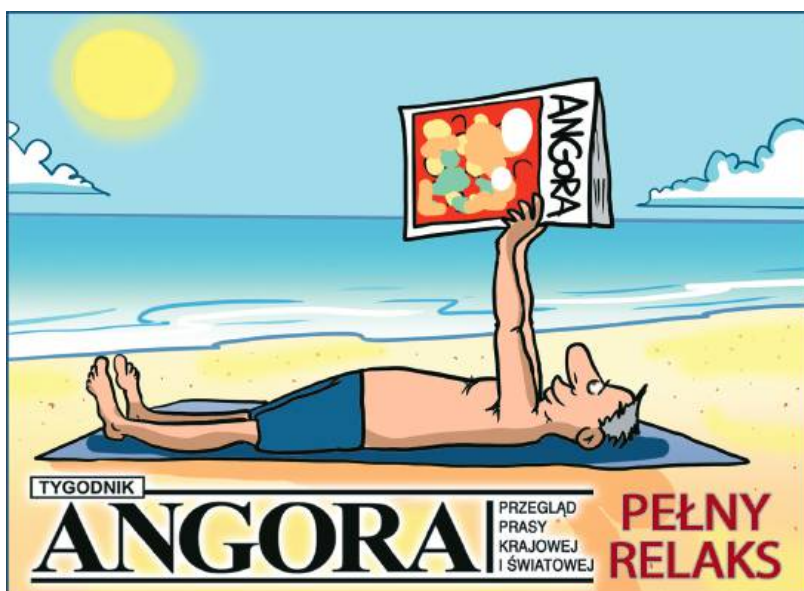
Nie możemy wszystkich fiaków wrzucać do jednego worka. Problem dotyczy tak naprawdę tylko Morskiego Oka. W dolinach – Kościeliskiej i Chochołowskiej – jadą lekkie dorożki i konie pracują przy dużo mniejszym obciążeniu. Organizacje praw zwierząt nie robią tam zadymy. Można zmniejszyć obciążenie albo skrócić trasę, żeby wypracować jakiś złoty środek. Nie chodzi o to, by zupełnie wyeliminować konie, bo to jest błąd popadania w skrajności. Dla wielu ludzi fiasz to po prostu olbrzymia atrakcja. I nie robią tego, bo są leniwi, ale ze względu na folklor. Taki zimowy kulig ma na pewno swój klimat. Do tego wszystkiego pamiętajmy, że to źródło dochodu dla setek ludzi na Podhalu. Nie chciałbym na pewno, żeby te konie w ogóle zniknęły z Tatr.

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

Wyrazy 4-literowe 1	Wyrazy 5-literowe 3	Wyrazy 6-literowe 5
Wyrazy 4-literowe 2	Wyrazy 5-literowe 4	Wyrazy 6-literowe 6

ROZWIĄZANIA: GŁÓD, ROSA, LIST, AMOR, MOTYL, KASZA, WRONA, BIWAK, PLOTKA, WIZYTA, KARTKA, GRZECH



Aby język giętki...

MAGDA UMER O CZUŁOŚCI

Ważne słowo i pojęcie. Może i ważniejsze niż miłość. Czulość – jeśli jest – zostaje mimo kryzysów.

ANDRZEJ SEWERYN O POCZUCIU HUMORU

Zawsze powtarzam moim synom, jak ważne jest, by partnerka, żona, bliska osoba miała poczucie humoru. Bez tego ani rusz. Przerobiłem to.

HENRYK MARTENKA O ANDRZEJU DUDZIE

Nie wadził mu niepoczytalny Macierewicz i nie wzbudzał wstydu paździerzowy Błaszczak.

MAREK SERAFIN O CPK

Nie wiadomo, dlaczego pół Europy musiały nagle przesiadać się w Baranowie. Aby LOT był konkurencyjny na trasie do Chin, Japonii i Korei, musiałby latać przez Syberię, a to trasa niedostępna.

CEZARY KUCHARSKI

O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Jestem w 100% pewien, że Lewy tego dyplomu nie robił w tamtych czasach. Zajmowaliśmy się układaniem kalendarza jego pobytów w Polsce.

XAWERY ŻUŁAWSKI O UDOWADNIANIU

Z nazwiskiem, jakie posiadam, i zawodem, jaki uprawiam, mam poczucie, że też muszę coś udowadniać. Że się nadaję, że daję radę.

ARTUR ANDRUS O POMNIKU KRZYŻÓWKI

Buurko, a przy nim Stefania Grodzieńska dzwoniąca do Władysława Kopalińskiego.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
 Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska m.fiejdasz@tygodnikprzegląd.pl
 Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz,
 Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek,
 Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
 Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
 Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikula,
 Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,
 Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
 Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
 Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
 Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
 Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,
 Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
 07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPPPLP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



VIS MAGNA

QUEEN VERONA

Queen Verona, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i stypendystka rządu Japonii (MEXT), dzięki czemu w latach 2008-2010 prowadziła pracę badawczą na Tama Art University w Tokio, prezentuje swoje prace w galerii STALOWA w Warszawie.

Artystka od dzieciństwa zafascynowana Dalekim Wschodem łączy tradycję olejnego malarstwa zachodniego z tematyką, symboliką i formalnymi oraz materiałowymi rozwiązaniami sztuki Wschodu. Łączenie świata wschodniego i zachodniego dokonało się nie tylko na płaszczyźnie tematycznej, ale także formalnej i materiałowej. Mimo że obrazy wykonywane są najczęściej zachodnią techniką olejną, ich autorka przyjęła rozwiązania formalne japońskich drzeworytów ukiyo-e: płamy ograniczonej palety kolorów obwiedzione są kreską, a sam rysunek jest maksymalnie uproszczony.

Na wystawie pokazane są zarówno prace z rozwijanego od 15 lat cyklu „Japonia oczarowana” jak i najnowsza, tegoroczna seria „Królowa i Niedźwiedź”, opowiadająca historię znajomości pary tytułowych bohaterów. Projekt jest przełomowy dla artystki, gdyż pierwszy raz decyduje się umieścić na obrazach siebie i opowiedzieć o bardzo osobistych doświadczeniach, fantazjach i podróżach wewnętrznych.

Galeria STALOWA
Warszawa
ul. Stalowa 26
do 30 sierpnia



VERONA Królowa i Niedźwiedź No1



VERONA Królowa i Niedźwiedź No5



VERONA Królowa i Niedźwiedź No77



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ



Uważasz, że
dzieci zasługują
na bezpieczne
dzieciństwo?



Podpisz apel!



OSCARY® SHORTLISTA

NAJLEPSZY FILM MIĘDZYNARODOWY

NOWY FILM REŻYSERA NOMINOWANEJ DO OSCARA
„LUNANY. SZKOŁY NA KOŃCU ŚWIATA”

MNICH I KARABIN



BUDDYJSKA PRZYPOWIEŚĆ O TYM,
ŻE KLUCZEM DO ZMIANY JEST ZROZUMIENIE PRZESZŁOŚCI

W KINACH OD 2 SIERPNI

AURORA